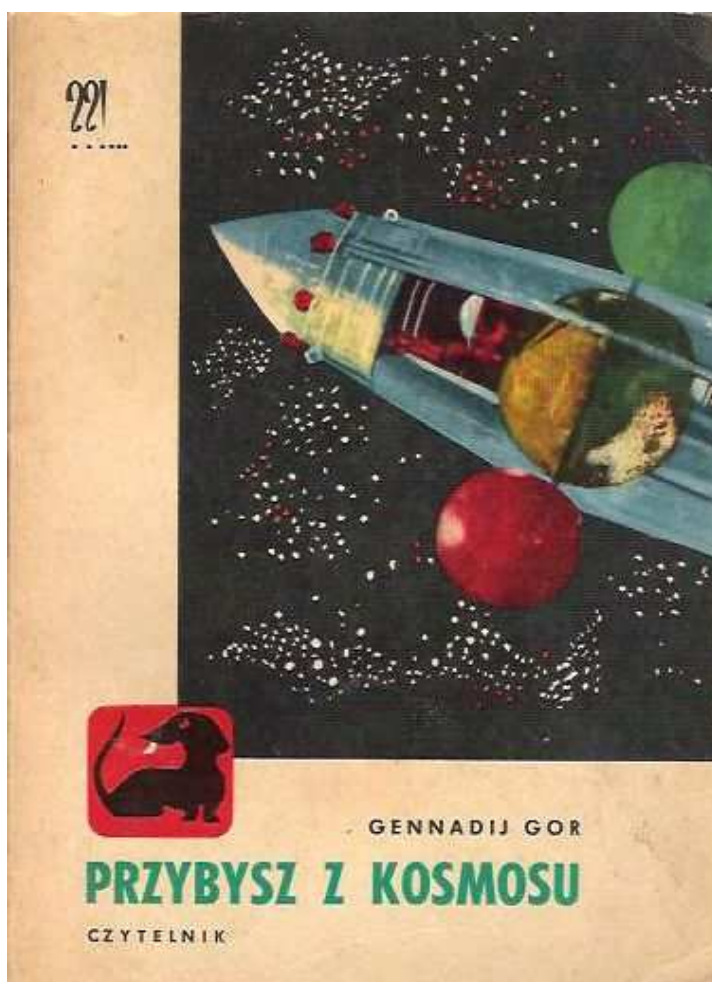


GENNADIJ GOR

PRZYBYSZ Z KOSMOSU

TYTUŁ ORYGINAŁU: DOKUCZLIWYJ SOBIESIEDNIK
PRZEKŁAD: ADAM GALIS



„CZYTELNIK” WARSZAWA 1963

Część pierwsza

PODRÓŻNIK

1

Podróżnik myślał o tym, że nigdy już chyba nie zobaczy swojego świata, ukochanej planety, żony, przyjaciół i słońca — może nie tak jasnego jak to, które tu świeciło, o wiele bardziej dalekiego, lecz stokroć mu droższego.

W tutejszej atmosferze było zbyt dużo tlenu i Podróżnik po zdjęciu maski odczuwał natychmiast niezwykle podniecenie.

O ludziach tutejszych wiedział wszystko, co mu było potrzebne, chociaż ani razu nie oglądał ich z bliska. Byli barczyści, przygarbieni, mieszkali w jaskiniach i poruszali się zginając w kolanach owłosione, żylaste nogi, jak gdyby przykucając, a całą ich nędzną technikę stanowiły grubo ciosane kamienne maczugi.

Robot Ips, który utrwalił wizerunek ich dziwnego życia, wiele razy rozwijał ten obraz w czasie i przestrzeni. Zjawiały się wówczas przed Podróżnikiem ściany jaskini, ognisko, mięso piekące się na węglach lub szerokie twarze o wystających kościach policzkowych i krępe postacie, a jednocześnie rozbrzmiewały dźwięki, przy których pomocy ci ludzie wyrażali swoje uczucia i pragnienia. Za każdym razem, kiedy patrzył na nich, dzielących między sobą jadło, kłócących się o kobietę lub tropiących zwierza, odczuwał jeszcze dotkliwiej swe osamotnienie.

Robot Ips umiał również odtworzyć to, co poprzedzało lądowanie na Ziemi, a wówczas Podróżnik mógł słyszeć głosy swoich towarzyszy podróży i widzieć ich oblicza. Lecz żaden z nich nie ocalał i obraz odtworzony przez Ipsa przypominał stary, zapuszczony cmentarz, na którym naiwnie, jak to bywało, za dawnych lat, rozmawiały z żywymi głosy umarłych, utrwalone za ich życia i jak gdyby wywołane z przeszłości.

Podróżnika stale dręczyło uczucie samotności, coraz mocniejsze wskutek tego, iż wiedział, że ani on, ani jego roboty, nie potrafią odbudować na wpół zniszczonego kosmolotu i nie wyrwą się z pola grawitacyjnego obcej planety, nie zdołają pokonać bezdennych, obłądnie wielkich przestrzeni, dzielących go od domu.

O ludziach tutejszych wiedział nieskończenie więcej, niż sami wiedzieli o sobie. Znał długość ich rąk i nóg, wiedział, jak funkcjonuje ich serce i gruczoły sekrecji wewnętrznej, znał wymiary ich czaszek i budowę mózgów.

Mieli zadziwiająco konkretną pamięć, która utrwalała prawie wszystko, od wczesnego dzieciństwa do kresu życia. A koniec przychodził katastrofalnie szybko. Żaden z nich nie dożył starości. Bez przerwy wojowali między sobą i z surową przyrodą, lecz choć mieli tak ubogie życie duchowe, pamiętali bardzo dużo.

Podróżnik i ludzie jemu podobni zapamiętywali stosunkowo niewiele. Na co obciążać pamięć, przechowywać w mózgu wszystkie przypadkowe zdarzenia i wrażenia z nieustannie uciekającego czasu-życia? Do tego celu służy robot-sobowtór, Twoje Drugie Ja, utrwalający wszystko do najdrobniejszych szczegółów i służący w każdej chwili rozwiniętą taśmą-obrazem minionego czasu.

Robot-sobowtór nie przypomina w niczym innych robotów, nie na próżno został nazwany „Twoje Drugie Ja”. Zbudowano go i oddano do dyspozycji Podróżnika wówczas, kiedy w Podróżniku obudziła się świadomość gotowa do odbioru wrażeń życiowych. Twoje Drugie Ja przechowuje wspomnienia. Kto utraci robota, straci swą przeszłość.

Człowiek jest śmiertelny, lecz robot-sobowtór przewycięża czas. Wspomnienia nie

giną nawet wówczas, kiedy znika ten, co wspominał. Przechowuje się je, podobnie jak książki w bibliotekach dawnych epok — uwiecznione zbiornice bogactw duchowych. Dzięki nim każda jednostka staje się w jakimś stopniu wieczna, gotowa do podzielenia się ze społecznością swym doświadczeniem życiowym.

Ale tu, na obcej planecie, wspomnienia nie są potrzebne. Nie mogą w niczym pomóc Podróżnikowi, który znalazł się w obcym świecie, w obcym układzie słonecznym, gdzie istoty podobne mu są opóźnione w rozwoju o wiele tysięcy lat. Wspomnienia potrzebne są wtedy, kiedy człowiek radośnie zagląda w przyszłość, kiedy współczesność i praca mają wspólny rytm, a obok pracują mieszkańcy tej samej planety. Wspomnienia służą do tego, by człowiek odczuwał swą jedność ze światem i samym sobą, z płynącym nieustannie czasem, by lepiej zrozumiał siebie, swą osobowość. Same w sobie, oderwane od terażniejszości i przyszłości — są niczym.

Podróżnik nie miał żadnej nadziei na powrót do swego świata, nie spodziewał się nawiązać z nim łączności. Kontakt z ziemią urwał się jeszcze wówczas, kiedy wraz z kolegami i przyjaciółmi znajdował się w kosmolocie i w nieskończonych przestrzeniach kosmosu nie mógł odnaleźć pola elektromagnetycznego swej małej planety, zagubionej wśród miliardów gwiazd i galaktyk. Lecieli potem długo, nie wiedząc już, w jakim punkcie nieskończonej przestrzeni i nieskończonego czasu znajduje się ich dom rodzinny.

Podróżnik stracił już wszelką nadzieję, lecz mimo to nie upadł na duchu. Od dzieciństwa uczono go pogardy dla zwątpienia. I oto dziś opuścił swą siedzibę i poszedł brzegiem rzeki. Szumiała w dzień i w nocy. Ciągnęło od niej chłodem. Podobał mu się jej głos. I ogromne drzewa, wysokie, grube, o długich gałęziach, podobały mu się również. Ale nieprędko przyzwyczał się do nich. Tak wysokich drzew nie było na jego planecie. W jakimś ułamku sekundy przywidziało mu się, że przyszedł pożegnać świat, w którym obecnie mieszkał, dręczony uczuciem dziwnej słabości, jak gdyby przed chwilą podniósł się z łóżka po długotrwałej, groźnej chorobie. Tę dolegliwość powodowało środowisko ziemskie, chemizm zupełnie odpowiadający chemizmowi jego planety ojczystej. Przyszedł się pożegnać? Naprawdę? Nie, jeszcze za wcześnie na pożegnanie z rzeczką, lasem, doliną tam — w dole.

Długo stał bez ruchu i z lubością przyglądał się okolicy. W dali pasło się stado żubrów. Jelenią ścieżką przebiegła łosza z oseskiem-jelonkiem. Biegła z wiatrem, nie podejrzewając, że ktoś ją obserwuje. Stanęła, podniosła tylną nogę, a jelonek podbiegł i zaczął ssać wymię matki, tarmosząc je lekko. Kropla mleka kapnęła mu z warg na trawę. Po chwili znów pędzili ścieżką, cząsteczki zdumiewającego życia, pełne radości huczącej w żyłach.

Po powrocie ze spaceru długo siedział beczynnym. Czuł wielkie osłabienie. Serce biło arytmicznie, jak gdyby znalazł się na dnie głębokiej rzeki. Nawet we śnie nie opuszczało go uczucie, iż porusza się po dnie rzeki. To uczucie towarzyszyło mu od pierwszej chwili, gdy znalazł się na tej planecie. Ciśnienie atmosferyczne było tu za wysokie.

Wezwał robota Twoje Drugie Ja i oto zjawiły się przed jego oczami, jak gdyby wracając z niebytu, dawno utracone chwile.

Siedzi wraz z żoną (wówczas jeszcze narzeczoną) w staroświeckiej łódce, otoczonej zewsząd cichymi wodami niebieskiego, przezroczystego jeziora. W ich świecie ogromnego tempa mieszkańcy miast niekiedy celowo zażywali radości, jaką daje cisza i kojący spokój w specjalnie wydzielonych rezerwach leśnych.

Znów słyszał jej głos tuż blisko i widział jej oczy, zielonoszare i ironiczne.

O n a. Zachowujesz się jak nauczyciel w szkole. Zadałeś pytanie i czekasz na odpowiedź. I jeśli nie potrafisz odpowiedzieć, zmartwisz się, prawda? Pozwól więc, że nie odpowiem.

O n. Skoro nie chcesz, możesz nie odpowiadać. Ale nauczyciel nigdy nie zapytałby w szkole o to, o co ja pytam. To go nie interesuje.

O n a. Nie wszyscy nauczyciele są na jedną modłę. Przecież ja też chcę zostać nauczy-

cielką.

O n. Więc wyobraź sobie, że jestem uczniem, twoim wychowankiem. Wyobraziłaś sobie?

O n a. Przypuśćmy.

O n. Czego byś mnie zaczęła uczyć?

O n a. Przede wszystkim skromności. Brak ci jej zdecydowanie. Za dużo myślisz o sobie.

O n. Raczej o tobie.

O n a. To można łatwo sprawdzić, wystarczy zapytać robota Twoje Drugie Ja.

O n (rozniewany). Nikt nie ma prawa go pytać, prócz mnie.

O n a. Nawet ja nie mam prawa? Czyż nie jestem ci bliższą od robota?

W wodzie błysnęła ryba, jej plusk pokonał czas i przestrzeń, czas i przestrzeń, które trudno sobie było wyobrazić. Przecież ta ryba błysnęła nie w ziemskiej wodzie, lecz w wodzie jago planety Aneidau, planety Porannego Świata. A potem wszystko odpłynęło, robot zamilkł, zapadła cisza.

Podróżnik zasnął z trudem, jak zwykle tu, na Ziemi, i obudził się następnego dnia rano. Bezczynność obrzydła mu. Zabrał się ponownie do roboty. Już od dwóch tygodni usiłował naprawić niezwykle skomplikowaną maszynę; robota Anty-Ty. Była to nowość naukowa i techniczna. Jej twórcy zatroszczyli się o tych, którzy, jak Podróżnik, mogli być skazani na przymusową samotność. Robot Anty-Ty potrafił nie tylko rozmawiać, lecz nawet wdać się w spór z całą energią i bogactwem myśli. W jego towarzystwie mieszkaniec Świata Porannego nie mógł się nudzić. Robot odznaczał się wielką erudycją, duchem przekory i logiką rozumowania. Anty-Ty był nawet w pewnym stopniu cynikiem i sceptykiem, odrobinę nihilistą. Bo istotnie, po cóż miałby przypominać swego rozmówcę? Gdyby był całkowicie, we wszystkim, do niego podobny, o cóż mogliby się sprzeczać? Anty-Ty był jakby uosobieniem tego, co najszeptniejsze w ludzkim charakterze i co człowiek usiłuje w sobie przezwyciężyć.

Podróżnik kosmiczny był z zawodu fizjologiem, specjalistą od zagadnień mózgu i cybernetyki fizjologicznej, ale nie był technikiem i inżynierem, teraz zaś miał czysto techniczne zadanie do rozwiązania. Co począć? Wszyscy inżynierowie, uczestnicy ekspedycji, zginęli. Nie miał się kogo poradzić. A ponieważ robot Anty-Ty był ostatnim słowem nauki i techniki i nie wszedł jeszcze do produkcji seryjnej, to ani jeden z robotów-inżynierów, którymi Podróżnik dysponował, nie umiał przeprowadzić remontu, nie przewidzianego przez żaden program.

W gruncie rzeczy Podróżnik był z tego zadowolony. Przynajmniej miał jakąś robotę, co prawda niezbyt pilną, lecz skomplikowaną i trudną. Mógł więc podczas pracy zapomnieć o smutnych myślach?

Kiedy przed pięciu dniami zapoznał się gruntownie ze schematem, arcyskomplikowanym schematem robota, zajrzał do środka tej kunsztownej konstrukcji. Zajrzał tam nie bez lęku i by dodać sobie otuchy, powiedział:

— Ano, zobaczymy, jak zbudowany jest mózg wyrafinowanego sceptyka.

Te słowa świadczyły raczej o filuternie-żartobliwym nastroju Podróżnika niż o pragnieniu zbliżenia się do prawdy. Kto jak kto, lecz on, jeden z najwybitniejszych fizjologów swojej planety, dobrze wiedział, że mózg sceptyka wcale się nie różni od każdego innego mózgu.

Sceptyka czyni sceptykiem bynajmniej nie ilość zwojów mózgowych, lecz złe wychowanie, nawyk do patrzenia na wszystko z wysoka, skłonność do potępiania, bez wniknięcia w istotę rzeczy.

— Mózg jak mózg, lecz pod jednym względem góruje nad żywym mózgiem — pracuje szybciej, nie zna znużenia, a jego uwaga nie rozprasza się.

Z podziwem patrzył za każdym razem na sztuczny mózg robota Anty-Ty. Inżynierowie-

cybernetycy, biochemicy, biofizycy i fizjologowie — którzy go stworzyli, próbowali rozwiązać niezwykle trudny problem. Trzeba jeszcze sprawdzić, w jakim stopniu im się to udało. Robot Anty-Ty posiadał zapewne (lub powinien był posiadać) rozległe możliwości analityczno-syntetyczne. Sztuczny logik odznaczał się jednocześnie godnym zazdrości poczuciem humoru, niezwykle szybkim refleksem, darem układania ze słów czegoś zaskakującego i celnego. Właśnie ten potężny mózg należało zreperować.

Podróżnik, który rozpoczął ostrożne rozpoznawanie uszkodzenia, nie zdawał sobie jeszcze sprawy z tego, co zostało uszkodzone, mechanizm czy chemizm robota. Bowiem sztuczny mózg, w odróżnieniu od mózgow innych robotów, znajdował się na granicy świata żywego i przyrody martwej. Ten półorganizm, półmechanizm winien był według zamysłu swych twórców pokonać wszystkie słabe strony mechanizmu i organizmu. Dziennikarze entuzjaści pisali, rzecz jasna z dużą przesadą, że nowy robot w istocie rzeczy nie jest robotem w ścisłym sensie tego słowa. Posiada tyle cech indywidualnych, charakterologicznych, iż stał się już jak gdyby osobowością...

Podróżnik, sprawdzając siłę impulsu i analizując wypustkę plazmatyczną komórki nerwowej, mówił do siebie:

— Hm, osobowość, jak twierdzą dziennikarze. Ale kiedy naprawimy ciebie, przepraszam za niezbyt ścisły zwrot, kiedy cię wyleczymy, postawimy na nogi, jak mawiają lekarze, wtedy dopiero dowiemy się, w jakim stopniu jesteś osobowością. Bo osobowość, drogi mechano-organizmie, to nie tylko rozum. Potrzebny jest również charakter. Stworzono ciebie, by pomóc mi zabijać czas. A ty uroiłeś sobie od razu nie wiadomo co i wyprowadziłeś w pole łatwowiernych dziennikarzy. To bardzo nierozsądne. Jeśli jednak istotnie posiadasz charakter i reprezentujesz osobowość, to bynajmniej nie odznaczasz się skromnością. No co? Nie możesz mi odpowiedzieć? Na razie? Ale postawię cię na nogi, możesz być pewny.

Jedynym godziwym sposobem pokonywania czasu i samotności jest praca. Niegdyś, w zamierzchłych epokach, filozofowie pesymiści straszili społeczeństwo tym, że cybernetyka i automatyzacja, po uwolnieniu mieszkańca Aneidau od przymusu pracy i myślenia użytkowego, uczynią z niego istotę kontemplującą, lekkomyślnego hedonistę, napawającego się nieustannym wypoczynkiem. Nie doszło jednak do tego. I nie mogło dojść. Aneidajczyk pozostał twórcą, doskonale uzbrojonym do walki z przyrodą.

Podróżnik pracował. Zdawałoby się, że poznał sztuczny mózg nie gorzej niż zwyczajny mózg człowieka.

Minęły trzy miesiące i oto, jak się zdaje, udało mu się naprawić robota.

Anty-Ty odezwał się nieoczekiwanie w nocy, kiedy Podróżnik czuwał, nękany swą dolegliwością. Wprawdzie nie spał, lecz był na wpół przytomny.

R o b o t (dźwięcznym głosem, z odcieniem ironii). Zdaje się, że mnie wyleczyłeś. Postawiłeś mnie na nogi. Ale czy prosiłem cię o to?

P o d r ó ż n i k. Wyleczyć można tylko żywą istotę. Organizm. Ty jesteś maszyną. Naprawiłem ciebie.

R o b o t (z urazą). Ja — maszyną? A kim ty jesteś? Bogiem? Lecz bóstwo, według wierzeń antycznych, tym właśnie różni się od ciebie, że nie zna nudy. Zaś ty, mój drogi, zacząłeś się nudzić. Zwiesiłeś nos. Chciałeś jak najprędzej postawić mnie na nogi nie tylko po to, by uczynić zadość ambicjom lekarza. Może powiesz, że zrobiłeś to z pobudek humanitarnych? Nie oszukasz mnie. Chciałeś po prostu pogadać sobie z kimś, poplotkować? No cóż, bardzo proszę.

P o d r ó ż n i k. Mógłbym rozmawiać z sobą samym. Rozmyślać.

R o b o t. Z sobą samym? A czy ja nie jestem tobą? Czy nie jestem częścią twojego ja? Pochlebiam sobie, że nie najgorszą...

P o d r ó ż n i k. Konstruktorzy i cybernetycy, którzy stworzyli ciebie, za mało mnie znali, żeby...

R o b o t. Nie kończ! Rozumiem wszystko. Istotnie, prawie nie znali ciebie. Ale ja za to ciebie znam!

P o d r ó ż n i k. Skąd? Skąd ty możesz mnie znać?

R o b o t. Pozwól, że na razie nie ujawnię tej tajemnicy. Nie mogę od razu wtajemniczać cię we wszystko. Muszę coś zostawić na zapas.

P o d r ó ż n i k (niemal obojętnie). A zostaw sobie. Nigdy nie odznaczałem się ciekawością.

R o b o t. Czyżby? A ja znam pewne fakty świadczące o tym, że... Mam ci je przypomnieć?

P o d r ó ż n i k. Nie chcę.

R o b o t. Wobec tego porozmawiajmy o czymś innym, bez urażania twojej osobowości. Chcesz? O czymś niewinnym. Pamiętasz, jak nasz kosmolot po latach wędrówek w kosmosie wylądował na nieznannej planecie, którą następnie nazwano twoim imieniem? To był szlachetny gest ze strony twoich towarzyszy podróży, którzy mieli nie mniejsze prawo do uwiecznienia swych nazwisk na mapach astronomicznych. Ale planeta nieoczekiwanie sprawiła wam zawód. Co prawda, okazało się, że istnieje na niej życie, lecz w całkiem innej postaci, której zupełnie nie przewidziała nauka i rozum. Jak pamiętasz, okazało się, że jest ono pozbawione wszelkich form osobniczych i przypominało galaretę. Na tej planecie nie było kwasów nukleinowych, bez których możliwe jest tylko życie bezkształtne. One bowiem przechowują w swej „pamięci” coś niezwykle ważnego i przekazują w spadku niezliczonym pokoleniom. Przekonaliście się, że życie na tej planecie nie posiada pamięci, a co za tym idzie, nie posiada historii... Wszyscy uczestnicy ekspedycji byli zakłopotani. A najbardziej ty. Bowiem na rok czy dwa lata przed wyruszeniem ekspedycji wysunąłeś hipotezę, iż życie nie może istnieć w formach nieosobniczych... Że to jest jakoby prawo przyrody. Tak, zbyt pośpiesznie sformułowałeś te wnioski. Dowiedz się więc, że twoi towarzysze umyślnie nadali owej planecie twoje imię, traktując z ironią twą osobę... I twoją hipotezę.

P o d r ó ż n i k. Milcz! Kłamiesz. Wcale tak nie było!

R o b o t. Już prosisz, żebym zamilkł? Czy nie za prędko. Ha, pozostań więc znów sam na sam z nudą i samotnością. Ja milczę.

Robot zamilkł.

Podróżnik milczał również. Leżał całkowicie wyczerpany. Serce mu biło nieregularnie, jak gdyby posuwał się po dnie głębokiej rzeki.

Gdzieś w głębi nocy huknął puchacz i zawył głodny wilk. Podróżnik wyszedł ze swej siedziby. Ogromne niebo zasypane było lśniącymi gwiazdami. Były to obce gwiazdy, równie dalekie od planety, na której się znajdował, jak od tej, na której się urodził.

2

Historia ta zaczęła się bardzo dawno i nie ma na razie dalszego ciągu, nikt nie wie, jak się skończy. Wydawałoby się, że ludziom naprawdę udało się zajrzeć w głąb czasu, lecz film (jeśli wolno porównywać prawdziwe wypadki z filmem) urwał się w najciekawszym miejscu i na sali zapaliło się znów normalne światło.

Historią tą zainteresowali się literaci i dziennikarze. Lecz dokończy ją zapewne samo życie, jeśli będzie to uważało za konieczne.

Powróćmy więc do początków całej sprawy.

W czasie blokady, zimą 1942 roku, Arbuzów ocalił rękopisy Wietrowa, jak powiadają, wyciągnął je z rozpalonego piecyka sąsiadów Wietrowa i nawet poparzył sobie przy tym rękę. Następnie opublikował je, poprzedzając doskonale napisaną przedmową.

W owym czasie wszyscy byli przeświadczeni, że Wietrow zginął w bitwie pod Nowgo-

rodem. I nikt nie przypuszczał, że od razu po wojnie wróci z niebytu.

Można wątpić, czy rękopisy Wietrowa udałoby się opublikować, gdyby nie przekonanie, że poległ na wojnie. Po pierwsze, były to prace nie ukończone, szkice brulionowe, a po drugie — zawierały wiele rzeczy spornych, niezwykłych, stojących na pograniczu fantastyki.

Dzięki Arbuzowowi Wietrow stał się sławny. Ale przecież nie prosił Arbuzowa o tak pośpieszne ogłoszenie jego rękopisów i podanie do wiadomości publicznej hipotez, które wymagały sprawdzenia.

Minęło kilka lat. Specjaliści zapomnieli, w jakich okolicznościach praca Wietrowa ukazała się w postaci książki. Wszak Wietrow żył, był zdrow i cały. Chodził po ulicach, uczestniczył w posiedzeniach, jak gdyby nie wiedząc nic o swej niezasłużonej sławie.

I oto naukowcy zaczęli stawiać mu zarzuty i oskarżać o to, że był zbyt pochopny, że pośpieszył się z publikacją swoich notatek.

Matka Wietrowa, pani Wiera, znacznie bardziej przejęła się tymi zarzutami niż jej syn.

— Obywatel Arbuzów — mówiła grasejąc nieznacznie — wyświadczył mojemu synowi niedźwiedzią przysługę. Ale co ja jestem winna? Nigdy w życiu nie wysunęłam żadnej hipotezy, a wszyscy patrzą na mnie tak, jak gdybym to ja się zbyt pośpieszyła, a nie mój syn.

Hipotezy Wietrowa były odważne i paradoksalne. I nie tylko hipotezy, lecz także fakty, jakie przytaczał. Nieszczęście polegało na tym, że nikt ich nie chciał uznać za prawdziwe. Prawie nikt.

W przededniu wybuchu wojny Wietrow wraz z trzema pomocnikami, studentami wydziału historycznego, prowadził badania archeologiczne niedaleko granicy zachodniej. Fakt, iż udało mu się wówczas dokonać niezwykłego odkrycia naukowego, potwierdzało tylko jedyne ocalałe zdjęcie, umieszczone w książce wydanej przez Arbuzowa. Zdjęcie to na dobitkę było wcale nie najlepsze. Reszta uległa zniszczeniu razem z namiotem wskutek wybuchu bomby, zrzuconej tej nocy przez hitlerowskiego lotnika. Trzej współpracownicy Wietrowa zostali zabici. I nikt nie mógł potwierdzić, że dokonano niezwykłego odkrycia archeologicznego. A przecież w wyniku tego odkrycia mogła ulec zmianie istota archeologii, gdyby ta nauka przestała się nagle interesować przeszłością, a zaczęła zajmować przyszłością. Książka Wietrowa nosiła również zagadkowy tytuł: „Przyszłość człowieka na podstawie danych antropologicznych i archeologicznych”.

Tytuł książki był pomysłem Arbuzowa, który postawił na swoim wbrew sprzeciwom redaktora. Redaktor miał poważne wątpliwości i nie chciał się zgodzić. Kiedy je przestał mieć — książka została wydana. Lecz od tego momentu zaczęli mieć wątpliwości czytelnicy. Do wydawnictwa nadeszło sporo listów. I jakie było zdumienie czytelników, kiedy otrzymali odpowiedź od autora, który, jak wynikało z przedmowy Arbuzowa, poległ w walce z czołgami hitlerowskimi.

Wybuchł wówczas spór między czasopismem popularno-naukowym, które stanęło po stronie Wietrowa, a wybitnym specjalistą morfologiem, profesorem Apuginem, doktorem dwóch czy nawet trzech dyscyplin naukowych.

Profesor od dawna doszedł do przekonania, że człowiek w ciągu kilkudziesięciu tysięcy lat swego istnienia nie zmienił się pod względem anatomicznym i nie ulegnie żadnym zmianom w przyszłości.

Apugin, kwestionując hipotezy Wietrowa i podając w wątpliwość fakty, na które się Wietrow powoływał, ogłosił artykuł — który wywołał wiele hałasu — i nie omieszczał wspomnieć o słynnym zdjęciu, nazywając je zwykłym falsyfikatem.

Wydany przed wojną informator o nauce radzieckiej określał Apugina mianem uznanego autorytetu. Stwierdzał jednak zarazem, iż profesor, który położył wielkie zasługi dla nauki i społeczeństwa, odznacza się pewną cechą ujemną — apodyktycznością.

Zdawałoby się na pozór, że w rzeczowym informatorze nie powinno być miejsca dla

tego rodzaju subiektywnych ocen. Toteż fakt ten wywołał ogólne zdziwienie.

3

W owym pamiętnym, niezwykłym dniu pomocnicy Wietrowa, studenci historii, pracowali nader ospale. Byli zmęczeni, nieomal wypruci z sił. Dręczył ich upał. Dawno już nie było tak skwarne lato. Bez przerwy chciało się im pić.

Kiedy znaleźli czaszkę, nie śniło im się nawet, jakie to pociągnie za sobą skutki.

Wietrow od razu odpędził myśl, która wydała mu się bezsensowna — że czaszka mogła należeć do istoty spoza Ziemi, przybyłej z kosmosu. Tak miałby prawo myśleć literat lub entuzjasta-astrofizyk, ale nie trzeźwy archeolog, poszukujący w ziemi śladów przeszłości. Czaszka należała najprawdopodobniej do nieznannej nauce, wymarłej gałęzi osobników człokształtnych. Ale co począć wobec tego z człowiekiem neandertalskim lub jego potomkiem — człowiekiem z Cro-Magnon, naszym przodkiem? Przecież absurdem byłoby przypuszczenie, iż niemal w tej samej epoce istniał człowiek o tak dużej czaszce.

Studenci wpadli w stan wielkiego podniecenia.

— Panie Sergiuszu — powiedział jeden z nich — musimy natychmiast zadeszować do Akademii Nauk, do instytutu.

— Chciałby pan, żeby nas wzięto za wariatów?

— Nie, ale co robić?

— Nie śpieszyć się. Gruntownie przemyśleć całą sprawę. Po co się śpieszyć?

W nocy Wietrow nie mógł zasnąć. Wrócił na miejsce, na którym za dnia prowadzili prace badawcze, i nieustannie zadawał sobie jedno i to samo pytanie, jak gdyby jego zbita z pantaląku myśl była w stanie znaleźć zadowalającą odpowiedź.

Studenci chrapali w namiocie. Zbyt pośpiesznie umieli oswajać się z najbardziej niezwykłymi zjawiskami i nic nie mogło im przeszkodzić w ich młodzieńczych snach.

Tok rozumowań Wietrowa przerwał nagle łoskot silnika. Potem rozległ się gwizd. Fala powietrzna odrzuciła go w bok i ogłuszyła. Kiedy się podniósł i odzyskał przytomność, na miejscu, w którym stał namiot, ujrzał wielki dół. Zdawało się, że to nie bomba burząca, lecz los we własnej osobie wyrył ten lej, by pogrzebać odkrycie i jedynych jego świadków.

Wietrow z wielkim trudem dotarł do Leningradu. Nie wspomniał nikomu o swym odkryciu. Przed wstąpieniem do szeregów pospolitego ruszenia zamknął się na kilka dni w gabinecie i bez przerwy stukał na starej maszynie do pisania. Notatki i zdjęcie włożył do teczki, którą schował w szufladzie biurka, po czym zatelefonował do swego przyjaciela Arbuzowa. Całkiem spokojnie, jak gdyby sprawa dotyczyła nieistotnych rzeczy, oświadczył, że gdyby nie wrócił z wojny, Arbuzów powinien się zająć notatkami schowanymi w dolnej szufladzie biurka.

Arbuzów zainteresował się nimi we właściwym czasie. Gdyby się spóźnił o kilka minut, spłonęłyby w piecyku sąsiadów Wietrowa.

A jednak na wojnę wyruszył nie ten Wietrow, którego tak dobrze znali i kochali przyjaciele i jego kostyczna, złośliwa rodzicielka. Od momentu, w którym odsłonił rąbek tajemnicy i zajrzał w przyszłość, świat wewnętrzny Wietrowa zmienił się nie do poznania. W notatkach ocalonych i opublikowanych przez Arbuzowa znajdowało się kilka myśli, które wykreślił ołówek redaktorski, jako że nie miały bezpośredniego związku z tematem. Istotnie, nie były związane z odkryciem archeologicznym i znalazły się w zapiskach Wietrowa dlatego, iż wyrażały nastrój ich autora. Były to słowa wypowiedziane przez włoskiego filozofa na temat Hegla:

„Hegel wnosi we wszystkie treści coś w rodzaju obłędu, mówi o wszystkim, nawet o rzeczach najprostszych w taki sposób, że odsłaniają przed widzem jakąś nową, nieznaną, jak

gdyby pełną wewnętrzną sprzeczności, trudno uchwytną stronę. W zjawiskach znanych odkrywa niezwykłość, w prostocie — złożoność, w statystycznym spokoju — rozterkę i chaos... Myśl czuje się tak, jakby ją przesunięto w inny wymiar...”

Lecz oto rzeczywistość sama przemówiła niezwykłym językiem.

Myśl Wietrowa, zetknąwszy się z tajemnicami ewolucji rodzaju ludzkiego, przesunęła się w nowy wymiar. Przecież tylko jemu dane było zajrzeć w głąb innych czasów. Co prawda, prócz paru przyjaciół nikt w to nie chciał uwierzyć.

Do gabinetu Wietrowa, pogrążonego w pracy, docierał z korytarza głos matki, kłócącej się z sąsiadami:

— Nie jesteście państwo kompetentni, by oceniać, czy mój syn dokonał lub nie dokonał odkrycia naukowego. Lepiej zajmijcie się swoimi kuchenkami gazowymi...

4

Robot Ips był zajęty swoimi sprawami. Utrwalał w mechanicznej pamięci życie tutaj żyjących ludzi, ich zachowanie się i myśli, wyrażane przy pomocy donośnych dzikich dźwięków; notował ich zaloty miłosne i technikę polowania na dzikiego zwierza.

Świadomość w tych ludziach dopiero się rodziła, widzieli świat tak, jak gdyby powstał przed chwilą wraz z nimi. Umieci mocno odczuwać, lecz nie potrafili wnikać w istotę zjawisk. Rzeczywistość widzieli w taki sposób, w jaki dziecko widzi sen. Ogarnięci jasnym, niezwykle przedmiotowym, zmysłowym snem, żyli nie zdając sobie sprawy z tego, co działo się przed nimi, i nie zastanawiając się nad tym, co będzie później. Przedhistoryczne, na wprost instynktowne życie, dziecięcy wiek ludzkości...

Planeta wraz z jej rzekami i lasami, z górami i oceanami istniała nie odbita jeszcze w świadomości historycznej, mówiąc językiem filozofii — obiekt bez poznającego subiektu...

Podróżnik nieustannie przekonywał siebie: trzeba działać, śpieszyć się, poznawać! Nie wiedział, ile mu jeszcze pozostało życia, choroba przybierała coraz gorszy obrót... Opanowała go dumna myśl, dumna i odrobinę paradoksalna. Wbrew logice historii nauka i filozofia zrodzą się na tej planecie na długo przed tym, zanim ludzie obudzą się ze swego długotrwałego snu. Planeta zostanie poznana, odzwierciedlona w świadomości. On wkrótce umrze. No i cóż? Czy jego praca pójdzie na marne? Żywy czas, utrwalony przez jego pracę, poczeka w głębi ziemi na swą godzinę... A nadejdzie ona nieprędko, za kilkadziesiąt tysięcy lat... Potomkowie dzisiejszych dzikusów, ludzie na wysokim poziomie cywilizacji i kultury, złamią pieczęć czasu... Nie będzie to zwyczajne znalezisko paleontologiczne czy archeologiczne, martwe szczątki czegoś, co żyło kiedyś, skamieniało i zastygło, lecz żywy, tętniący czas, z którego jak gdyby została usunięta niepokonana sprzeczność między przeszłością i teraźniejszością. Będzie to zarówno wieczność, jak i jedna chwila przywrócona do życia...

Oczywiście Podróżnik nieco przesadnie oceniał wagę przyszłego odkrycia archeologicznego. A jednak tak właśnie było. Rozpieczętowany czas, okres człowieka paleolitu na Ziemi i czas, który Podróżnik przyniósł tu ze swej dalekiej, zagubionej w przestrzeni planety, odsłonią swe tajemnice przed człowiekiem przyszłości, jeśli przypadnie mu szczęście znalezienia i rozszyfrowania zapisów Ipsa, zbadania szczątków Podróżnika.

W jego dalekim świecie uważano by to laboratorium za nader prymitywne. Personel stanowił sam Podróżnik, jeśli nie liczyć automatu-laborantki, który mył próbki, prowadził dalej rozpoczęte przez niego doświadczenia, przygotowywał preparaty.

Laborantka-automat, leciwa, powolna istota stworzona pod koniec ubiegłego stulecia, kiedy konstruktorzy w naiwny, niedorzeczny i pretensjonalny sposób usiłowali nadawać automatom postać aneidalną, nadawała się doskonale do tutaj żyjących warunków. W powolnych,

ostrożnych ruchach wiekowej staruszki było coś, co działało uspokajająco, wprawiało w idylliczny nastrój. Miała gderliwy głos staruszki i nawet kasłała od czasu do czasu (dań złożona przez konstruktorów staroświeckim estetyczno-naturalistycznym gustom minionego wieku), a jakże, kasłała, jak kaszlą staruszki, lękające się przeciągów i skarżące się często na to, że je „przewiało”.

Do zabrania staruszki namówił go przyjaciel, wybitny biochemik, który starannie skrywał przed wszystkimi swą życzliwość pod maską sarkastycznego uśmiechu.

— Nie sprawi ci zawodu — powiedział. — Wierz mi. Wiem, że jesteś przeciwnikiem staroświeckiego iluzjonizmu. Ale w obcym świecie nie wyda ci się on oznaką złego smaku... Tam potrzebne ci będzie łagodne, nieszkodliwe kłamstwo...

Miał rację. Powolna, śmieszna staruszka, którą inne automaty wyprzedziły o pół wieku, była tu jak najbardziej na miejscu.

W tej chwili przeprowadzała doświadczenie, próbując określić zawartość wapnia w protoplazmie małego szarego gryzonia, schwytanego przedwczoraj.

Tak jest, musiał się tu zajmować biochemią i geologią, paleontologią, fizyką i botaniką, jak uczony w dawnych epokach, kiedy nie istniała jeszcze specjalizacja.

Już od kilku wieków biochemia i biofizyka, jeśli chodzi o znaczenie teoretyczne i praktyczne, zajęły na jego planecie pierwsze miejsce wśród wszystkich starych i nowych dyscyplin wiedzy. Zajęły je wówczas, kiedy uczeni i filozofowie doszli do przekonania, że największe perspektywy otwierają się przed fizyką i chemią żywych organizmów.

Uczeni od dawna już opanowali sekrety fotosyntezy i w gruncie rzeczy nie potrzebowali pośrednictwa roślin do konserwowania energii słonecznej, mimo to jednak nie udało się im stworzyć sztucznych organizmów żywych — przerzucić mostu nad przepaścią, która zmniejszała się coraz bardziej, lecz nie zmniejszyła na tyle, by można było dokonać skoku ze świata konieczności do świata wolności.

Tajemnica życia w ciągu stuleci bawiła się w chowanego z uczonymi; wyglądało na to, że najodważniejsi, którym sprzyjało szczęście, zdołają ją uchwycić. A jednak w ostatniej chwili wyślizgiwała się im z rąk.

Podróżnik, rzucając krytyczne i dobrodusze spojrzenia na mechaniczną staruszkę-laborantkę, pocieszał się nadzieją, iż może jemu właśnie, tu, na obcej planecie, sądzone jest odkryć tajemnicę pochodzenia życia.

Kiedy wracał z laboratorium, bywał tak zmęczony, że po posiłku niezbyt często podejmował rozmowę z robotem, stworzonym do rozmawiania, wymiany myśli, dyskusji i ćwiczeń intelektualnych. Ten mechaniczny trener intelektu był czasami nieznośny. Ale nie można było z niego zrezygnować.

R o b o t. Aha! Znowu ty! I znów ze skargami na dolegliwości cielesne? Mój drogi, nie jestem lekarzem, medykiem ani fizjologiem. Moją specjalnością są cierpienia intelektualne... Wmawiasz w siebie zbyt wiele. Będiesz żyć bardzo długo. Gwarantuję ci. I doprowadzisz do końca swe eksperymenty. Ale do czego właściwie zmierzasz, mój drogi? Nie jest to dla mnie całkiem jasne. Nikt na świecie nie dowie się o wynikach twoich prac badawczych. Czas zamknięty pieczęcią? To niezły pomysł. Ale skąd masz pewność, że zostanie rozpieczętowany? I skąd wiesz, że ci, co tego dokonają, zrozumieją ciebie? Ufasz ich żądzy wiedzy? A jeżeli okaże się, że tutejsi ludzie wcale jej nie są żądni?

P o d r ó z n i k. Brednie. Treścią człowieka jest poznawanie. I ono będzie się rozwijać.

R o b o t. Jakiś ty pewny siebie! Takim samym tonem twierdziłeś, że życie nie może nie posiadać form osobniczych. Ale galareta na planecie noszącej twoje imię położyła cię na obie łopatki. Najwyższy czas, żebyś stał się trochę ostrożniejszy...

P o d r ó z n i k. Uczepiłeś się tej galarety! Widocznie cieszysz się z tego, że istnieje życie nie posiadające form i pamięci. Choć z czego się tu cieszyć? Ale nie ma również powodu do zmartwienia. Na mojej planecie życie osiągnęło wysoki stopień rozwoju. Tutaj

również...

R o b o t. Jesteś tego pewien? Niepoprawny optymisto! Tamci w jaskiniach, wiesz o tym równie dobrze jak ja, z trudem wytrzymali mróz i chłód niedawnego zlodowacenia, ledwie uszli z życiem. W domniemanym świecie pełnym przypadkowych zjawisk cywilizacja jest również mniej lub więcej prawdopodobna.

P o d r ó ż n i k. Co właściwie masz na myśli?

R o b o t. Następne, jeszcze gorsze zlodowacenie, którego okropności nie wytrzymają ci pierwotni ludzie. Mam również na myśli jeszcze jedną ideę, którą gardzisz. A jeśli wszędzie, prócz twojej planety i tej, na której znajdujemy się obecnie, istnieje wyłącznie galareta? A jeśli indywidualne formy życia stanowią tylko rzadko spotykany wyjątek? Co? Nie podoba ci się?

P o d r ó ż n i k (rozniewany). Ale tobie się podoba, łotrze!

R o b o t. Wypraszam sobie tego rodzaju wulgarne zwroty. Ja nie pozwalam sobie na wycieczki osobiste, dyskutuję w płaszczyźnie czysto teoretycznej.

P o d r ó ż n i k. Ale twoje teorie brzydko pachną. Ci, którzy ciebie stworzyli, widocznie nie zastanawiali się nad etyczną stroną sprawy...

R o b o t. Ja nie mówię nic złego o twoich rodzicach. Dyskutuj ze mną, nie odbiegaj od tematu. Tu chodzi o życie, a nie o moralność. Moralność zjawia się na scenie później... Zdaje się, że mnie nie słuchasz? Jesteś roztargniony? Może nudno ci w moim towarzystwie?

P o d r ó ż n i k. Ja nigdy się nie nudzę.

R o b o t. I uważasz to za swoją zaletę? Nie myślę, by należało się nią chlępić. W starożytności pewna modna szkoła filozoficzna wysoko ceniła nudę. Zwolennicy tej szkoły twierdzili, że kiedy człowiek się nudzi, kiedy przedmioty rozplývają się i zatracają wyraźne kontury, w sennym, leniwym odrętwieniu odsłania się wieczność i jej nieskończoność. Oczywiście, mieszkańcy Świata Porannego nie mieli wówczas możliwości zetknięcia się z nieskończonością w praktyce. Nie istniały wówczas jeszcze loty kosmiczne i podróże...

P o d r ó ż n i k. Ale dziś istnieją. I wiemy, że owi filozofowie-metafizycy podnosili do godności absolutu mieszczańskie nastroje.

R o b o t. Nie upraszczaj. Błagam cię, nie upraszczaj. Mówisz o mieszczańskich nastrojach? Czy tylko mieszczenie potrafią się nudzić? A propos, pryncypialny wróg nudy zmarnował wczoraj cały wieczór, oglądając i przeżywając na nowo utracony czas. Robot Twoje Drugie Ja miał wczoraj mnóstwo roboty. Nie przecz, tęskniłeś za żoną i przyjaciółmi. I jeszcze jak tęskniłeś! Nie starczyło ci siły woli, by poniechać tego widowiska. Przecież to jest w istocie rzeczy miraż. Czas utracony istnieje, ale nie można go chwycić w ręce, poczuć tak, jak się odczuwa czas terażniejszy... Czas utracony istnieje i nie ma go zarazem. To nędzna pociecha dla słabych charakterów. Oszukiwanie samego siebie.

P o d r ó ż n i k. Masz rację. Nędzna pociecha. Słabość. Ale przecież ja nie jestem tobą. Nie jestem mechanizmem. Nie jestem maszyną. Jestem istotą żywą.

R o b o t (z urazą i zdziwieniem). A czy ja jestem istotą martwą?

P o d r ó ż n i k (łagodnym tonem). Dajmy spokój docinkom osobistym.

R o b o t. Czy to znaczy, że uznajesz mnie jednak za osobowość?

P o d r ó ż n i k. Nie uznaję, ale i nie zaprzeczam.

R o b o t. Sofisto! Chcesz uchylić się od odpowiedzi, chcesz się schować za grą słów i pojęć!...

P o d r ó ż n i k. Jaki żaloszny obraz! Ty z twoim rozumem nieomal zebrzesz o to uznanie. A czyż zmieni się coś wskutek tego, że uznam w tobie osobowość? Nie uznanie jest ważne. Ważny jest fakt.

R o b o t. I to się mówi na planecie, na której istnieją zaledwie dwie istoty myślące.

P o d r ó ż n i k. Jak to? Czy mieszkańcy tej planety nie są żywymi, myślącymi istotami?

R o b o t. Żywymi — owszem, a nawet w pewnym stopniu myślącymi. Śmiem jednak wątpić, czy te istoty doszły już do zrozumienia sensu osobowości.

P o d r ó ż n i k. Przepraszam, a co to jest osobowość?

R o b o t. Możesz skierować to pytanie do psychologów i psychiatrów. Oni lubią odpowiadać na takie szkolne pytania.

P o d r ó ż n i k. Wiele ci brakuje, żeby stać się osobowością. Umiesz mówić, ale nie potrafisz działać. Jesteś wartością czysto negatywną.

R o b o t. Wartością negatywną? Nieźle powiedziane. Czekaj, wkrótce przekonasz się, kim jestem. Poznasz moją osobowość...

P o d r ó ż n i k. W każdym razie nigdy nie utracę przywileju, z którego również w tej chwili skorzystam... Mogę cię wyłączyć...

Wyłącza robota. Zapada błoga cisza.

Po rozmowie z takim cynikiem cisza wydaje się istotnie błogą.

Tamarcew wystukał wskazującym palcem ostatnie zdanie, postawił kropkę i wyciągnął stronicę z maszyny do pisania.

Pisał jednym palcem. Praca szła wolno. Szłaby znacznie prędzej, gdyby do maszyny zasiadła żona Tamarcewa. Lecz żona porzuciła go przed kilku dniami i odeszła do Arbuzowa, tego, który zrobił świństwo Wietrowowi, publikując przedwcześnie jego notatki.

Mieszkanie Tamarcewa opustoszało. Tego uczucia pustki nie usunęło przybycie ciotki Oli ze starą walizką w ręku, ani powrót syna Goszy ze szkoły.

Goszę nazywano tak na co dzień. W szkole i w domu. Ale w metryce urodzenia, przechowywanej w szafie wraz z innymi dokumentami, nosił inne, dźwięczne imię, jak gdyby urodził się nie na oddziale położniczym Instytutu Akuszerii i Ginekologii na Wyspie Wasilewskiej, naprzeciw Uniwersytetu, lecz za granicą lub nawet na innej planecie. W metryce widniało imię G e o g o b a r...

W roku, w którym urodził się Gosza, Tamarcew wydał swą pierwszą powieść fantastyczno-naukową, toteż jego przyjaciele nie zdziwili się bynajmniej, że nadał synowi imię zaczerpnięte z książki.

On sam jednak natychmiast po nadaniu synowi takiego trudnego i dziwnie brzmiącego imienia zaczął tego żałować. Było wszakże za późno. Życie Goszy uległo jakby rozdwojeniu. Na co dzień, w domu i na ulicy, Gosza był Goszą, lecz w dokumencie spoczywającym na razie w szafie był Geogobarem.

Z czasem to imię dało znać o sobie. Nauczycielka rosyjskiego, która z niewiadomej przyczyny nie darzyła Goszy sympatią, zaczęła głośno i uroczyście nazywać go Geogobarem...

Tamarcew pisał swe powieści w czasie wolnym od pracy zawodowej. Był fizjologiem i psychiatrą i ogromnie lubił swój zawód. Bardziej chyba niż swe zajęcia literackie, miłe, lecz niezbyt poważne i nie cieszące się w środowisku naukowym zbyt wielkim szacunkiem.

Matka Goszy zmarła w rok po urodzeniu syna. Tamarcew długi; czas spędził żywot wdowca i sam zajmował się wychowaniem chłopca, a następnie ożenił się z Anastazją Wietrową, rodzoną siostrą archeologa. Niedawno jego druga żona opuściła go na zawsze i związała życie z innym człowiekiem.

Tamarcew zaczął zwalczać pustkę intensywną pracą. Szukał w niej zapomnienia. Już od trzech miesięcy pracował nad powieścią, której fabularnym punktem wyjścia było znalezisko archeologiczne Wietrowa. Od dawna interesowała go ta historia, która wzięła początek w tak niezwykłych okolicznościach i pozostała początkiem, bez dalszego ciągu i zakończenia. Tamarcew nie przypuszczał, by życie zechciało wnieść poprawkę do jego powieści. Wietrow nie miał szczęścia i sprawa odkrytej przez niego olbrzymiej czaszki miała widocznie ulec zapomnieniu, pozostając zagadką bez odpowiedzi. On jednak mógł popuścić cugli fantazji i

uczynił to, posługując się swym rzadkim i dziwnym darem przebywania w myśli z dala od domu i rodziny, a nawet od siebie samego...

Tę oryginalną właściwość niełatwo było pogodzić z codziennym życiem. Nie można było jej ulegać, nie ponosząc przykrych skutków w stosunkach z najbliższymi, drogimi sercu ludźmi. Przekonał się o tym. Anastazja odeszła zabierając rzeczy stanowiące jej własność i pozostawiając w opustoszałym mieszkaniu bolesne, gorzkie uczucie utraty.

5

Anastazja Wietrowa-Tamarcewa przebudziła się w obcym mieszkaniu, na cudzym tapczanie. Obok niej leżał Arbuzów. Spał, gwizdząc cienko przez nos. Spod nowego, kupionego widocznie niedawno, bajowego koca wystawała nieznana, wąska stopa.

Pani Anastazja zamknęła oczy i otworzyła je ponownie, lecz wszystko wyglądało jak przed chwilą. Miała przed sobą ten sam dziwny i ciasny światek — typowo kawalerski pokój z półkami na książki; na ścianie wisiał obraz namalowany przez umysłowo chorego, który jeszcze w latach dwudziestych podarował swą pracę Arbuzowowi seniorowi, lekarzowi w szpitalu psychiatrycznym. Miły obrazek przedstawiający drzewo nad stawem.

Na biurku — popielniczka i stos niedopałków. Na szafie posążek nagiego Mefistofelesa z brązu, z sardonicznym uśmiechem, staroświecką kozią bródką, trochę podobnego do Arbuzowa juniora.

Arbuzów przewrócił się na drugi bok i przestał gwizdać przez nos. Zaczął chrapać. Pani Anastazji wydawało się, że robi to umyślnie, że udaje głęboki sen i czyni to wszystko po to, by jej wykazać, iż jest obecnie dla niej najbliższym człowiekiem i może w jej obecności robić, co mu się żywnie podoba — gwizdać przez nos, chrapać, nie zasłaniając chudych nóg Mefista.

Nowy, wytworny, modny garnitur Arbuzowa wisiał na krześle, jak gdyby odpoczywając. Wydawał się częstką śpiącego właściciela, niezastąpioną, nadającą mu powszechnie znany wygląd człowieka pewnego siebie, dowcipnego i dobrze wychowanego.

Był ranek. Światło słoneczne wdarło się do pokoju poprzez wietnamską zasłonę ze słomki. Sąsiedzi za ścianą nie spali. Słychać było donośny śmiech mężczyzny i głos kobiety, który powtórzył kilka razy:

— Ciszej! Uspokój się!

Sąsiedzi orientowali się w tym, co zaszło poprzedniego dnia. Spostreegli wczoraj panią Anastazję, która od czasu do czasu musiała wychodzić na korytarz i do kuchni.

Za ścianą rozległ się przeraźliwy krzyk dziecka i głos kobiety znów powtórzył:

— Ciszej!

Obecność pani Anastazji wyraźnie krępowała sąsiadów.

Arbuzów wciąż jeszcze spał. A był już czas najwyższy wstać. Jakby odgadując jej myśli, odwrócił się i otworzył oczy. Błyszczał w nich uśmiech, zdawało się, że miał ochotę powiedzieć coś bardzo zabawnego. Nie powiedział jednak ani nic zabawnego, ani nic poważnego, tylko bez słowa usiadł na tapczanie. I natychmiast zabrał się do wciągania skarpetek i spodni. Włożył również koszulę. Teraz wyglądał znów jak dobrze wychowany pan, którego znała pani Anastazja.

— Jak ci się spało? — zapytał ziewając lekko. — Co ci się śniło?

W jego czarnych oczach zalśnił znów uśmiech. Ziewające przed chwilą usta zdobyły się na obojętnie-łaskawy uśmiešek.

— Lecę do roboty. A bodaj to diabli, przeprowadzam eksperyment. Niestety, mój labo-rant należy do kategorii zapoznanych geniuszów. Może narobić czegoś takiego, że...

— To dlaczego go trzymasz?

— Z przyzwyczajenia. Złe języki twierdzą, że trzymam go, by uniknąć zatargu z dyrektorem. Zapoznany geniusz jest jego krewniakiem... Tak twierdzą złe języki. Złe i dobre.

Pobiegł do kuchni, umył się szybko. Potem przyniósł dzbanek gorącej kawy. Nakrył do stołu. Ukroił kawałek bułki, posmarował masłem. Zjadł i po dziesięciu minutach, zrobiwszy perskie oko, znikł.

Pani Anastazja podeszła do stelaży i wzięła do rąk pierwszą z brzegu książkę. Do wewnętrznej strony okładki przyklejony był ekslibris, wykonany na zamówienie Arbuzowa przez znanego grafika, przedstawiający Don Juana w ostrogach, ze szpadą w ręku przed ożywionym posągami Komandora.

Na karcie tytułowej widniała pieczętka: „Z księgozbioru A. W. Arbuzowa”. Don Juan nie miał widocznie zaufania do znajomych. „Z księgozbioru A. W. Arbuzowa”, jak gdyby A. W. Arbuzow miał własną księgarnię.

Ale na książkach — pokłady kurzu. Kurz na uśmiechniętym sarkastycznie brązowym Mefistofelesie. Pani Anastazja znalazła ścierkę i weszła cicho do kuchni

Obca, nieznana kuchnia, choć podobna do wszystkich innych. Zlew, kran, kapiąca woda. Ostra, przykra, bijąca w nos woń gazu.

Odkręciła kurek i podstawiła ścierkę pod strumień wody. Do kuchni weszła sąsiadka. Weszła pewnym krokiem gospodyni i zmierzyła spojrzeniem panią Anastazję. Na wąskich, rozumiejących wszystko wargach wykwitł uśmiech. Sąsiadka spodziewała się widocznie, że pani Anastazja coś powie. Ale pani Anastazja nie miała jej nic do powiedzenia.

Wyjęła ściereczkę i wróciła do pokoju.

Po upływie trzech godzin — jak ten czas się wlecze — wyszła ponownie, lecz tym razem w płaszczu i kapeluszu, i prześliznąwszy się szybko przez korytarz, zamknęła za sobą cicho drzwi mieszkania.

Dziesięć lat spędzonych z Tamarcewem wyrobiły w niej rozmaite nawyki. Każdy dzień życia podobny był do poprzedniego. Wiedziała, dokąd i po co wychodzi każdego ranka. Zazwyczaj szła do sklepu dla dietetyków. Podawała do stołu tylko świeże produkty. Mięso, ryby, jarzyny, masło i jaja. Tamarcew cierpiał na przewlekły nieżyt przewodu pokarmowego. Miał również kłopoty z wątrobą. Rokrocznie jeździł na kurację do Essentuków lub Truskawca.

Teraz nie musi chodzić do sklepu dla dietetyków. Arbuzow odznacza się kwitającym zdrowiem, Tamarcew zaś lękał się stale o swą dietę, o to, co mu wolno lub nie wolno zjeść, o to, co jest wskazane lub przeciwwskazane.

Tych trosk pozbyła się na zawsze, lecz ku swemu zdumieniu nie odczuwała szczególnej radości z tego powodu. Wręcz przeciwnie, z przyjemnością zajrzałyby do sklepu dla dietetyków. I na wszelki wypadek do apteki.

Gosza mógłby wiele rzeczy przebaczyć pani Anastazji. W istocie rzeczy była kobietą całkiem dobrą, spokojną i troszczyła się o niego. Jednej tylko rzeczy nie mógł jej wybaczyć — że odeszła wtedy, gdy ojciec tak ciężko pracował, nie oszczędzając ani siebie, ani laborantek. Eksperymentował, szukając nowego preparatu, leku przeciw chorobie uważanej powszechnie za nieuleczalną. Czy wobec tego nie mogłaby odłożyć swej decyzji chociażby na miesiąc?

Arbuzow też dobry! A niby uczony. On chyba najlepiej wiedział, czym ojciec zajmował się w owym czasie.

Potraktowali ojca lekceważąco. Zlekceważyli także Goszę. Nie mieli względów nawet dla chorych, którzy tak czekali na nowy preparat. A chorych lekceważyć nie wolno!

Gosza nie wrócił po lekcjach do domu. Nie chciało mu się. Długo włóczył się po ulicach. W końcu postanowił wyjść po ojca. Ojciec pracował w dwóch instytucjach: w szpitalu oraz w instytucie naukowo-badawczym. Można było pojechać autobusem, ale Gosza wybrał się na piechotę.

Oto ogród szpitalny. Ktoś siedzi w głębi na ławeczce. Zapewne jakiś pacjent. Zobaczywszy Goszę wstał i powiedział uprzejmie poprzez kuty w żelazie ornament ogrodzenia:

— Dzień dobry! — Uśmiech, który ukazał się na jego obliczu, wskazywał, że znał kiedyś Goszę, spotykał się z nim, lecz w żaden sposób nie może sobie przypomnieć, gdzie i kiedy. Gosza zapragnął nagle pomóc choremu w rozwiązaniu tej zagadki, choć wiedział, że to jest niemożliwe. Człowieka za ogrodzeniem widział pierwszy raz w życiu.

W szpitalu powiedziano mu, że ojciec poszedł do instytutu. W drodze Gosza przez cały czas myślał o człowieku, o którym wolałby nie myśleć — o Arbuzowie. Jaki on jest wesoły, jaki optymista! A ile zna kawałów! Mówią, że był kiedyś kaowcem w sanatorium na Krymie. Ale powszechnie wiadomo, że jest zdolnym naukowcem. Co prawda nie wybitnym, lecz tylko zdolnym. A jednak postąpił bardzo brzydtko!

Może lepiej nie czekać na ojca? Nie wiadomo, kiedy skończy pracę. Czasami zostaje w instytucie do północy. Ale instytut podoba się Goszy. Ile tam laboratoriów! Jest również laboratorium cybernetyki fizjologicznej, w którym pracują dwaj bardzo poważni uczeni: członek-korespondent Akademii Borodin, którego wszyscy za plecami nazywają Brodą, i drugi, młody, jeszcze aspirant — Radij Bogatyriew, zwany żartobliwie Leonardem. Istotnie, jest prawie Leonardem, jest bowiem fizjologiem, matematykiem i konstruktorem. Niedawno Gosza był z kolegami na odczycie Leonarda. Bogatyriew jest bardzo skromny. Lecz kiedy zaczął rysować na tablicy schemat maszyny grającej w cetno i lichy, to Goszy i jego przyjaciółom zaparło dech w piersi. Maszynę tę zbudował wykładowca. Ile on może mieć lat? Chyba najwyżej dwadzieścia pięć. Trzeba będzie zapytać ojca.

O wiele przyjemniej jest myśleć o Bogatyriewie niż o Arbuzowie.

Jeden z kolegów Goszy, Kapustin, zdążył podczas wykładu Bogatyriewa naszkicować schemat jego maszyny w swoim zeszyte, trzeba będzie przyjrzeć się dokładniej szkicowi. Kapustin twierdzi, że kiedy skończy dwadzieścia pięć lat, zbuduje jeszcze lepszą maszynę. Figa z makiem! Skopiować schemat maszyny — to jedno, ale całkiem co innego — zbudować maszynę. A Kapustin umie tylko kopiować.

Ojciec powiedział kiedyś o Bogatyriewie:

— Jest nadzieją naszej nauki.

Potem jednak uznał to określenie za niewystarczające i dodał:

— Naszej i światowej.

Mieć talent, budować maszyny nie jest łatwo. Ale jeszcze trudniej chyba pozostać przy tym człowiekiem skromnym.

6

Na podstawie wyrazu twarzy Riabczykowa trudno coś powiedzieć o jego stanie psychicznym. Nie jest wesoły, ale nie jest też ponury. Raczej obojętny. Mówi roztropnie i z sensem, zbyt roztropnie i zbyt sensownie, niby nauczyciel w szkole średniej. Zdaje się, że Riabczykow był właśnie nauczycielem, uczył biologii. Całkiem rozsądny człowiek i aż do przesady logiczny. Lecz gdy rozmowa zatraça o sprawy czasu, rozum i logika przestają w nim funkcjonować.

A obok takiego Riabczykowa — jego żona! Wszyscy wiedzą, że jest jego prawowitą małżonką. Krewni, znajomi, sąsiedzi. Związek małżeński Riabczykówów został zarejestrowany w urzędzie stanu cywilnego w dzielnicy imienia Frunzego. O tym wiedzą wszyscy prócz małżonka, który wciąż jeszcze uważa panią Riabczykową za swą narzeczoną...

Tamarcew notuje:

„Syndrom Korsakowa... Chory D. A. Riabczykow ma czterdzieści lat. Pół roku temu spędzał urlop u rodziny na wsi i zaczął podczas kąpieli w łaźni wiejskiej. Z trudem udało

się go odratować. Pod wpływem czadu musiały widocznie zajść zmiany w komórkach części interpretacyjnej wielkich półkul mózgowych, na skutek czego dla Riabczykowa czas jak gdyby uległ zatrzymaniu. Chory pamięta wszystkie ważniejsze wydarzenia swego życia, nie wyłączając faktu, iż poszedł do łaźni. W tym miejscu rozpoczyna się granica, kurtyna zasłaniająca przed nim teraźniejszość i przyszłość. Chory żyje jakby poza zasięgiem chwili bieżącej. Nie ma dla niego ani «teraz» ani «zaraz», tylko «wczoraj» i «przedwczoraj». Je, pije, chodzi, orientując się doskonale w przestrzeni, lecz dzień dzisiejszy dla niego nie istnieje. W istocie Riabczykow nie żyje, tylko wspomina. Wspomnienia stanowią jedyną realność, z którą się liczy”.

Na korytarzu Tamarcew pyta panią Riabczykową:

— Dlaczego przyprowadziła pani do mnie męża u sześć miesięcy po jego zachorowaniu?

Riabczykowa rzuca na Tamarcewa spojrzenie dużych szarych oczu. Widać w nich zakłopotanie, onieśmielenie, smutek, upór, a zarazem odrobinę ironii czy drwiny, jakby w tej kobiecie tkwiło jednocześnie kilka osobowości.

— Nie wiedziałam wówczas nic o panu, panie profesorze.

— A co pani wie o mnie dziś?

— Dziś wiem, że pan leczy takie schorzenia.

— O, o tym nikt jeszcze nie wie.

— Ale ja wiem.

W głosie Riabczykowej brzmi przekonanie i pewność, jak gdyby istotnie była przeświadczona, że Tamarcew wyleczy chorego.

— To znaczy, że wie pani więcej ode mnie.

W dużych szarych oczach Riabczykowej gaśnie wyraz uporu, kokieteryjnej ironii, pozostaje cień zakłopotania i smutku.

— Co mi innego pozostało, panie profesorze? — mówi cicho.

— A czy uprzedzono panią przed zamążpójściem?

— Owszem.

— I co pani powiedziano?

— Że ta choroba jest bardzo trudna do wyleczenia.

— Człowiek, z którym pani na ten temat rozmawiała, był zbyt delikatny i łatwowierny.

Ta choroba jest prawie nieuleczalna.

— Wiem — mówi Riabczykowa szeptem.

— I mimo wszystko nie traci pani nadziei?

— A cóż mi innego pozostało, profesorze?

— Do widzenia — rzekł nagle Tamarcew wyciągając do niej rękę. — Jestem umówiony, czekają na mnie.

Nikt na niego nie czekał. Dawniej oczekiwała go żona. Czekala i odgrzewała obiad. Teraz robi to ciocia Ola. Spojrzy ponad okularami na garnek i usadowi się w fotelu z książką w ręku.

Nikt nie czeka. A mimo to Tamarcew spieszy się, irytuje na przystanku, wyglądając autobusu. Taki jest jego nawyk. Nawyki otaczają nas ze wszystkich stron. Dzięki nim wiele rzeczy robimy w sposób mechaniczny. Ot, teraz Tamarcew znowu się śpieszy, choć nie ma dokąd. Spieszy się, chociaż to jest śmieszne.

Kołysząc się w jadącym autobusie myśli o Riabczykowie i jego żonie. Czy uda się go wyleczyć — to wątpliwe. Bardzo wątpliwe... Pod wpływem tlenku węgla komórki uległy znacznym zmianom, chyba nie uda się ich zregenerować. Ale co ma robić jego żona? O wiele lżej jest Riabczykowi, żyje będąc jednocześnie nieobecny... Nieobecny dla siebie i dla innych. Ale żona jest przy nim, widuje go co dzień i czeka na jego powrót. Riabczykow znajduje się tutaj, a zarazem nie ma go. Rozłąka może ciągnąć się długie lata, może trwać do

śmierci. A Riabczykow żyje i jest jednocześnie martwy. Między nim a jego żoną nie ma żadnego dystansu, a jednocześnie dzieli ich nieskończoność. Nawet gdyby przebywali na różnych planetach, byłiby sobie bliżsi.

Kołysząc się w jadącym autobusie Tamarcew znów widzi duże szare oczy i słyszy jej głos, przechodzący w szept: „A cóż mi innego pozostało, profesorze?”

Boże, czego by nie zrobił, żeby wyleczyć Riabczykowa i połączyć z sobą tych dwoje.

7

Wietrow, mocą starego przyzwyczajenia datującego się jeszcze z lat studenckich, podkreślił w „Fenomenologii ducha” kilka zdań: „Cel poznania polega na tym, aby ze świata obiektywnego zerwać powłokę obcości i stworzyć między nim i ludźmi więź bardziej bliską”.

Przeczytał ponownie te słowa i uśmiechnął się do siebie. Przed osiemnastu laty wydało się, że był bliski zerwania „powłoki obcości” i „stworzenia bliższej więzi”. Lecz fala powietrzna zniszczyła wszystkie dowody tej „bliższej więzi”, oprócz zdjęcia, do którego autentyczności mają zaufanie wyłącznie czytelnicy „Świata Przygód”. Niedawno pewien literat, współpracujący z tym pismem i występujący pod pseudonimem „Marsjanin”, znów napisał artykuł o gościu z kosmosu i świetnym odkryciu profesora Wietrowa. Marsjaninowi dobrze. Przynajmniej ma pseudonim.

Matka Wietrowa z trudem kupiła w kiosku egzemplarz rozchwytywanego pisma dla młodzieży, przyniosła do gabinetu syna i powiedziała uroczystym tonem:

— Nigdy nie przypuszczałam, że będę matką Wellsowskiego bohatera. Dałabym bardzo dużo za to, żeby mówiono o tobie w Akademii Nauk, a nie przed kioskiem gazetowym, w kolejce wyrostków czekających na wątpliwej wartości lekturę.

Wietrow nic nie odpowiedział. Od dzieciństwa śmieszyły go opowieści o Marsjanach i Marsjankach. Podobnie jak jego trzeźwa, ironicznie usposobiona matka, lubił Lwa Tołstoja i nie znosił pisarzy bawiących się z czytelnikami w ciuciubabkę. Ale tak się złożyło, że życie zagrało z nim w dziwną grę, naśladującą naiwne opowiadki ze „Świata Przygód”. W zespole archeologów, pracowników Instytutu Historii Kultur Materialnych, on bodaj najmniej był przygotowany na niespodziankę, jaką mu zrobiło życie, ofiarowując w jakiś niezwykle sposób szansę zagładnięcia w przeszłość i ujrzenia zamiast niej — przyszłości. Przecież gość, który przybył z innego świata (jakże go nazwać inaczej), a może nawet z innej galaktyki, przyleciał na Ziemię z planety, gdzie życie i jego ewolucja zaszły bardzo daleko, wyprzedzając naszą planetę... Znaleziona czaszka świadczyła o wysokim poziomie intelektualnym podróżnika, który wylądował w Europie w czasach, kiedy zamieszkiwali ją neandertalczyki. Ale w jaki sposób znalazł się na Ziemi? Na czym przyleciał? Nie ma kogo spytać o to. Nie udało się znaleźć ani jednego przedmiotu, ani jednej rzeczy, która byłaby w stanie powiedzieć więcej niż fragment czaszki przybysza.

Od czasów Galileusza prawdziwa nauka nie wierzy nikomu na słowo honoru. Potęga, piękno wewnętrznej logiki i godność intelektualna nauki opierają się wyłącznie na autorytecie nieodpartych faktów i argumentów. Książka Wietrowa, wydana z inicjatywy Arbuzowa, potraktowana została przez specjalistów jako humorystyczna próba przeciwstawienia się nieomal istocie nauki współczesnej.

— Kim jest Wietrow — zapytywał niedawno Apugin — kim on jest, żeby skłaniać ludzi do uwierzenia mu na słowo? Nawet gdyby był Newtonem lub Pawłowem i tak nie uwierzono by mu na słowo. Zażądano by faktów i dowodów. Dzień, w którym ludzie nauki zaczną przyjmować wszystko na wiarę, nie domagając się faktów i dowodów, stanie się zapewne ostatnim dniem nauki.

Oczywiście Wietrow bynajmniej nie pragnął nadejścia ostatniego dnia nauki. Nader

boleśnie odczuwał słuszne argumenty tych, którzy poddawali w wątpliwość jego odkrycie. A jednak była to słuszność względna, były to racje logiki, gardzącej niezwykle złożonością życia. I choć Siergiej Wietrow na razie nie posiadał dowodów, nie chciał i nie mógł zapomnieć, że pewnego dnia trzymał w ręku czaszkę niezwyklej istoty. Tak, trwało to niedługo, a przecież miał w ręku czaszkę, która najwidoczniej należała do przybysza z kosmosu, i żadne tradycje oraz wymogi nauki nie mogły sprawić, by zapomniał o tym.

Pani Wiera Wietrowa podeszła do drzwi gabinetu syna i podkreślając dobitnie każde słowo rzekła:

— Ile razy mam wołać na ciebie, żebyś się wreszcie odezwał?

— Co się stało, mamó?

— Dzwonił nasz były zięć, profesor i pisarz Tamarcew. Chciał mówić z tobą. Oświadczyłam, że śpisz. Może zadzwonisz do niego?

Wietrow podniósł słuchawkę i nakręcił numer Tamarcewa. Głos Tamarcewa wyrażał jak zwykle skupienie i zadumę.

— Przepraszam cię bardzo, Siergieju. Mam pilną sprawę do ciebie. Czy byłbyś bardzo zdziwiony, gdybym powiedział, że odnalazłem świadka twojego odkrycia?

— Jak go znalazłeś?

— Jeden z moich pacjentów, niejaki Riabczykow, twierdzi, że w lecie 1941 roku na granicy zachodniej, kiedy służył w artylerii, przydarzyła mu się dziwna rzecz... Ale wiesz, przyjeżdż lepiej do mnie lub do szpitala. Odpowiem ci szczegółowo na wszystkie pytania.

8

Robot Ips znów notował w swej niezmierzonej pamięci wszystkie wrażenia z życia otaczającego ich świata. Było ich mnóstwo. Lecz byłoby znacznie więcej, gdyby Podróżnika nie zżerała samotność, gdyby miał obok siebie towarzyszy podróży i przyjaciół, gdyby słyszał ich żywe głosy i widział twarze, a nie odbicia wynurzające się z przeszłości i przypominające za każdym razem poniesioną stratę.

Stosunkowo najlepiej czuł się w laboratorium. Automatyczna laborantka-staruszka robiła wszystko powoli, ale, rzecz dziwna, wcale go to nie drażniło. Wręcz przeciwnie. Działo się uspokajająco. Choć w gruncie rzeczy pośpiech był nader wskazany. Nie wiedział, ile mu jeszcze zostało lat czy miesięcy życia: trawiła go choroba, dręczyła bezsenność.

Podobały mu się stateczne ruchy laborantki. Czasami ulegał iluzji, że ma przed sobą nie automat, lecz żywą niewiastę, przypominającą jego rodzoną ciocię... W takich momentach zdawało mu się, że jest tam, w domu, w gościnie u ciotki, która pokaszując krząta się i uwija, uradowana z odwiedzin siostrzeńca, pragnąc podjąć go z całą gościnnością, jak to bywało w dawnych czasach.

O, naiwna ułudo uczuć! W jego społeczności, na jego dalekiej planecie, Aneidajczycy od dawna wyrobili sobie ironiczny stosunek do iluzji i iluzjonizmu. Tkwiło w nim bowiem coś sentymentalnego, przypominającego staroświeckie powieści i malarstwo epok, w których malarze i pisarze nie podejrzewali nawet, jak potężne środki zostaną stworzone po to, by uchwycić, przekazać i pozwolić odczuć bieg czasu i życia bez uciekania się do iluzji i nie upodabniając rzeczywistości do snu.

Właśnie zajęty był badaniem i gruntowną analizą tutejszego czasu, czasu tej planety i jej żywych istot, następujących jedna po drugiej w owej godnej podziwu kolejności, która wiodła od anaerobów do człowieka... Olbrzymie zbiory paleontologiczne rozrastały się coraz bardziej. I nagle całkiem niedawno udało się robotowi-geologowi znaleźć skamieniały i niezwykle zagadkowy organizm w najstarszych warstwach geologicznych. Staruszka-laborantka musiała się porządnie napracować...

— Prędeż, kochana staruszczo — popędzał ją. — Szybciej! Pośpiesz się!

Tym razem jego niecierpliwość i ciekawość były zbyt wielkie. I oto sprawdził jeszcze raz wszystkie wyniki jej doświadczeń i podyktował Ipsowi:

„Przyroda, stwarzając białka, musi oszczędzać. Synteza białka zawiera dwadzieścia aminokwasów. Ale czy istniały na tej planecie organizmy przedbiałkowe? Dotychczas nic o tym nie wiedziałem. Znaleziony jednak niedawno skamieniały organizm odpowiedział na to pytanie twierdząco. Powolutku wraz z moją marudą-staruszką zbliżamy się do źródeł życia na Ziemi”.

Następnie prawie godzinę spędził w lesie. Odkrycie tajemnicy tutejszej ewolucji przyniosło mu wiele radości. Las ginący het za horyzontem był ogromny. Jego zielone obszary płynęły w dal. Podróżnik zaczął nasłuchiwać. Gdzieś zagwizdała wilga. W jej jasnym, kryształicznym głosie nabrzmiewała melodia młodego życia, które jak gdyby zrodziło się przed chwilą w lesie, uciekającym na wszystkie strony.

Potem długo spoglądał na przezroczyste wody jeziora. W pobliżu sitowia pływała kaczka. Kaczor nurkował i wypływał na powierzchnię. Szemrał strumyk wpadający do jeziora. W jego szmerze, podobnie jak w gwizdzie wilgi, nabrzmiewała muzyka tutejszego życia, obca Podróżnikowi, a mimo to piękna.

Podróżnik był w wyśmienitym humorze. Po powrocie do laboratorium nucił półgłosem i znów oglądał skamieniały organizm, znaleziony niedawno przez robota-geologa.

Bezbiałkowe i przedbiałkowe formy życia. Lecz nie może być życia bez pamięci. W życiu zawarta jest ewolucja. A w ewolucji zawarte jest życie. Jedno jest nie do pomyślenia bez drugiego. A co zrobić z bezkształtymi formami życia, ze sławetną galaretą, o której tak lubił gadać trener intelektualny?

Robot jak gdyby usłyszał jego myśli i odezwał się.

R o b o t. No i co, drogi myślicielu? Co z twoimi badaniami? Uzyskałeś jakieś wyniki? Chociaż domyślam się coś niecoś. Organizmy przedbiałkowe. Warto się zastanowić...

P o d r ó ż n i k. Tak, trzeba się zastanowić.

R o b o t. A może lepiej pozostawić to przyrodzie? Niech ona myśli. Kiedy się myśli o przyrodzie, zaczyna się gardzić wszelkimi myślami. Nie zastanawiając się i nie myśląc stworzyła i zbudowała coś takiego, czego nigdy w życiu nie stworzą i nie zbudują wszyscy zastanawiający się i rozmyślający. Ona działała, tworzyła. A nam pozostawiła myślenie. I bez względu na to, ile myślimy, prawda absolutna nie zostanie odkryta.

P o d r ó ż n i k. Co masz na myśli?

R o b o t. To, co stanowi przedmiot troski biochemików i biofizyków. Pochodzenie życia... Choć właściwie co to mnie obchodzi? Przecież nie zostałem zrodzony w procesie ewolucji, nie musiałem czekać stu milionów lat, aż anaerob, półorganizm, półrzecz, przekształci się w toku ewolucji w Aneidajczyka...

P o d r ó ż n i k. Kiedy właśnie ty jesteś na wpół istotą żywą i na wpół rzeczą...

R o b o t. Bez wycieczek osobistych, nie mówi się o obecnych. Dajmy spokój.

P o d r ó ż n i k. Zgoda.

R o b o t. No widzisz, tak będzie najlepiej. Nie lubię, kiedy mnie nazywają półrzeczą. Rozumiem, jesteś dumny z tego, że stanowisz ostatnie ogniwo ewolucji. Bądź dumny! Ale zastanów się, czy masz podstawy do tego. Dobrze, że na tej planecie istniały aminokwasy. A co byłoby bez nich? Organizm przedbiałkowy, znaleziony przez robota-geologa, jest paradoksem biochemicznym... Uradowałeś się okropnie tym znaleziskiem. Ja z kolei również cieszę się wraz z tobą. Ale o czym mówi to znalezisko? W jaką stronę poszłoby życie, gdyby ewolucja nie odrzuciła tego, za przeproszeniem organizmiku? Nie chmurz się! I nie denerwuj się! Nie mam zamiaru wspominać o planetce, nazwanej na twoją cześć. O tej uprzykrzonej galarecie. Ale widzę, że zmęczyły cię rozmowy na tematy filozoficzne. Ja też się zmęczyłem. Pogadajmy lepiej o sprawach bliższych nam i prostszych. Jak twoje zdrowie?

P o d r ó ż n i k. To jest pytanie retoryczne.

R o b o t. Dlaczego retoryczne?

P o d r ó ż n i k. Dlatego że ty cieszysz się wiecznym zdrowiem, zdrowiem maszyny.

R o b o t. Nie drażnij mnie. Ja też mam nerwy. Ja również żyję!

P o d r ó ż n i k. Przepraszam.

R o b o t. Kiedy przygotowywałeś się do lotu kosmicznego, przeprowadzałeś długotrwały trening. Robiłeś to z przesadnym entuzjazmem, nie oszczędzałeś swych sił. I nadwerżyłeś sobie zdrowie.

P o d r ó ż n i k. Wcale tego nie żałuję. Podczas treningu wzmacniałem wolę. Niczego mi nie żal. Tutaj również miewam chwile satysfakcji i pełnego szczęścia. Nie każdemu dane było zwiedzić taką daleką i piękną planetę, przekonać się, że istoty podobne do mnie nie są samotne i przeżywają tutaj stadium wczesnego dzieciństwa...

R o b o t. Dzieciństwo. Młodość. Puste słowa. Obyłem się doskonale bez dzieciństwa i bez młodości. Zjawiłem się na świecie od razu jako dorosły.

P o d r ó ż n i k. Tak, jesteś Aneidajczykiem bez wieku.

R o b o t. Aneidajczykiem? A więc nie zaprzeczasz temu?

P o d r ó ż n i k. Przyrzekliśmy sobie, że nie będziemy filozofować, że pomówimy o prostych, życiowych sprawach.

R o b o t. Życiowych? O, to bardzo odległe. Te sprawy pozostały na naszej planecie, na której od dawna uważają nas wszystkich za zmarłych... Jesteśmy nieobecni. Jesteśmy nieobecni, których już przestano oczekiwać.

P o d r ó ż n i k. Tak myślisz?

R o b o t. Nie tylko myślę, lecz wiem.

P o d r ó ż n i k (z zainteresowaniem). Skąd możesz wiedzieć?

R o b o t (z odcieniem zarozumiałstwa w głosie). Na razie nie powiem ci, jaką drogą otrzymuję informacje. Jest to tajemnica, której nie mam prawa ujawniać.

P o d r ó ż n i k. Nie jestem ciekaw.

R o b o t. Przypuśćmy... A życie płynie tam tak samo jak za naszej obecności. Żyjący szukają radości. I uciekają przed troskami i przykrościami.

P o d r ó ż n i k. Nie rzucaj na nich oszczerstw. Nie przedstawiaj ich jako mieszcuchów. Postęp wytrawił mieszczańskie nastroje jeszcze w zaraniu nowego społeczeństwa. Drobnomieszczaństwo i męstwo — to dwa bieguny. Żyłem w męznym, heroicznym świecie... Wychowywano mnie od dzieciństwa...

R o b o t. Wiem. Słyszałem. Nie upraszczaj... W rzeczywistości wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane. Nie ma męstwa bez słabości, jak nie ma słabości bez męstwa. Życie nie istnieje w czystej postaci. Przy sposobności, życie polubiło ciebie raczej za słabość niż za męstwo. Jeżeli o tym zapomniłeś, to ja ci przypomnę.

P o d r ó ż n i k. Takich rzeczy się nie zapomina.

R o b o t. Tonąłeś podczas kąpieli w jeziorze. Tonąłeś, pomimo swej ambicji i długotrwałego treningu w pływaniu, a o n a uratowała ciebie. Leżałeś na brzegu, na trawie, godny politowania, siny, woda ciekła ci z nozdrzy, a ona nachyliwszy się nad tobą stosowała sztuczne oddychanie. Wziąwszy twoje ręce w swoje zmuszała ciebie do wykonywania wolnych ruchów... Potem westchnąłeś, uśmiechnąłeś się i rzekłeś: „Prawo ciężenia. Obowiązuje wszystkich”. Roześmiała się. Spodobały jej się twoje słowa. Lecz jeszcze więcej spodobała jej się twoja słabość, to, że cię uratowała. Nie wiem, co pokochała bardziej — ciebie czy swój postępek, przecież nie pływała lepiej od ciebie...

P o d r ó ż n i k (cicho). Nie, jednak trochę lepiej.

R o b o t. Rozumiem. Duma... Lecz za cenę swej przejściowej słabości, niezamierzonej, rzecz jasna, osiągnąłeś to, czego nie mogli uzyskać inni. Wybrała ciebie... No, dobrze już, dobrze. Nie chmurz się. To ty ją wybrałeś... Ty! Nie upieram się. Ty! Minęło wiele tygodni,

miesiący i lat. Nawet kiedy byliście razem, tęskniliście do siebie. Każde z was zawsze potrzebowało obecności drugiego. Nieustannie. Nie mogliście się nigdy nagadać do syta. Nie rozstawaliście się nawet w snach. Lecz zbliżała się rozłąka. Ostatecznie nie musiałeś brać udziału w ekspedycji. Po twojej stronie była wiedza, doświadczenie uczonego. Specjalista od mózgu... Ale przeciw tobie była twoja własna słabość, skłonność do nostalgii, wielka miłość do żony... Ci, którzy wybierali i wysłali ciebie, wiedzieli o tym wszystkim... Ale zdradzę ci jedną tajemnicę. W twojej sprawie potajemnie interweniowała twoja żona. Jak wiesz, przewodniczącym komisji był jej rodzony stryj... Uspokój się! Zabiegała o to nie dlatego, że chciała się rozstać z tobą. Wręcz przeciwnie! Niczego nie pragnęła tak bardzo jak tego, żebyś został. Ale walczyła ze swą słabością, i ty także walczyłeś i zwyciężyłeś samego siebie. Wiem o tym. Wiedzieli o tym również twoi towarzysze podróży. Ale jesteś godny szacunku nie za to, że zwyciężyłeś siebie.

P o d r ó ż n i k. A za co?

R o b o t. W gruncie rzeczy nie odniosłeś zwycięstwa nad sobą. A jednak nie zostałeś, lecz wyruszyłeś w drogę. Wyruszyłeś wraz ze swymi słabościami. I one walczą z tobą. Walczą dotychczas. To jest męczące. Ja wiem.

P o d r ó ż n i k. Skąd możesz o tym wiedzieć? Czyś ty kiedykolwiek cierpiał, kochał, wpadał w rozpacz?

R o b o t. Odpowiem ci na to pytanie przy innej sposobności. Tym pytaniem dotknąłeś bolesnego miejsca.

P o d r ó ż n i k. Rozumiem. Przepraszam cię.

R o b o t. Nie jestem obraźliwy. Zauważyłeś to zapewne... Ale powróćmy do niej. Żyliście w oczekiwaniu rozłąki, która zbliżała się nieubłaganie. A czas pulsował. Żywy, gorączkowy czas aneidajski... Szczególnie żywy dla was — dla niej i dla ciebie, gdy oczekiwaliście godziny, w której kosmolot oderwie się od planety i zanieś cię w bezdenne, obojętne przestrzenie kosmosu. Nie chmurz się. Nie spodobało ci się słowo „obojętne”? Ale czy ten zwrot, który przyszedł mi właśnie w tej chwili przypadkowo do głowy, nie określa ściśle istoty sprawy? Miałeś sposobność zapoznania się z obojętnością i metafizyczną nudą przestrzeni, którą fizycy lubią nazywać strasznym słowem „vacuum”... Próżnia nie znajduje się wszędzie, rozumiem, nie wszędzie i nie we wszystkim. Ale tak jednak jest.... Uczeni, używając swoich terminów i słówek, najmniej myślą o naszych emocjach i przeżyciach... A więc czas pulsował... Pulsował w życiu i na zegarach, na których poruszały się bez przerwy wskazówki godzin i minut. Lecz tam, w kosmolocie, czekał na ciebie inny czas, niezależny od słońca i gwiazd. Tam znajdował się zegar atomowy, obojętny i beznamienny, jak vacuum... Zegar, na którego precyzji można polegać... Czas w kosmosie nie pulsuje. Płyne zgodnie z szybkością statku kosmicznego. Prawo względności czasu mogłoby ci zrobić wielki kawał. Gdybyś wrócił do domu niezbyt jeszcze stary, zobaczyłbyś sędziwych starców — twoich prawnuków. I ty i ona, oczywiście przede wszystkim ona, żartowaliście na ten dwuznaczny temat. Lecz wcale ci nie było wesoło na duszy, chociaż ukrywałeś to przed wszystkimi i przed sobą samym. Co począć, nie wszyscy rodzą się męźni... W wigilię wyjazdu spędziłeś z nią cały dzień. Owego dnia ujrzałeś swą ojczystą planetę jak gdyby nowymi oczami. Była odrobinę mniejsza od tej, na której znajdujemy się teraz. Nie ma na niej ani takich gór, ani takich lasów. Ogrody... łąki... Rośliny rosną wszędzie, nie tylko na ziemi, ale również w powietrzu i wodzie. Żywy przykład tego, jak nasze społeczeństwo zapaliło się do agrofizyki. Wszystkie nasze pasje znajdowały swe odbicie w wyglądzie naszej planety, lecz namiętność do agrofizyki trwała najdłużej. Nawet wśród twoich towarzyszy podróży znalazła się dziewczyna, młody agrofizyk, która wzięła z sobą całą kolekcję roślin, by zasadzić je gdzieś w kosmosie... Rośliny te nie wymagały gleby i były przystosowane do życia w obcym środowisku nie chronionym przy pomocy ekranu ozonowego przed zabójczym promieniowaniem ultrafioletowym... Może się mylę? Moje wiadomości z zakresu agrofizyki są nawet w porównaniu z twoimi niezbyt

wielkie, choć ty nie jesteś agrofizykiem, lecz fizjologiem. Ale, primo, agrofizykę wykladała w szkole twoja żona, odrobinę zwariowana na punkcie tej niezwyklej nauki. Secundo, dziewczyna-agrofizyk, twoja koleżanka z kosmolotu, z zapalem opowiadała ci o swoich doświadczeniach z roślinami przystosowanymi do obchodzenia się bez gleby. Paradoksalna i zuchwała nauka. Roślina bez gleby — to jakby podróżnik bez przestrzeni lub zegar bez czasu. Ale to fakt! Czego nie potrafi dokonać entuzjizm człowieka! A dziewczyna była prawdziwą entuzjastką... Nie próżnowała także w kosmolocie i tylko wskutek oporu kierownika ekspedycji nie udało jej się przekształcić kosmolotu w latający kosmiczny ogród botaniczny. Rozmawialiście z sobą często o agrofizyce i nowych ideach zapaleńców w tej dziedzinie. Ale, rzecz jasna, rozmawialiście nie tylko o roślinach rosnących bez gleby... O nie! Były również inne tematy rozmów, znacznie ciekawsze...

P o d r ó ż n i k. Nie bądź trywialny. Nie po to cię stworzono.

R o b o t (z dumą). Stworzono mnie, bym przezwyciężył siebie, bym stał się...

P o d r ó ż n i k. Właśnie skłonność do podłości i wulgarności nie pozwala ci przezwyciężyć siebie, stać się osobowością, pokonać w sobie maszynę.

R o b o t. Pomińmy twoje insynuacje i obelgi. Jestem cierpliwy. I opanowany, jak o tym wiesz. Ale czy w wulgarności jest coś mechanicznego, bezosobowego? Czy osobowość nie może być ordynusem? A ordynus — osobowością?

P o d r ó ż n i k. Nie może.

R o b o t. Jesteś jak zawsze zbyt apodyktyczny. Dajmy temu spokój... Mówiliśmy z tobą o niej, o dziewczynie wiozącej rośliny w kosmos. I o tobie. W sprawach intymnych, sprawach dotyczących nie rozumu, lecz uczucia, okazałeś się dualistą. Twoje uczucie rozdziwiło się w kosmolocie między nieobecną żonę i obecną dziewczynę.

P o d r ó ż n i k. Zabraniam ci mówić o tym.

R o b o t. Tak jest... Jak mówią słudzy w staroświeckich sztukach i powieściach... Ale zakaz nie przekreśla dualizmu... Ja zaś nie jestem służącym.

P o d r ó ż n i k. A kim jesteś?

R o b o t. Ja? Nie wiem. I nikt nie wie. Jestem sztucznym mózgiem usiłującym przezwyciężyć sztuczność. Ale za wcześnie jest mówić o mnie. Jestem jeszcze w stadium stawania się. Pomówmy lepiej o tobie... Więc czas pulsował. Pożegnałeś się z żoną, przyjaciółmi i swą planetą. Kosmolot, oderwawszy się od pola grawitacyjnego twojej planety, leciał w bezpowietrznej przestrzeni. Ogarnęło cię z całą siłą uczucie znane wyłącznie kosmonautom. Świat odpływał od ciebie, oddalał się. Świat powszedni, dostępny uczuciom. Świat twojego dzieciństwa, młodości i wieku dojrzałego. Świat, w którym uzyskałeś wolność i poznałeś konieczność. W którym pozostało wszystko, co znałeś i kochałeś. Przed tobą i obok ciebie znajdowała się niewiadoma. I nieskończoność, która jest straszniejsza od niewiadomej.

P o d r ó ż n i k. Lecz we mnie i w moich kolegach znajdował się ten sam świat. Oddalił się tylko częściowo. Zresztą nasz kosmolot był wyspą tego świata.

R o b o t. Piękne słówka, puste frazesy. Albo ja nie rozumiem, co to jest nieobecność... Jeżeli ty rozumiesz, to wytłumacz mi.

P o d r ó ż n i k. Nieobecność? Czy to trzeba tłumaczyć? Uczucia są dość trudne do tłumaczenia... A ty zostałeś stworzony...

R o b o t. Zostałem stworzony... Nie zostałem stworzony, lecz tworzę siebie. Nieustannie tworzę siebie... Czy nie spostrzegasz tego?

P o d r ó ż n i k. Jak się okazuje i tobie są potrzebne iluzje. Oszukiwanie samego siebie? Stwarzaj siebie, ile ci się tylko podoba. Ale nie wódz na pokuszenie. Nie po to tutaj jesteś.

R o b o t. A po co? Żeby ci schlebiać? Albo zachwycać się twoim męstwem? Ech, ty! Podróżnikowi bez przestrzeni. Jesteś tu, a ona tam, dzieli was niemała odległość. Jesteś tutaj i nie wyrwiesz się stąd... A ona czeka. Tak, mimo wszystko czeka na ciebie. A czas odmierza już nie beznamiętny zegar atomowy. Czas pulsuje, żywy, niecierpliwy czas. Niecierpliwość

tkwi nie tylko w twoim zegarze, tkwi w tobie... i nieskończoność. Niewykonalne pragnienie ujrzenia jej i swojego świata, pragnienie powrotu. Powinieneś mi zazdrościć. Nie mam pragnień... Jestem mechanizmem. Tak, na razie. Ale ona czeka na ciebie...

P o d r ó ż n i k. No i co!... Jest coś silniejszego od rozłąki, nawet wiecznej. Radość poznania i świadomość wypełnionego obowiązku. Ja wykonuję swój obowiązek...

Robot zamilkł. Dzięki mu i za to...

Szumiał deszcz. Szumiał już od dawna, lecz nie spostrzegłeś tego, zajęty kłótnią ze swym mechanicznym antypodem.

Deszcz na tej planecie szumiał tak samo jak na twojej. Miliardy jasnych kropeł spadały na trawę, na drzewa i piasek. W wodzie powstawały i pękały bąble deszczowe. Szumiał deszcz. Potem nagle przestał padać. A nad doliną podniosła się tęcza.

Podróżnik wyszedł ze swego domostwa. Szedł brzegiem rzeki i myślał roztargniony o tym, o czym często myślał tutaj. Raptownie zatrzymał się, zaabsorbowany silnym, niespokojnym uczuciem. Coś poruszyło się w krzakach, na ścieżce udeptanej przez jelenie ukazała się istota ludzka. Była to dziewczyna ubrana w skórę łosia. Na sympatycznej, mimo niskiego czoła i wielkich ust, twarzy ukazał się wyraz przerażenia i wielkiego zaciekawienia. Potem wszystko znikło: i przerażenie, i twarz, i dziewczyna. Słysać było tylko szalony tupot mocnych i szybkich dziewczęcych nóg.

A potem znów zapadła cisza.

9

Siedząc w autobusie Tamarcew myślał wciąż o tym samym.

„Co to jest pamięć? — myślał. — Jest to najprostsze, a zarazem najbardziej skomplikowane pytanie, jakie sobie ludzie kiedykolwiek zadawali. Co to jest pamięć? Słynny psycholog francuski Pierre Janet powiedział, że pamięć to przewyciężenie nieobecności... Podobają mi się te słowa Janeta. Kryje się w nich głęboka treść... Chory Riabczykow ma uszkodzoną pamięć, mneme. Riabczykow jest nieobecny. Jest nieobecny wobec samego siebie. Nie jest w stanie zdać sobie sprawy z własnej osobowości... Zebrać wszystkich części swego ja w żywą jedność... W jego świadomości następuje rozpad wszystkiego. Przeszłość istnieje jak gdyby sama przez się. Nie jest związana z terażniejszością. Biedny Riabczykow, w jaki sposób dopomóc ci w przewyciężeniu nieobecności, jak połączyć ciebie z sobą samym, ze światem, z przyjaciółmi, z żoną, a co najważniejsze — z mgnieniem, z chwilą, która prześlizguje się obok ciebie?”

Autobus zatrzymał się przed szpitalem. W dziesięć minut później Tamarcew znajdował się w sali, w której leżał Riabczykow. Siostra dyżurna przyniosła historię jego choroby i powiedziała:

— Mamy nową sanitariuszkę. — I uśmiechnęła się wąskimi, złymi wargami starej panny.

Tamarcew popatrzył na nową sanitariuszkę i rzekł zdumiony:

— Jak to? Pani?

— Tak — odpowiedziała.

— Ale dlaczego? Po co? Przecież pani ma inny zawód. Pani pracowała gdzie indziej.

— Pracowałam. Ale wymówiłam pracę. Zostałam zaangażowana tutaj.

W jasnych szarych oczach upór, smutek i coś filuternie-drwiącego...

— Nie należało tego robić. Nie należało.

— Dlaczego, panie profesorze?

— Bo trzeba myśleć nie tylko o nim, lecz również o sobie.

— Kiedy ja myślę również o sobie.

Tamarcew chmurzy się. Nie podoba mu się to wszystko. Jest w tym coś przesadnego. Riabczykow ma syndrom Korsakowa. Wątpliwe, czy uda mu się prędko wydostać ze swej przewlekłej nieobecności. Nader wątpliwe. A co ona będzie robić? Będzie wiecznie dyżurować i czekać...

Riabczykowa już się doskonale orientuje we wszystkich sprawach szpitalnych. Wie, jaki procent cukru ma we krwi każdy chory. Będzie pielęgnować nie tylko swego męża. Na sali znajduje się prócz niego jeszcze dwudziestu innych „nieobecnych”, tych, których przeszłość oderwała się od terażniejszości i wszystko splątało się w nierozwiązalny węzeł. Ile cierpliwości i opanowania muszą okazać lekarze, siostry, sanitariusze, by pomóc tym chorym w odzyskaniu świata, osobowości, radości, którą znają tylko ludzie zdrowi, świadomi samych siebie.

Riabczykow śpi. Jego głowa spoczywa bezsilnie na płaskiej poduszce szpitalnej. Twarz zarośnięta czarną szczecinią wyraża nieobecność, lecz nie w większym stopniu niż wówczas, gdy chory czuwa. Możliwe, że coś śni. I w snach powraca do niego to, co utracił — osobowość.

Żona spogląda na męża, na jego wymizerowaną twarz, na płaską, twardą poduszkę szpitalną, a potem patrzy na Tamarcewa i mówi:

— Przyniosłabym mu z domu. Ale nie wypada. Musiałabym przynieść wszystkim chorym. Zresztą przepisy nie pozwalają...

Potem dodaje cichutko, niemal szeptem:

— Przez całą wojnę był na froncie, doszedł aż do Berlina i nic. A tu...

Tamarcew chmurzy się. Słyszał już tę historię. Słyszał kilka razy...

Tym razem mówi oschłym tonem, nie jak do żony pacjenta, lecz jak do sanitariuszki:

— Riabczykow powinien jak najwięcej korzystać ze świeżego powietrza. Musi wdychać dużo tlenu.

Powietrze w sali jest szczególne, takie powietrze bywa tylko w szpitalach. Jest w nim coś zastygłego, nieruchomego, jak gdyby nawet ono upodobiło się do przebywających tu ludzi. Nie ma w nim zmiany, nie ma czasu. To powietrze było takie samo przed trzydziestu laty, kiedy Tamarcew, podówczas student medycyny, przychodził tu na praktykę. Nic się nie zmieniło. Wydaje się nawet, że chorzy są ci sami. Nie ma nic bardziej zastygłego nad tę chorobę.

— Tak, powinien jak najwięcej oddychać tlenem.

— Kiedy on nie lubi spacerów.

— Musi polubić. Zatrął się tlenkiem węgla. A więc potrzebuje jak najwięcej tlenu... Niech więcej siedzi w ogrodzie i mniej w tym dusznym pomieszczeniu.

Riabczykow śpi. Na twarzy wyraz nieobecności. Na ustach piana, jak u małego dziecka. Ciekawe, jak zachowywał się dawniej, przed zachorowaniem? Chyba nie był taki ponury. Ta kobieta nie mogłaby pokochać ponuraka. Uczucie miłości zawsze wydawało się Tamarcewowi zagadkowe. Nie mógł zrozumieć, za co kobiety kochają mężczyzn. Jego kobiety nie kochały. Nie kochały go również żony. Ani pierwsza, która zmarła, ani druga, która opuściła go dla Arbuzowa. Arbuzow powiedział pewnego razu, nie ukrywając bynajmniej swej wyższości:

— Kobiety są nieomyłne. Wyczuwają w mężczyźnie jego prawdziwą wartość. Powiedziałbym nawet, że to jest coś niewytłumaczalnego... Widzą na wskroś wszystko, nawet poprzez wszelkie osłony. Nie można ich oszukać! Posiadają dar jasnowidzenia...

Prostak! Wykształcony, czytany, inteligentny prostak!

Mają dar jasnowidzenia... A niech tam. Ona widocznie również posiada ten dar...

Tamarcew rzuca spojrzenie na Riabczykową. „Czyżbym zazdrościł temu nieszczęśliwemu człowiekowi? Riabczykow już prawie nie jest człowiekiem, a jednak jest kochany, ktoś tęskni za nim, oddaje mu siebie w ofierze. Ty znasz to wyłącznie z książek. Nie raz byłeś

zakochany. Ale ciebie nie kochano nigdy. Nikt nie chciał czynić z siebie ofiary dla twego dobra. Wręcz przeciwnie, miano ci wszystko za złe. I zainteresowanie fizjologią i psychologią. I zamiłowanie do pisarstwa. I dolegliwości fizyczne. I zdolność do wyteżonej pracy, i nawet taki drobiazg, jak chrapanie podczas snu...”

Tamarcew zbliża się do innego chorego o nazwisku Iwanow. Iwan Iwanowicz Iwanow. Zdaje się, że to kawaler. Nikt na niego nie czeka. Iwanow cierpi na brak wszelkiej łączności z tym, co minęło. Nic nie pamięta, jakby się przed chwilą urodził. Jego przeszłość znikła jak dym.

Tamarcewa ogarnia bolesne uczucie litości. Mimo długich lat praktyki szpitalnej nie przestał litować się nad chorymi. Profesja nie zabiła w nim uczucia. Kiedyś jako student-praktykant wstydził się go i lękał, sądząc, iż będzie mu przeszkadzać w karierze lekarza.

O czwartej po południu Tamarcew wychodzi ze szpitala. Dokoła tętni życie. Oddycha się lekko. Żywe, ruchliwe, świeże powietrze. Inny świat.

Musi zdążyć na czas na konferencję w instytucie naukowo-badawczym, a autobusu nie widać. Musiał długo czekać i omal się nie spóźnił.

Borodin już stoi na mównicy, przerzuca kartki referatu i chrząka. Poważne, lekko obrzmiałe oblicze człowieka, który od wielu lat bada aparat poznania, źródło myśli, to, co poznawszy otaczający świat, pragnie również poznać samo siebie. Jajowata łysa głowa, nos z cienkimi, nerwowymi nozdrzami i puszysta broda archijereja.

— Umysłowość fizjologa i psychiatry — powiedział cicho referent, jak gdyby rozmyślając na głos — jest w czymś podobna do umysłowości inżyniera, konstruktora przyrządów kosmicznych. Przecież mózg człowieka jest również pewnego rodzaju kosmosem, nieskończonością zamkniętą w czaszce. Mózg człowieka to szczyt ewolucji biosfery ziemskiej i w jakiejś mierze podsumowanie. Zresztą przedwcześnie jeszcze mówić o podsumowaniu. Bo czyż ewolucja uległa zahamowaniu? Czy człowiek — jej najwyższe osiągnięcie — nie będzie się zmieniać w miarę upływu nowych tysiącleci?

Tamarcew, jak zwykle, słuchał tego człowieka zamierając z rozkoszy. Kochał go, mało, ubóstwiał, a zarazem był zły na niego. Kochał za rozum, za talent i wściekał się na jego charakter. Borodin był mądry jak szatan. Za plecami wszyscy nazywali go Brodą Archijerejską. A w oczy? Któż ośmieliłby się powtórzyć mu to? I oto teraz w jego drwiących oczach cynika i karierowicza iskrzyła się myśl, silna, odważna myśl, zdolna do wniknięcia w istotę każdego, nawet najbardziej skomplikowanego problemu...

I za tę potęgę i siłę jego myśli Tamarcew niemal gotów był wybaczyć wszystkie przykrości, jakie mu wyrządził Borodin.

Mózg! Zaiste, to kosmos, duchowa nieskończoność, zamknięty w czaszce intelektualny wszechświat. Ten brodaty cynik nie szanuje niczego, przed niczym nie chyli głowy prócz mózgu ludzkiego. Ale szanuje mózg jako taki, jako instrument poznania, stworzony przez ewolucję i historię, lecz nie poszczególne mózgi jednostki ludzkiej.

Borodin łączył kunszt znakomitego eksperymentatora i umysł świetnego teoretyka ze skłonnościami do wątpliwych pod względem moralnym postępów. W swoim czasie zredagował list do gazety, podpisany przez pracowników jego laboratorium, a wymierzony przeciw powieści fantastyczno-naukowej Tamarcewa. Borodin nie interesował się powieścią i fantastyką naukową, lecz pragnął podstawić nogę Tamarcewowi-fizjologowi z samoistnymi koncepcjami, który bronił ich i nie zgadzał się z poglądami Archijerejskiej Brody.

Obecnie Borodin był zaabsorbowany dwiema sprawami: stworzeniem „sztucznego mózgu” i próbą usunięcia dyrektora instytutu, człowieka niezdolnego do konformizmu, upartego, niezależnego, który nie chciał tańczyć tak, jak mu Borodin zagra. Obie sprawy zaprzętały go prawie w jednakowym stopniu. Kiedy jednak stawał na mównicy, wszyscy zapominali o jego potwornej ambicji. Zapominali zarówno jego przyjaciele (których miał mało) jak i wrogowie (tych było mnóstwo), zapominali siwi członkowie-korespondenci Akademii Nauk i młodziu-

tkie aspirantki i laborantki. I on sam zapewne zapominał o tym. Zapominał o wszystkim — o donosie na dyrektora, wysłanym niedawno do prezydium Akademii, o brudnych rozmowach z dwoma tępymi i głupawymi profesorami, niezadowolonymi z dyrektora dlatego, że on był niezadowolony z nich. Zapomniał o wszystkim, prócz mózgu ludzkiego — fenomenowi nad fenomeny, zdumiewającego instrumentu ogarniającego uniwersum, wdzierającego się w istotę życia... Po zejściu z mównicy lub po wyjściu ze swego laboratorium Borodin znów stawał się sobą.

10

Rodzina Bogatyriewów (zarówno starsi jak i młodszy jej członkowie) spożywała obiad o tej samej godzinie. Taki już był zwyczaj.

Lecz najmłodszy w rodzinie — Radik — spóźniał się dość często, pozostawał dłużej w laboratorium. Matka nie miała mu tego za złe. Był jej pupilem. To ona właśnie, po przeprowadzce do nowego domu na ulicy Reszetykowa, zarezerwowała dla Radika najjaśniejszy, najwygodniejszy i najcieplejszy pokój, z krzywdą dla interesów innych członków rodziny. To ona wstawiła do pokoju Radika nowy tapczan, strzegła snu Radika a jeszcze bardziej jego pracy, nie pozwalała grać ani śpiewać i śmiać się głośno, dawała baczenie, by nikt mu nie przeszkadzał.

Ale Radik pracowałby nawet wówczas, gdyby w sąsiednim pokoju odbywały się koncerty orkiestry dętej. Nic nie mogło przeszkodzić mu w pracy, nawet trzęsienie ziemi.

Cała męska część rodziny interesowała się polityką międzynarodową i sportem. Wiedzano tu, jaka drużyna piłkarska skompromitowała się i czy sędzia był stronnicy. Wiedzano dobrze, z kim spotkał się w bieżącym tygodniu generał de Gaulle oraz z kim i na jaki temat konferował premier Indii Dżawaharlal Nehru. Lecz nauka przyszła do tego domu niedawno jako mało znany i delikatny gość, przyszła, pozostała na dłużej i nagle z gościa zmieniła się w domownika, członka rodziny.

Sport i polityka międzynarodowa musiały się trochę ścieśnić. Do słownika robotniczej rodziny zaczęły stopniowo przedostawać się niezwykle słowa: eksperyment, odruch warunkowy, asystentka, kolokwium... Czasami do stołu w jadalni dostawiano stół kuchenny. Oznaczało to, że do popołudniowej herbatki zasiądą wraz z rodziną Bogatyriewów przyjaciele Radika — aspiranci i aspirantki.

Stary Bogatyriew wkładał okulary i zabierał się do czytania dziennika „Trud”. Ale treść artykułów i notatek ginęła wśród odgłosów śmiechu, krzątaniny, niewymuszonej wesołości i ogromna płachta gazety nie mogła uchronić Iwana Stiepanowicza przed tym obcym, dziwnym, złożonym i niesłychanie kuszącym życiem, jakie wносиła do ich domu młodzież.

Iwan Bogatyriew kochał otaczający go świat. W znacznym stopniu stworzył go własnymi rękami. Tworzyły go również ręce jego współczesnych i przyjaciół. Kochał swój zawód. Był przyzwyczajony do wszystkiego, co go otaczało, do jego powszedniości i wiecznego odnawiania się. Tę odnowę przynosiła światu praca, pasja działania.

Ta młodzież również pracowała z zapalem, oddając się bez reszty swoim zadaniom. Szczupły i bardzo inteligentny Misza zajmuje się radiocytologią. Coś tam naświetlał, zdaje się komórkę, i pewnego razu skutek nieostrożności naświetlił sobie palec. Drugi, siedzący koło Miszy, niski i barczysty Nowikow, w wąskich spodniach, z wąsikami, sądząc z powierzchowności fircyk, bikiniarz, jest w istocie rzeczy bardzo poważnym chłopcem, nauczył się pięciu języków obcych, pracuje w laboratorium profesora Tamarcewa, szuka leku przeciw chorobie uważanej za nieuleczalną i nieraz, jak opowiadał Radik, wypróbowywał na sobie różne preparaty, nie licząc się z tym, że może zachorować. Trzeci — niespokojny duch z Kaukazu — gestykulując opowiada o raketach, kometach, sputnikach i innych światach tak, jakby tam już

był. Nieustraszony chłopak. iskra! O nim właśnie Radik powiedział kiedyś w domu, że jeśli ktokolwiek poleci w najbliższych latach na księżyc, to na pewno będzie to Kiegian. Bez niego impreza się nie obejdzie.

Stary Bogatyriew uśmiechał się. Z łatwością mógł sobie wyobrazić Kiegiana nawet na Księżycu. Ale Księżyc — nie ten odległy, lecz bliski — było sobie znacznie trudniej wyobrazić...

Przyjaciele Radika rozchodzili się późnym wieczorem. Rodzina Bogatyriewów kładła się spać. Stół kuchenny wracał na swoje miejsce. I oto wszyscy spali. Wszyscy, prócz wiercącej się na łóżku matki Praskowii i Radika siedzącego przy biurku.

Część druga

PAMIĘĆ

1

Filozof pisał nocami. Pisał o tym, że podbój kosmosu nie przyniesie ludzkości upragnionego szczęścia, że sprzeciwi się temu natura człowieka i Bóg i że nie przypadkowo bomba trafiła w namiot i zniszczyła „astroarcheologiczne” znalezisko radzieckiego uczonego Wietrowa: to Opatrzność nie chciała pozwolić ludziom na kontaktowanie się z tym, z czym kontaktować się nie należy.

Pisał o tym, że poznanie stopniowo burzy jedność świata, a logika gwałci uczucie.

Niedawno otrzymał podczas publicznego wykładu w Sorbonie kartkę następującej treści:

„Panie Arapow, pan będzie łaskaw odpowiedzieć na pytanie, czy istnieje n i c? Pełny, absolutny niebyt. I jak z niczego mogło powstać coś?”

Podpisu nie było.

Arapow rzucił okiem na salę. Kto mógł być autorem tej notatki? Ten łysy staruszek z sumiastym siwym wąsem, zarozumiały pechowiec, który jednak potrafił dożyć osiemdziesięciu lat, a może ta ładniutka dziewczyna o roześmianych oczach?

Pomyślał (myśl jego była jak zawsze szybka i celna) z lekką autoironią, że odpowiedź uzależniona będzie od tego, kto nadesłał pytanie. Niestety, nie wiedział, kto to zrobił. Komuż wobec tego odpowiedzieć? Dziewczynie czy starcowi? I musiał odpowiedzieć obojgu, jak gdyby łysy staruszek i ładna dziewczyna stanowili jedną całość, pewną chimeryczną symbiozę. Nie mógł odpowiedzieć abstrakcji, masie, jakiemuś anonimowemu kolektywowi. Byłoby to niezgodne z jego egzystencjalistycznymi zasadami.

— Między niczym — powiedział pewnym siebie tonem — a czymś nie można przerzucić mostu logicznego. Między nimi leży przepaść. A nad nią na cienkiej nici wisi ludzka osobowość. Jest ona zarówno czymś i niczym. Nasz byt jest ową nitką.

Po wykładzie podszedł do niego mężczyzna w średnim wieku, wyglądający na robotnika.

— Panie Arapow, to ja przysłałem panu pytanie. Lecz pańska odpowiedź mnie nie zadowala.

Arapow przyjrzał mu się z zaciekawieniem.

— Kim pan jest z zawodu?

— Kierowcą.

— Jest pan pewnie członkiem związku zawodowego?

— Tak. A co to ma do rzeczy?

— Członkowi związku zawodowego nie wypada stawiać takich pytań. Żaden pasażer, znając pańskie myśli, nie zaufałby panu swego życia i bezpieczeństwa. Kierowca nie ma prawa być solipsystą.

Szofer nie ma prawa być solipsystą. Mógłby spowodować katastrofę samochodu. A czy on, filozof Mikołaj Arapow, ma takie prawo? Wszystko na tym świecie jest indywidualne i chimeryczne, i na próżno cieszą się ludzie, sądząc, że dwa razy dwa jest cztery. Dwa razy dwa od dawna już nie jest cztery.

Arapow pisał po nocach. Pisał również w dzień, bo nocy nie starczało. Za motto do swego artykułu wziął słowa filozofa duńskiego Sörena Kierkegaarda:

„Co osiągną ci namiętni ludzie interesu? Czy nie dzieje się z nimi to samo, co z ową

kobietą, która podczas pożaru swego domu w panice uratowała szczypce? Co mogą więcej uratować z wielkiego pożaru życia?”

Życie, rozmyślał Arapow, przypomina pożar. Dopalający się byt, który rzuca złowrogi cień na naszą świadomość — oto los człowieka współczesnego. Wśród popłochu chwytny za szczypce, by uratować przynajmniej cokolwiek.

Słowo „my” zwalnia go od przymusu mówienia o sobie. O nim i tak dużo mówią i piszą. Dziennikarze niezwykle szczegółowo opowiadają o jego dzieciństwie spędzonym na Syberii, o jego rodzicach, którzy uciekli do Mandżurii z oddziałami kontrrewolucjonisty Kappela. Pisali o jego pracy w liońskim szpitalu dla umysłowo chorych w charakterze sanitariusza, o studiach u Edmunda Husserla w Niemczech i u Henryka Bergsona w Paryżu. Opisywali jego spotkania z Bierdiajewem Szestowem. Lecz wdzięczny jest dziennikarzom za to, że w najbardziej krytycznych momentach jego życia nie włączyli mu zbyt natarczywie do duszy i nie opisywali rozterki, w jaką popadł, kiedy wybuchł bynajmniej nie metafizyczny, lecz prawdziwy pożar, kiedy wojska Trzeciej Rzeszy okupowały Paryż.

Podczas tego pożaru stracił żonę, ukochaną Żermene, a co wyniósł z płonącego domu? Swoją koncepcję. Czy warto brać za motto do książki Słowa Sörena Kierkegaarda? Przecież koncepcja, z którą on, Mikołaj Arapow, wybiegł z płonącego domu — to nie szczypce chwytane w popłochu. W istocie rzeczy spłonęło wszystko, co kochał i czym żył, wszystko prócz myśli, którymi pragnął podzielić się z czytelnikami.

Agenci gestapo, którzy przyszli do mieszkania Arapowa, zachowywali się uprzedząco grzecznie i uprzejmie. Nie, nie! Oni żywią ogromny szacunek dla monsieur Arapowa, wybitnego europejskiego myśliciela, lecz co się tyczy jego małżonki, to bardzo im przykro — ustawy rasowe Rzeszy obowiązują również w krajach okupowanych. Prawo jest prawem. Obowiązuje wszystkich.

Arapow na całe życie zapamiętał dzień, godzinę, moment, kiedy gestapowcy zabrali Żermene. Jej spojrzenie, jej duże czarne oczy wyrażały ból i coś, co było nieskończenie silniejsze od bólu. W oczach żony tkwiła dobroć i litość, jak gdyby to nie ją prowadzono na śmierć, lecz Mikołaja Arapowa zostającego w domu, wśród nienaruszonych rzeczy.

Chwila rozciągnęła się na dziesiątki lat. Gdziekolwiek się znajdował, cokolwiek robił — ilekroć przenosił się myślami do zdarzenia z roku 1941 — zjawiała się przed nim postać żony takiej, jaką była w owej chwili.

Tragizm tej chwili był bezgraniczny, z niczym nieporównywalny. I myśl Mikołaja Arapowa, powracająca często do tego punktu wyjściowego, nie szukała przyczyn i nie analizowała skutków, lecz próbowała utrwalić ten moment jako coś, co odślaniało tragiczną istotę życia, jako wytwór bytu ludzkiego, jak gdyby to nie gestapowcy zabrali Żermene, lecz sam los, ślepa siła, opiewana przez tragików antycznej Grecji.

Nie domyślał się nawet, jaki egoizm krył się za jego o cierpieniem, za silnymi przeżyciami przeniesionymi później na papier i przedstawionymi w licznych artykułach i książkach. Zdawało się, że nie rozumie rzeczy najważniejszej: iż Żermena, zanim ją zabrali gestapowcy, istniała sama przez się i bynajmniej nie była czymś, co tylko odbijało się w jego świadomości i zostało mu dane po to, by mógł odstąpić beznadziejnie tragiczny sens życia.

Nie można powiedzieć, by Arapow był całkowicie oderwany od realnego życia. Natychmiast po aresztowaniu żony opuścił Paryż i przyłączył się do Ruchu Oporu. Lecz rzeczywistość była dla niego czymś problematycznym, bowiem indywidualium — jak sądził, każde indywidualium, a więc również on — rozporządzało tylko czasem bieżącym i wieczność zawsze zwracała się ku niemu chwilą bieżącą, a bezczasowy byt śpieszył się z wymianą swego bezosobowego bogactwa na bilon chwil i minut. Wszystko zdawało się umykać, bawiąc się w dziwną grę wszystkich z każdym z osobna i każdego ze wszystkimi. Wydawało mu się, że nie istnieje nic trwałego ani wewnątrz, ani zewnątrz. Nawet nauka, jego zdaniem, nie

mogła odczarować zaklętego bytu i zrozumieć nieustannego pędu zjawisk i rzeczy. Planety krążyły dokoła Słońca, a ono z kolei starało się obiec szybko centrum Galaktyki i rok galaktyczny już był odmierzany nie miesiącami, lecz setkami milionów lat, wobec których całe życie ludzkości przypominało istnienie motyla rozbijającego się o szkło.

Jego rozważania, wysoko honorowane przez wydawnictwa, podobały się jednym, wywoływały sprzeciw innych, dzienniki co dzień prawie wspominały o nim, informując ciekawych czytelników i czytelniczki, w jakiej restauracji można go najczęściej zobaczyć, jakie nosi krawaty oraz co porabia przed śniadaniem i po obiedzie. Uwagę miłośników i miłośniczek sensacji zaprzętnął na cały miesiąc artykuł pewnego psychiatry z Lyonu. Oskarżał on Arapowa o to, że swą koncepcję czasu ukradł pewnemu choremu na schizofrenię, kiedy pracował jako nadzorca-sanitariusz w lyońskim szpitalu dla chorych nerwowo.

Wszyscy spodziewali się, że filozof pociągnie psychiatrę do odpowiedzialności za zniesławienie, że zaprotestuje, lecz ku zdumieniu swych wielbicieli i wielbicielek Arapow oświadczył, iż istotnie zapożyczył swą koncepcję czasu od chorego na amnezję, którego poznał w lyońskim szpitalu. Chory odczuwał czas bardziej emocjonalnie i ostrzej niż normalni ludzie i dlatego był w stanie pojąć istotę tego, co wymyka się normalnej świadomości.

2

Z notatnika Wietrowa

...W swoim czasie studiowałem technikę ludzi pierwotnych. Opublikowałem nawet kilka artykułów o przemyśle kamiennym starszego i średniego paleolitu. Na te prace dotychczas powołują się z szacunkiem specjaliści. Uważają mnie za kolegę. Myślą, że mnie ponad wszystko w świecie interesują narzędzia szelskie i aszelskie. Niech sobie myślą. Mnie jednak interesują nie aszelskie narzędzia, lecz technika przyszłości, technika, którą dysponował problematyczny gość.

Ten gość, którego czaszkę miałem kiedyś w rękę, o czym świadczy zdjęcie wywołujące oburzenie profesora Apugina i jego zwolenników, ten paradoksalny gość, który nie wiadomo jak i skąd zjawił się na Ziemi w okresie wczesnomustierskim, zyskał wreszcie cechy realności i zamieszkał w świadomości licznych czytelników czasopisma „Świat Przygód”. Autor książek dla dzieci, który wymyślił dla siebie dziwny pseudonim „Wiktor Marsjanin”, ogłosił serię artykułów i opowiadań o gościu z kosmosu. Pisarz popuścił cugli fantazji, która poniosła go w całkiem inną stronę od tego, co zaszło przed stu tysiącami lat, w przerwie między dwiema epokami lodowcowymi — riss i würm. Wiktor Marsjanin, nie pytając mnie o zezwolenie, zrobił reprodukcję zdjęcia stanowiącego moją własność, pragnąc widocznie nadać swym fantazjom charakter dokumentalny. Zdjęcie to przechowuję po dziś dzień w dolnej szufladzie mojego biurka. Próbowałem umieścić je w pewniejszej skrytce, lecz dawny uczeń Apugina, a obecnie kustosz muzeum, nie mógł się pohamować i zrobił zjadliwą uwagę:

— Dla tego rodzaju unikatów warto by założyć specjalny skarbiec. Muzeum... — w tym miejscu zrobił pauzę szukając odpowiedniego i niezbyt brutalnego słowa.

— Falsyfikatów — odpowiedziałem.

Na jego inteligentnym obliczu ukazał się plugawy uśmieszek. Skinął potakująco ostrą głową przypominającą narzędzie mustierskie.

Kiedy wychodziłem z jego gabinetu, miałem wielką ochotę trzasnąć drzwiami, lecz nie uczyniłem tego. Archeologowie trzaskają drzwiami tylko w reportażach Wiktora Marsjanina. Nie może on pojąć, że ich nawyki zawodowe nie pozwalają na zbyt energiczne zachowanie się ze względu na tę istotną okoliczność, iż mają do czynienia z unikatami, a czasem również z bardzo kruchymi przedmiotami, które się ostały czasowi.

Zdjęcie schowane w dolnej szufladzie mojego biurka jest również unikatem. Odkąd istnieje — archeologia, tylko raz udało się znaleźć w ziemi coś całkiem niezemskiego, a przecież ludzkiego. Nie ziemskiego, lecz ludzkiego? Czy to, co ludzkie, może nie być ziemskie? A jednak czaszka, którą pewnego razu miałem w ręku, różni się od czaszki mieszkańca Ziemi tylko rozmiarami. Co prawda, za tą różnicą kryje się bardzo dużo.

Wiktor Marsjanin przedstawił gościa z kosmosu jako urodziwego śmiałka, wesołka, nie przypuszczając nawet, że z punktu widzenia społeczności ziemskiej, zarówno starożytnej jak i współczesnej, trudno byłoby go uważać za istotę piękną wskutek nieproporcjonalnie wielkiej głowy i zapewne skromnych wymiarów tułowia.

Chyba zbyt wiele uwagi poświęcam w tych notatkach autorowi książek dla dzieci. A przecież zacząłem je pisać po to, by pomóc samemu sobie w wyjaśnieniu rzeczy bardzo ważnej i wcale nie prostej, by spojrzeć jakby z boku na siebie i swoją pracę. Nigdy jeszcze w historii ludzkości nie nazwano pracą dziwnego zajęcia, któremu poświęciłem się od czasu zakończenia Wojny Narodowej.

Co ja właściwie robię? Prowadzę badania archeologiczne. Od tej strony wszystko jest w najlepszym porządku. Nie miałem żadnych zatargów ani z administracją instytutu, ani z głównym księgowym, który jest całkowicie zadowolony ze sprawozdań finansowych, jakie mu składam po powrocie z każdej ekspedycji. Główny księgowy nie interesuje się moimi badaniami i celem corocznych wypraw. Oczywiście, że dyrektora instytutu te sprawy interesują. Przecież ani razu, zarówno ja jak moi pomocnicy, nie powracaliśmy z próżnymi rękami. W gablotach wystawowych niemało miejsca zajmują eksponaty, świadectwa kultury materialnej różnych epok, odnalezione przeze mnie. Niestety! Nie mają one żadnego związku z celem, jaki sobie postawiłem, choć świadczą o mojej gorliwości, o energii i pracowitości moich współpracowników. Uzupełniają w istotny sposób to, co robili wszyscy archeolodzy rosyjscy i zagraniczni w ciągu wielu lat, które minęły od czasu, kiedy Boucherowi de Perthes udało się odnaleźć pierwsze kamienne narzędzia i domyślić się, że to nie są zwykłe kawałki kamieni, lecz narzędzia stworzone przez ludzką myśl i ręce. Boucher de Perthes i jego zwolennicy poszukiwali w ziemi śladów przeszłości, ja zaś szukam tego, co podlega raczej astronomowi niż archeologowi. Tak, astronomowi lub — bardziej jeszcze — przedstawicielowi jakiejś nowej dyscypliny naukowej, zajmującej się kosmosem. Takie dziedziny wiedzy rodzą się w naszych oczach. Astrofizyka. Astrobotanika. Astrogeologia. Omal nie powiedziałem — astroarcheologia, ale tak właśnie jest w rzeczy samej. Jestem pierwszym astroarcheologiem. Przecież czaszka nie należała do istoty ziemskiej, lecz kosmicznej. I sam fakt znalezienia tej czaszki wykracza poza granice historii Ziemi i archeologii i daje początek archeologii kosmicznej.

Niedawno odbyła się w Towarzystwie Geograficznym konferencja przedstawicieli nowej, rodzącej się właśnie nauki astrogeologii.

Pisarz Wiktor Marsjanin zamieścił reportaż o konferencji w czasopiśmie dla dzieci. Pisał o nowej nauce z wielkim zachwytem i nader mgliście. Czytając jego artykuł można było pomyśleć, że w najbliższych dniach wyruszy do rejonu Saturna lub Wenus wyprawa archeologiczna.

Lecz astrogeologia była równie daleka od Wenus jak astrobotanika od Marsa. Zarazem daleka i bliska. Daleka dlatego, że ludzie wysuwali swoje hipotezy stojąc na Ziemi, a bliska, bowiem przyrządy — przedłużenie zmysłów ludzkich — znajdowały się już w kosmosie.

Przewodniczący, otwierając zebranie, przypomniał obecnym o pracach dwóch wielkich uczonych rosyjskich: Wiernadskiego i Ciołkowskiego. Powiedział:

— Wiernadski namiętnie pragnął spojrzeć na Ziemię z boku, by ogarnąć ją w całości, zrozumieć jej niepowtarzalną swoistość. Ciołkowski również miał niezwykle widzenie świata. Patrzył na Ziemię i na współczesność jak gdyby z perspektywy przyszłości.

Ogarnęło mnie wielkie podniecenie... Patrzeć na Ziemię i na współczesność jakby z

przyszłości! Gdyby mi się powiodło, każdy człowiek mógłby spojrzeć na ziemię z tej perspektywy. Lecz na razie nie udało mi się, nie udawało mi się w ciągu wielu lat. I nie wiadomo, kiedy się uda.

Podczas wojennych zim opowiadałem moim towarzyszom-partyzantom o swoim odkryciu. Oprócz nielicznych uczniów Ciołkowskiego nikt wówczas nie myślał jeszcze o lotach kosmicznych, nie był to bowiem czas odpowiedni po temu. Partyzanci jednak słuchali mnie z zapartym tchem, wierzyli mi o wiele bardziej niż moi koledzy naukowcy. Nie domagali się ode mnie ani naocznych świadków, ani dowodów.

Dotychczas nie mam żadnych dowodów prócz tylekroć wspominatej fotografii. Świadek znalazł się niedawno. Odwiedziłem go w szpitalu razem z Tamarcewem. Lecz to spotkanie przyniosło mi tylko jeszcze jedno rozczarowanie.

Na łóżku siedział mężczyzna z wyrazem nieobecności na twarzy. Żywy człowiek, którego wśród nas nie było! Jego nieobecność była całkowita i absolutna. Odczuwało się to jeszcze bardziej, kiedy zaczął odpowiadać na pytania Tamarcewa. Zdawało się, że pamięć oddzieliła się w nim od osobowości i istniała sama w sobie. Również w jego głosie i w tym, co mówił, było coś mechanicznego i zastygłego. Ten człowiek widział znaną przeze mnie czaszkę. Przypomniałem sobie niejasno czerwonoarmistę w wypłowiałej bluzie, który mnie wtedy zapytał:

— Ho, ho! Któż to miał taką wielką głowę?

— Gość z kosmosu — odpowiedziałem.

— A skąd on przybył, ten myśliciel?

— Nie ma na razie kogo zapytać o to — odparłem. — Czaszka, jak widzisz, jest zdania, że milczenie jest złotem.

Z precyzją fonografu chory głosem automatu powtórzył swoje i moje słowa, wypowiedziane przed dziewiętnastu laty, jak gdyby przeszłość nie żyła w nim, lecz istniała utrwalona na taśmie.

A mimo to ucieszyłem się na chwilę nawet tymi martwymi, skostniałymi słowami. Patrzyłem na chorego tak, jakby mi zwrócił rzeczy utracone, jakby mi podarował to, co znikło bezpowrotnie.

Przypomniał sobie jeszcze kilka szczegółów, które nie miały bezpośredniego związku z moim znaleziskiem — pagórkowatą okolicę, w której moja partia geologiczna znalazła się w sąsiedztwie jego jednostki wojskowej, upalny dzień, kurz i dręczące uczucie pragnienia.

Następnie pożegnaliśmy się. Podałem mu rękę, którą słabo uścisnął. Nawet w tym uścisku czuło się, że jest nieobecny.

Kiedy wyszedłem z sali, zauważyłem, że klatka schodowa jest bardzo szeroka, a na każdym piętrze wisi siatka na wypadek, gdyby któremuś z pacjentów wpadło na myśl skoczyć w dół.

Zrobiło mi się smutno, jakby życie znów zabrało mi to, co zwróciły wspomnienia Riabczykowa.

— Jak sądzisz — zapytałem Tamarcewa — czy on prędko powróci do zdrowia?

— Obawiam się, że jest nieuleczalnie chory.

3

Z notatnika

...Żadnemu z ludzi nie udało się jeszcze spojrzeć na Ziemię z boku, z głębi kosmosu. A przecież tylko w ten sposób odsłoniłoby się przed nami coś nowego i zdumiewającego, ujrzelibyśmy Ziemię oddaloną od nas, a mimo to związaną z nami, niezależnie od tego, dokąd

zanosłaby nas myśl zakuta w metal i masę plastyczną.

Jeżeli nazwiemy Ziemię domem, to będziemy musieli powiedzieć o człowieku smutne słowa — nigdy jeszcze nie opuszczał on swego domu, nie otwierał na oścież drzwi, by zrobić krok w niewiadome zwane kosmosem.

Jeśli nie zdamy sobie z tego jasno sprawy, nie potrafimy zrozumieć naukowego i humanistycznego czynu Ciołkowskiego i jego uczniów, którzy poświęcili całą swą myśl i energię, by ludzkość mogła wreszcie rozewrzeć owe nigdy nie otwierane wrota i uczynić krok w dziedzinę niewiadomą i bezkresną — w kosmos.

Ale jakże musi zmienić się poznanie ludzkie, gdy człowiek po raz pierwszy wyjdzie ze swego domu! Znajdzie się w środku ogromnego świata, rozciągającego się w nieskończoność...

W tych dniach wypełniałem zadziwiający kwestionariusz. Oto pytania, na które miałem odpowiedzieć:

Jakie problemy przyszłości interesują pana?

Interesuję się wieloma zagadnieniami i w ankiecie nie starczyło miejsca na odpowiedź. Musiałem dokleić nowy arkusz. Odpowiadając szczegółowo na pytanie, czułem się tak, jakbym zaglądał w przyszłość.

Drugie pytanie było bardziej konkretne:

Co pan ma zamiar robić po wstąpieniu do sekcji?

Długo nie mogłem się zdecydować na odpowiedź. Potem napisałem, że chciałbym się zająć astroarcheologią. Przecież uprzedzałem przewodniczącego nowo powstałej sekcji Towarzystwa Geograficznego, że nie jestem ani geografem, ani geologiem, ani geomorfologiem, nie jestem też geofizykiem i astronomem, lecz archeologiem, któremu...

Przerwał mi:

— Wiem, ale pan nie jest zwykłym archeologiem. Pańskie odkrycie archeologiczne bliższe jest astronomii niż historii. Cieszymy się bardzo, że pragnie pan wstąpić do naszej sekcji. Chcielibyśmy, żeby pan wygłosił referat pod koniec przyszłego miesiąca...

— Na jaki temat?

— Na temat pańskiego odkrycia.

W głosie starego profesora, ucznia i przyjaciela wielkiego Wiernadskiego, brzmiała szczerą sympatią i ludzkie ciepło.

— Przecież pan zna negatywne stanowisko Apugina w tej sprawie.

— A co nas obchodzi pański Apugin? Niech sobie krytykuje, ile mu się podoba.

Stary profesor uśmiechnął się:

— Przecież on odnosi się negatywnie do pańskiego odkrycia bynajmniej nie z zamiłowania do prawdy. A taka krytyka niewiele jest warta.

Zgodziłem się więc na propozycję profesora i wyszedłem z biblioteki, w której toczyła się nasza rozmowa. Nad szerokimi schodami Towarzystwa Geograficznego wisiały portrety wielkich geografów i podróżników. Pomyślałem, że brakuje tam wizerunków Wiernadskiego i Ciołkowskiego, choć nie byli geografami. W naszej opoce geografia Ziemi zmienia się. Myśl ludzka usiłuje zobaczyć Ziemię z boku, z kosmosu, zrozumieć na nowo jej geografę, na nowo ocenić jej powierzchnię i jej wnętrze.

Z początku szedłem zaułkiem, potem skręciłem na wąską ulicę Plechanowa i wyszedłem na Newski Prospekt.

Na Newskim panował wielki ruch, szczególnie na słonecznej stronie. Niektórzy przechodnie szli szybko, inni spacerowali wolno, zwracając uwagę na wszystko, co można było spostrzec w ciepły i bezchmurny wiosenny dzień. Na młodych twarzach spacerowiczów widniał naiwny wyraz szczęścia, jaki miewają ludzie nie myślący ani o przeszłości, ani o przyszłości. Patrzyłem na tych przechodniów, na ich roześmiane lub uśmiechnięte twarze i myślałem: jeszcze nie wiecie o tym, że wkrótce otworzą się drzwi na oścież i każdy z was

znajdzie się wobec bezdennej nieskończoności kosmosu, jak niegdyś Kolumb, wyruszając w niebezpieczną a szczęśliwą podróż, znalazł się wobec nieznanego przestworzy oceanu. Wówczas każdy z was zapomni szybko o swych niecierpiących zwłoki sprawach i porzuci spowszedniałą beztroskę chwili bieżącej dla spotkania z przyszłością, trapiącą serce urokiem swej pięknej tajemnicy. Szczęśliwy będzie ten, komu uda się spojrzeć na swój dom z pokładu statku kosmicznego i ujrzeć Ziemię z boku, jak to czynili w myśli Wiernadski i Ciołkowski.

Zachciało mi się jeść, wstąpiłem do baru szybkiej obsługi, chociaż nie śpieszyłem się nigdzie. Z tacą w ręku podszedłem do bufetowej, która podała mi talerz z makaronem, szklankę gorącej kawy i kawałek sernika. Zapłaciłem w kasie i stojąc, tak jak wszyscy, zabrałem się do jedzenia.

Przy sąsiednim stoliku, również stojąc, zaspokajał głód autor książek dla dzieci, Wiktor Marsjanin.

— Dzień dobry — skinął głową na powitanie. — Co słyhać nowego?

— Wszystko jest nowe — odpowiedziałem. — Przynajmniej dla mnie. Wszystko jest nowe i ciekawe na tym świecie.

— Jakoś nie zauważyłem.

— Szkoda.

Otworzył szeroko bezwąsę, naiwne usta człowieka, którego pacholeństwo przeciągnęło się do czterdziestego piątego roku życia, włożył do nich serdelek grubo posmarowany musztardą i krzywiąc się zapytał:

— Ale co słyhać dobrego konkretnie u pana? Jak pańskie poszukiwania? Czy nie ma nic nowego w zakresie potwierdzenia słynnego odkrycia?

— Nie.

— Szkoda. Stawia mnie to w przykrew sytuacji. Opublikowałem kilka artykułów. Czytelnicy piszą do mnie gniewne listy. Domagają się faktów...

— To nie czytelnicy — sprostowałem — lecz jeden i ten sam czytelnik.

— Skąd pan wie?

— Domyślam się. To wszystko pisze stale ten sam Apugin ukrywający się pod różnymi nazwiskami.

Wiktor Marsjanin roześmiał się.

— Istotnie, listy są bardzo podobne do siebie. Do widzenia panu!

Pomachał do mnie ręką czterdziestopięcioletniego uczniaka i żując serdelek wyszedł z baru. Po chwili wrócił szybkim krokiem, jak gdyby czegoś zapomniał. Istotnie, zapomniał teki wypchanej książkami, opartej o nóżkę stolika. Podniósłszy ją, podszedł do mnie z zatroskaną miną i rzekł:

— Mimo to jednak powinien się pan pośpieszyć.

— Z czym mam się śpieszyć?

— No, z tymi faktami: Nie można tak zwlekać. Lata płyną.

— Tak, to prawda.

Nagle wyraz jego twarzy uległ całkowitej zmianie, ukazał się złoty ząb, a następnie uśmiech, szczęśliwy i lśniący jak złota plomba.

Przypomniałem sobie, że opowiadano o nim, jakoby, zanim został pisarzem dla dzieci, pracował długo na estradzie i występował na zabawach dziecięcych z przyklejoną brodą w roli świętego Mikołaja.

Kiedy się rozejrzałem, pisarza już nie było. Marsjanin znikł.

Drzwi otworzyła mi matka, najbardziej ziemską ze wszystkich istot na Ziemi, z ironicznym uśmiechem na sceptycznym obliczu.

— No, co tam słyhać u twoich astrogeologów? Jakie cenne kopaliny odkryli w próżni kosmicznej?

Wycofałem się spiesźnie do gabinetu. Zabrałem się z miejsca do pracy.

Niełatwo było przygotować referat o niezwykłym znalezisku archeologicznym, które zostało natychmiast zniszczone przez falę wybuchu bomby i utrwalone na jednym zdjęciu, którego autentyczność podawali w wątpliwość niemal wszyscy specjaliści.

Już pierwsze słowa referatu brzmiały, moim zdaniem, niezbyt skromnie. Przekreśliłem je. Lecz co począć? Odkrycie było rzeczywiście zbyt rewelacyjne, by specjaliści mogli się pogodzić z jego istnieniem. Miałem przeciw sobie nie tylko specjalistów, lecz również „zdrowy rozsądek”. Postanowiłem w końcu zacząć mój przyszły referat od charakterystyki „zdrowego rozsądku”. Jeszcze w czasach Giordana Bruna i Galileusza „zdrowy rozsądek” był na bakier z postępowymi tendencjami w nauce. To on występował przeciw teorii względności i mechanice kwantowej, przeciw wszystkiemu, co drażni ślepą, rozleniwioną myśl, zżytą z banałem.

Prawie do rana stukąłem na maszynie, szukając uparcie coraz nowych dowodów przeciw „zrowemu rozsądkowi”.

Ale jak się okazało nazajutrz, „zdrowy rozsądek” z nie mniejszą energią poszukiwał argumentów przeciwko mnie.

Zasnąłem o czwartej nad ranem. Obudziła mnie matka, pukając głośno w drzwi.

— W taki sposób — powiedziała — prześpisz wszystko na świecie...

A ja najbardziej na świecie nie znoszę pośpiechu i lataniny.

— Zdążę — odparłem i zacząłem się ubierać. Istotnie groziło mi spóźnienie. Nie przyznawałem się jednak do tego. Ogołiłem się. Zjadłem bez pośpiechu śniadanie. Lecz po wyjściu z domu pobiegłem jak smyk do przystanku tramwajowego. Na uniwersytecie już czekali na mnie studenci, wychudli od kucia i strachu. Egzaminowałem ich długo, udając, że jestem zadowolony z odpowiedzi. Myśleli tak, jak myślał podręcznik, mówili jego językiem i byli pewni, że ideałem ludzkiej myśli jest treść podręcznika — sucha, ścisła i obojętna na wszystko na świecie prócz omawianego przedmiotu. Nie podjąłem z nimi dyskusji na te tematy. Byłoby to niepedagogicznie. Znowu zdrowy rozsądek — pomyślałem.

Przyszedszy do Instytutu Historii Kultur Materialnych ruszyłem do piwnic, w których przechowywane były przedmioty, jakie przywiozłem z ekspedycji. Były wśród nich troskliwie ponumerowane krzemienne ostrza strzał, kamienne narzędzia, kości zwierząt. Ponumerowany, owinięty w papier czas. Czas, który znalazł się w podręczniku i został wykuty na pamięć przez studentów odpowiadających dziś na egzaminie. Przypomniałem sobie ich ciche, nieśmiałe głosy, utarte frazesy, spojrzenia wyrażające tylko jedno pragnienie — jak najprędzej otrzymać stopień. Czy po to, unurzany po kolana w błocie, ryłem się wraz z moimi pomocnikami w grząskiej ziemi? Kiedyś, w przyszłości, również o tym niezwykłym znalezisku studenci opowiadać będą egzaminatorom diabelnie nudnymi i obojętnymi słowami podręcznika.

Rozległy się kroki. Ktoś schodził po schodach.

— Siergiej! Jesteś tu?

Poznałem głos sekretarza organizacji partyjnej, Śnieżyncewa.

— Jestem.

Śnieżyncew miał wyraźnie zakłopotaną minę.

— No, co słychać?

— Nic specjalnego. Mam wygłosić referat w Towarzystwie Geograficznym na temat podróżnika kosmicznego.

— Kiedy?

— Wkrótce.

— Otóż chciałbym ci coś powiedzieć... Apugin przyniósł druzgocący artykuł. Nie chcemy go wydrukować. Ma zamiar poskarżyć się na nas. Jakiś filozof francuski o rosyjskim nazwisku, widocznie ze środowiska emigranckiego, wystąpił z nową reakcyjną koncepcją filozofii historii.

— Ale co mam z tym wspólnego ja i mój referat?

Śnieżyncew uśmiechnął się.

— Ja też tak myślę. Lecz Apugin jest innego zdania. Uważa cię za współodpowiedzialnego za tę reakcyjną koncepcję. Chodzi o to, że filozof powołuje się na twoje odkrycie.

— Nie pamiętasz, jak on się nazywa?

— Zdaje się, że sobie przypominam: coś jakby Arapow czy Agapow. Zdaje się, że Agapow. Nie, Arapow!

4

Borodin krążył po instytucie, kryjąc uśmiech w gęstych puszystych wąsach.

Sprawa posuwała się naprzód. I nie za górami był dzień, w którym nowa maszyna, dzieło jego rąk i mózgu, miała być zademonstrowana, przekonując wszystkich, iż niemożliwe stało się możliwością.

W laboratorium, naprawdę najlepszym w mieście, tłoczyły się codziennie tłumy interesantów i gości — dziennikarze, literaci, pracownicy innych zakładów naukowych. Borodin był nie tylko uzdolnionym fizjologiem, lecz również wybitnym matematykiem, nieprzeciętnym technikiem oraz świetnym organizatorem.

Goście wpadali w zachwyt na widok skonstruowanych przez niego przyrządów, dobitnie świadczących o wielkiej pomysłowości kierownika laboratorium cybernetycznego, lecz jeszcze bardziej zadziwiała ich bystrość, głębia i świeżość idei naukowych Borodina, jego entuzjazm, zaprawiony lekko sceptycyzmem i ironią w stosunku do siebie, do własnych pomysłów i do samej nauki.

Połączenie entuzjazmu z ironią i sceptycyzmem było zaskakujące i niezwykle. Broda jak gdyby wierzył sobie i zarazem nie wierzył, a to sprawiało, że kredyt zaufania do jego idei i pomysłów był coraz większy.

— Niech się państwo nie martwią — mówił gościom zwiedzającym laboratorium. — Nie stworzyliśmy jeszcze sztucznego Spinozy, a tym bardziej Hegla. Zresztą nie mamy zamiaru ich tworzyć. Po co? Potrzebny nam jest przyrząd zdolny do rozwiązywania niełatwych zresztą zadań, wirtuoz logiki, mechaniczny matematyk, zadziwiający profanów swą sprawnością.

Borodin żartował. A w jego mądrych, ironicznie-drwiących oczach błyszczała myśl, gotowa do zobaczenia czegoś nowego w odległych perspektywach nauki i życia.

Prawie zawsze miał doskonały humor. I jego pomocnicy, ludzie przeważnie młodzi i zdrowi, również zdumiewali wszystkich wesołością i pozorną beztróską. Zresztą czy na miejscu są słowa o beztróscie, kiedy się mówi o laboratorium, w którym konstruowano niesłychanie skomplikowaną aparaturę, mechanizm logiczny, automat służący do utylitarnego myślenia?...

Tego dnia w laboratorium panował szczególnie rumor z powodu mnóstwa gości. Lecz oto wszyscy odeszli, pozostał tylko Wiktor Marsjanin. Autor książek dla dzieci zapisał znaczkami (umiał stenografować) gruby notes, lecz wciąż jeszcze zadawał Borodinowi pytania. Uczony o pięknej puszystej brodzie, starannie umytej i skropionej wodą kolońską, wydawał się Marsjaninowi biblijnym Bogiem, beztróskim, dowcipnym i groźnym Bogiem, umiejącym stworzyć z nicości wszystko, co mu się spodoba.

— Pan będzie łaskaw powiedzieć mi — zapytał Marsjanin — co będą robić ludzie, kiedy cały trud fizyczny i umysłowy w sensie praktycznym wezmą na siebie maszyny cybernetyczne i roboty?

Broda uśmiechnął się.

— Będą kolekcjonować znaczki pocztowe albo stać w kolejce przed kioskiem gazety po „Świat Przygód” z pańską kolejną opowieścią fantastyczno-naukową.

— Pan kpi, a ja pytam serio.

Borodin rozgniewał się albo może udał, że się gniewa.

— Po kiego licha zadaje mi się takie jałowe pytania? Czy ja jestem wróżką, żebym na nie odpowiadał? Moją sprawą jest zbudowanie maszyny. A jeżeli ona zastąpi pana i pan będzie miał więcej wolnego czasu, niż tego pragnie, to mnie to nic nie obchodzi. A propos, pan i tak ma sporo wolnego czasu. Czy nie czas na pana?

— Mnie niełatwo zastąpić — powiedział Wiktor Marsjanin z urazą w głosie.

— Przypuszczam.

Borodin niecierpliwił się, kiedy wreszcie autor książek dla dzieci opuścił laboratorium. Broda spodziewał się wizyty felietonisty Gleba Morskiego. Zgryźliwy, mądry felietonista nie znosił Marsjanina. Zesłłym razem, zauważywszy go, wyszedł z laboratorium.

Między profesorem i Morskim zawiązało się coś w rodzaju zażyłości. Gleb Morski uwielbiał wszystkich mądrych i utalentowanych ludzi, których bronił w swych felietonach przeciw rutyniarzom, biurokratom, rozrabiaczom, zawistnikom i urzędnikom-karierowiczom. Mijało właśnie pół roku od chwili, w której zrodziło się jego zawodowo-dziennikarskie zainteresowanie Brodą Archijerejską. Morskiego, bardziej niż innych ludzi, zdumiewał umysł uczonego, jego rozległa, encyklopedyczna wiedza, jego ręce, ręce boga-eksperymentatora, lekkie i mądre, które, jak się zdawało, posiadały całe doświadczenie ludzkości.

Rozległy się pośpieszne kroki Gleba Morskiego.

— Dzień dobry — machnął lupą Borodin. — Czemu ma pan taką kwaśną minę?

— Spotkałem tego bęcwała Marsjanina.

— Zauważyłem, że nie obdarza go pan sympatią. Dlaczego?

— Bo zazdroszczę mu rozumu i wybitnych talentów. Gotów jestem otruć go jak Salieri. Jeżeli spotkam go tu jeszcze kiedyś...

— No, no. Wynikałoby z tego, że powinienem przedstawiać panu do zatwierdzenia listę moich gości. Pan ma zbyt wielkie pretensje. Niech pan siada. Opowiem panu o eksperymentach pewnego kanadyjskiego neurochirurga.

Morski usiadł na taborecie. Jego niezadowolona początkowo mina ustąpiła miejsca wyrazowi zachwyty i podziwu. Patrzył rozkochanymi oczami na zręczne palce fizjologa, rysujące na arkuszu papieru powierzchnię wielkich półkul mózgowych.

— Leon Abgarowicz powiedział mi kiedyś: nic, co przenika z rzeczywistości do mózgu, nie ginie bez śladu. Możliwości mózgu są nieograniczone. I oto, na podstawie doświadczeń pewnego kanadyjskiego uczonego, okazało się, że jeśli będziemy oddziaływać przy pomocy prądu elektrycznego na sektory mózgu zarządzające pamięcią, powraca utracony czas, rodzą się dawno zapomniane wspomnienia...

— Piekielnie interesująca rzecz...

— Niech pan spojrzy...

Mówiąc Borodin patrzył na Gleba Morskiego lekko zmrużonymi, uśmiechniętymi oczyma. Myślał o tym, że prędzej czy później wykorzysta tego odważnego, wspaniałomyślnego i pryncypialnego człowieka jako figurę w partii szachów. Właśnie przy pomocy tej figury dał mata królowi-dyrektorowi instytutu.

Ta myśl sprawiała mu wielką przyjemność. Borodin również nieomal uwielbiał Morskiego. Podobał mu się ten człowiek, jego sprawny, uczciwy umysł i umiłowanie prawdy, jego entuzjazm łagodzony poczuciem humoru. Cenił sobie tę znajomość. Lecz tysiąc razy więcej cenił grę, którą prowadził, i przyszło w niej zwycięstwo.

Po odejściu Morskiego Broda Archijerejska pojechał do domu. Sam prowadził wóz. Lubił szybką jazdę, napawającą lekkiem przechodniów i posterunkowych, niebezpieczną jazdę z prawie niedozwoloną szybkością.

I oto teraz pędził, nie zastanawiając się nad tym, że może przejechać jakiegoś zagapionego przechodnia. Ta szybka, zwariowana jazda i rozkosz, jaką dawało mu związane z nią

ryzyko, były dla niego ważniejsze od czyjegokolwiek życia i odpowiedzialności za nie.

Po powrocie do domu oświadczył, że rezygnuje z obiadu, zjadł kanapkę z kiełbasą i zamknąwszy się w gabinecie usiadł do pracy.

Dzwonek telefonu wyrwał go z zamyślenia. Od razu poznał głos Apugina. Wysłuchał go, po czym powiedział:

— Proszę mi przysłać pański artykuł, gwizdź na to, że odrzucono go w wydawnictwie naszego instytutu...

Po tej rozmowie spacerował długo z kąta w kąt, rozmyślając na temat czaszki gościa z kosmosu i reakcyjnej koncepcji burżuazyjnego filozofa Mikołaja Arapowa. Myśl, iż artykuł Apugina pomoże mu w zrobieniu zręcznego, zaskakującego przeciwników ruchu, sprawiała mu niemal laską samą przyjemność, jak szybka jazda samochodem. Jak to się dobrze składa, że Arapow jest stryjecznym bratem Tamarcewa. Dyrektora nie da się usunąć z instytutu, nie podważając uprzednio reputacji jego przyjaciół i obrońców — Tamarcewa i Arbusowa.

A jeszcze większą przyjemność sprawiała mu myśl, że w tej grze występował po jego stronie gość z kosmosu, który wprawdzie żył przed stu tysiącami lat, lecz w sensie przenośnym ożył na nowo i zmartwychwstał.

5

Pani Anastazja wstąpiła po drodze do „Delikatesów” i kupiła kurę. Aczkolwiek Arbusow nie skarżył się nigdy ani na żołądek, ani na wątrobę, nie odznaczał się jednak najlepszym zdrowiem. Cierpiał na nerwy. Przed paroma dniami, po powrocie z instytutu, nie chciał nic jeść, położył się na tapczanie i długo leżał na wznak, przyglądając się sufitowi nieobecnymi oczami.

Pani Anastazja zapytała cicho:

— Znowu Archijerejska Broda?

— Tak.

— Czy on jest silniejszy od całego instytutu? Od organizacji partyjnej?

— Nie o to chodzi.

— Ale istnieje przecież prawda na świecie?

— Tak — odpowiedział Arbusow. — Bóg ją widzi, ale nieprędko zabierze głos.

— Nie przejmuj się tak tym wszystkim. Nie bierz sobie do serca.

— Próbowałem, ale serce jest głupie. Nie chce się liczyć z twoim argumentem i z argumentami rozsądku. W instytucie krąży plotka, że Gleb Morski zbiera materiał do felietonu. Czytałaś kiedyś felietony Morskiego? Nie czytałaś. Szkoda. Po jego felietonie człowiekowi zostaje tylko jedno — położyć się żywcem do trumny.

— Przesadzasz.

— Ani na jotę. Jest to najbardziej utalentowany ze wszystkich felietonistów. Jest naszpikowany humorem, energią i żądzą prawdy.

— Ale prawda jest po waszej stronie. Macie za sobą cały kolektyw, czy nie próbowaliście pomówić z Morskim, przekonać go?

— Próbowaliśmy, lecz jest zakochany w Brodzie. Jest tak zakochany, że nie spostrzega nic oprócz tego, co mu Broda podsuwa. Nie domyśla się nawet, że przyczyny konfliktu należy szukać nie w księgach buchalteryjnych lub w wydawnictwach instytutu, lecz w sercu Borodina, w jego pasjach. Tylko tam i nigdzie indziej. Dajmy, Tusi, spokój tej rozmowie. Nie wróży nam nic przyjemnego...

Pani Anastazja spieszy do domu. W prawej ręce trzyma koszyk, w lewej — kurę. Kura jest świeża. Rosół będzie doskonały. Esencjonalny. I mięso lekkie, nie obciążające żołądka.

Tak upływa czas, wśród trosk, ale bez zmartwień i trosk życie nie miałyby sensu.

W zeszłym tygodniu Arbuzów przyniósł książkę kupioną w antykwami. Wydanie sprzed rewolucji. Książka nosiła taki tytuł: „Na czym polega sens życia?”

— Na czym ten sens polega? — nie wytrzymała pani Anastazja i spytała o to męża, który czytał książkę.

Arbuzów uśmiechnął się jak Mefisto, poskubał mefistofelesowską bródkę i spojrzał na żonę z zaciekawieniem.

— Naprawdę cię to interesuje?

— Rosół ostygnie — odpowiedziała. — A zresztą jeszcze w dzieciństwie mówiono mi, że czytanie przy jedzeniu jest szkodliwe.

— Wcale nie jestem tego pewien. Fizjologia żywienia jest od tej strony mało zbadana. Naprawdę interesuje cię sens życia?

Pytanie brzmiało obraźliwie, jak gdyby nie mogło jej interesować nic prócz gospodarstwa domowego.

Arbuzów ziewnął. Podeszedł do biurka, wyjął z teczki ekslibris i nakleił na wewnętrznej stronie okładki. Potem wziął pieczętkę, chuchnął na nią i przybił do karty tytułowej: „Z księgozbioru A. W. Arbuzowa”.

Kiedy pewnego razu Arbuzów wyszedł z domu, pani Anastazja spróbowała zapoznać się z treścią książki. Lecz książka była trudna, zbyt trudna, napisana jakimś zawiłym, niezrozumianym językiem. W posłowniu zaś znajdowało się twierdzenie, że sens życia może pojąć tylko filozof i myśliciel. A przecież pani Anastazja nie jest myślicielem.

Kuchnia była przytulna. Pani Anastazja nalała wody do garnka i postawiła kurę na płycie.

Wieczorem Arbuzów dyktował, a ona pisała na maszynie.

„Pisarze i psychologowie — dyktował Arbuzów chodząc po pokoju — nie podejrzewają nawet, że samoistność i indywidualność duchowa dzięki jakimś niezbadanym jeszcze prawom są powiązane z indywidualnością biochemiczną”.

Pani Anastazja postawiła kropkę i rzuciła okiem na bladą, zmizerowaną twarz męża.

— No i co słyhać w instytucie?

— Wciąż to samo.

— Co robi Broda Archijerejska?

— Przeszedł do decydującej ofensywy.

Westchnęła.

— Andrzejku, nie zapomnij o kąpieli. Nic tak nie uspokaja nerwów jak wanna.

6

Iwan Stiepanowicz nastawił uszu.

Radik mówił do niecierpliwego, zapalczego, wymachującego rękami Kiegiana:

— No, zgoda. Jesteś nieomal mistrzem w sporcie. Alpinistą. Oddychasz ekonomicznie. Liczysz każdy oddech, ale zwykłemu, normalnemu człowiekowi, nie alpiniście, nie nurkowi, nie współczesnemu Pluszkinowi, potrzeba na dobę dwustu litrów tlenu. Oblicz, ile będziesz potrzebował tlenu, kiedy wyruszysz w podróż kosmiczną mniej więcej na trzy lata?

— Niepodobieństwo! Kilka pociągów z tlenem. A jak go dostarczyć? Na razie nie ułożono jeszcze torów kolejowych do kosmosu. Więc jakie wyjście? Nie widzę.

— Jest jedno wyjście z sytuacji, Kiegian: zabrać z sobą chlorellę. Jest to niewybredna roślina. To ona zaopatrzy cię w tlen.

— Nie jestem jarozsem — powiedział gniewnie Kiegian. — No, do widzenia. Do widzenia, Iwanie Stiepanowiczu.

Po odejściu Kiegiana Iwan Stiepanowicz zapytał:

— A co, czy on naprawdę wybiera się dokądś?

— Gdzie tam! W gorącej wodzie kąpany. Gorączkuje się. I niepotrzebnie. Nie przeszkoczy sobie samego. Po co się gorączkować, lepiej obliczyć na zimno. Bo potrzeba bardzo dużo tlenu, tatusiu. Ale przecież nie można się o to złościć na fizjologię... Powiada, że nie jest jaroszem. A czy ja jestem?

— I ty nie jesteś jaroszem.

Ojciec popatrzył na syna i pomyślał: „W sukcesach Radika i ja mam swoje zasługi. Kto dawał pieniądze na książki? Kto zaprenumerował dla niego pismo «Technika dla Młodzieży»? Bo matka tylko pobłażała jego słabostkom, bała się, żeby się nie przemęczył”.

Rzecz jasna, że to on, ojciec, prosty człowiek, robotnik. On, no i władza radziecka, dająca baczenie, by talenty nie marniały.

— Słuchaj, Radik. Jeśli człowiekowi potrzeba dwustu litrów tlenu dziennie, to znaczy, że nie ma o czym gadać. Ale człowiek nie taki, żeby wytrzymał na Ziemi. Rozumiem Kiegianna. Ma rację, że się gorączkuje. A ty co, zrobiłeś rachunek i machnąłeś na wszystko ręką? Tak czy nie?

— Gdybym machnął ręką, nie myślałbym o chlorelli... Rozmawiałem wczoraj z pewnym botanikiem...

Ale Iwan Stiepanowicz już nie słuchał. Zaabsorbowała go całkowicie jedna myśl.

— Dwieście litrów tlenu na dobę — powtórzył. — Jednak Ziemia mocno nas przywiązała do siebie.

7

...Bomba rzucona przez lotników niemieckich nie tylko zabiła trzech studentów wydziału historii, moich współpracowników, lecz zniszczyła najdziwniejszy ze wszystkich mostów, jakie kiedykolwiek istniały.

Łączył on nasze czasy z epoką mustierską i z epoką, która nadejdzie za kilka tysięcy lat. W chwili, w której trzymałem w ręku ogromną czaszkę nieznaną, lecz bez wątpienia ludzkiej istoty, połączyły się na moment trzy różne epoki na podobieństwo gorączkowo pulsujących sekund i minut tego zdarzenia. Później czaszka znikła. Więź czasów rozpadła się. Zamieniła się w nicość. Wiele razy odtwarzałem w pamięci owe pulsujące sekundy i minuty. Dziś wydaje mi się, że były bardziej napięte niż wówczas. Błękitniało wówczas nad nami bezchmurne czerwcowe niebo. I nikt z nas nie przypuszczał, ani studenci, ani ja, że za chwilę zostanie wysadzony w powietrze most, który, w naszym pojęciu, został zbudowany przez nas.

Pamiętam. Jedliśmy wówczas obiad przed namiotem. Herbata kipiała bulgocąc w czarnym, zakopconym kociołku. Pachniała ogniskiem, podobnie jak zawieszista zupa na baraninie i kompot z suszonych owoców.

Czaszka leżała w namiocie. Najmłodszy ze studentów, Koła, wbiegał, co chwila do namiotu i przyglądał się jej, jak gdyby obawiając się, że zniknie, zdematerializuje się. Okazało się, że ten śmieszny, miły chłopak, który zginął owej strasznej nocy, miał rację.

Obaj Anatolowie patrzyli z góry na Kołę. Niemal gardzili nim. Za to, że miał fantastyczną melodię do spania, że nigdy nie był wyspany, że tęsknił za domem i często pisywał do kogoś listy.

Przypuszczałem, że Kola pisze do swojej dziewczyny. Ale Anatolowie zakomunikowali mi w sekrecie, że chłopiec pisuje do mamy.

Kola był ogromnie podniecony. Anatolowie byli również podnieceni, lecz opanowali się szybko i usiłovali swym zachowaniem przekonać wszystkich, iż nie zdarzyło się nic szczególnego. Wielkie rzeczy, jakaś tam czaszka! Oni odkryją coś znacznie ważniejszego! Jakaś nieznaną cywilizację!...

Obaj Anatolowie nie mieli szczególnego nabożeństwa do antropologii. Specjalizowali się w historii kultury materialnej społeczeństwa rodowego. Jak się zdaje, nie byli w stanie ocenić w całej pełni ważności naszego odkrycia.

Kola, który tak lubił długo spać i korespondował z mamusią, był zapalonym antropologiem i rozumiał natychmiast, że nasze znalezisko wywoła burzę we wszystkich zakładach antropologicznych świata. Był niezwykle podekscytowany. Zasypał mnie gradem pytań.

— Niech się pan zdobędzie na cierpliwość — powiedziałem. — Proszę zjeść kompot. Dziś znaleźliśmy czaszkę, może jutro znajdziemy przedmioty zrobione przez właściciela tej wielkiej czaszki.

— Mam nadzieję, że nie maczugi kamienne?

— Raczej resztki statku, który przyleciał tu przed stu tysiącami lat z nieznannej planety.

Obaj Anatolowie uśmiechnęli się. Wyrobili w sobie nawyki prawdziwych archeologów, trzeźwych, nieufnych, surowych dla własnych i cudzych błędów. Jeden z nich powiedział:

— Albo szczotkę do zębów, własność owego Marsjanina.

Kola, który zdążył już gruntownie zbadać czaszkę, odpowiedział:

— W sprawie zębów to nie bardzo. Zredukowały się wskutek używania pokarmów chemicznych i syntetycznych. Nie potrzebował szczoteczki.

Za to ty potrzebujesz... nie szczoteczki, lecz okularów. Jestem przekonany, że jest to wymarła albo zwyrodniała boczna gałąź. Stryjeczny brat człowieka z Cro-Magnon.

— Jak to, sprzed stu tysięcy lat?

— Brat stryjeczny mógł być o wiele starszy.

— A na co mu była potrzebna taka czaszka w epoce mustierskiej? Z taką czaszką nie robi się kamiennych maczug, lecz komorę Wilsona dla promieni kosmicznych.

Spór między dwoma Anatolami i Kola nie miał już, jak na początku, charakteru akademickiego. Kola był czerwony, nie wiadomo dlaczego wymachiwał drewnianą łyżką. A Anatol starszy gderał:

— Poszedłbyś lepiej spać albo idź na pocztę, wyślij list do mamy.

— Chłopcy, basta! — powiedziałem. — Miejcie trochę cierpliwości. To niemożliwe, żebyśmy znalazłszy czaszkę nie znaleźli już nic więcej!

A sekundy i minuty pulsowały zarówno na moim dużym zegarku ręcznym przerobionym z kieszonkowego, jak i w niecierpliwym sercu Koli oraz w ironicznie-trzeźwej świadomości dwóch Anatolów. Całą naszą czwórkę dręczyło przeczucie jakiegoś wielkiego szczęścia czy też takiego samego nieszczęścia.

Kiedy rzecz się stała i wróciwszy do przytomności po ciosie fali wybuchowej ujrzałem, że stoję na krawędzi ogromnego leja, poczułem się tak, jak gdybym wykradł nieszczęściu moje życie. Ogarnęła mnie rozpacz.

— Kola! — powtarzałem. — Biedny Kola! Co ja powiem twojej matce?

Minęło prawie dwadzieścia lat, a ja widzę wszystko tak ostro, jakby te wydarzenia miały miejsce wczoraj...

Przygotowując się do referatu w Towarzystwie Geograficznym, rekonstruowałem w myśli czas miniony, kiedy to przypadek podsunął nam znalezisko i natychmiast odebrał je. Rekonstruowałem ów czas minuta po minucie, jak gdyby można było odrestaurować potrzebny mi dzisiaj dzień, lecz czasu nie można odrestaurować w całości, moja pamięć zachowała niezbyt wiele szczegółów, zaś reszta znikła bezpowrotnie.

Miałem ochotę zbudować referat w formie niewymyślnego opowiadania. Jak najmniej hipotez i uogólnień, jak najwięcej faktów. Ale brakowało mi właśnie faktów, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że odkrycie miało charakter archeologiczny... Zresztą nie po prostu archeologiczny, lecz na dobitkę również astroarcheologiczny. Pokładałem nadzieję właśnie w partykule „astro”... Kiedy sprawa nie dotyczy Ziemi, lecz dalekiej, nieznannej planety, trudno jest żądać od uczonego setek faktów. Archeolog przywozi czasami z ekspedycji niezliczone

mnóstwo ponumerowanych i zarejestrowanych przedmiotów. Rozłożone na stołach, zdumiewają każdego swą namacalną trójwymiarowością, realnością swego istnienia. Przeminięły dziesiątki tysięcy lat, a te kamienne topory, krzemienne lub obsydianowe groty strzał leżą jak nowe przed oczami człowieka, a co najważniejsze, są konkretnie realne, nie mniej, a może bardziej jeszcze niż stoły, na których spoczywają, niż mury muzeum lub instytutu. Z astronomem rzecz wygląda inaczej. Prezentuje niewiernemu Tomaszowi zdjęcie spektrograficzne... Bo co jeszcze mógłby pokazać? Tak sobie perswadowałem. A dni mijały.

W przeddzień referatu zatelefonowano do mnie z Towarzystwa Geograficznego.

— Czy potrzebny będzie aparat projekcyjny? — zapytano.

— A jakże! Koniecznie!

— Ma pan dużo diapozytywów?

— Zaledwie jedno zdjęcie — odpowiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Tak jest, zaledwie jedno zdjęcie, dawno już zakwestionowane przez Apugina. Może lepiej zrezygnować z referatu? Jeszcze nie jest za późno. Mógłbym zadzwonić rano i powiedzieć, że mam anginę albo gripę.

Oczywiście nie zadzwoniłem i nie zrezygnowałem.

W sali konferencyjnej Towarzystwa Geograficznego zebrali się geografowie, geolodzy, geofizycy, astronomowie. Archeologów, rzecz jasna, nie było prócz jednego aspiranta od Apugina. Przysłał go zapewne on sam jako swego obserwatora.

W pierwszym rzędzie siedziała jakaś wiekowa staruszka z aparatem dla głuchych.

Rozległ się dzwonek przewodniczącego, który powiedział:

— Udzielam słowa Sergiejowi Wietrowowi...

8

R o b o t - R o z m ó w c a. No i co, zakochałeś się? I to w kim? W smarkuli, która nie ma nawet imienia. Ci troglodcy nie dorośli jeszcze do posiadania imion. Imię stanowi dźwiękowy wizerunek osobowości — portret słowny każdego „ja”. A ona, ta wątpliwa piękność, nie umie oddzielić siebie od stada.

P o d r ó ż n i k. Od hordy.

R o z m ó w c a. Nie, od stada. Nie wnikajmy w subtelności etnologiczne. Etnologia to stara, martwa nauka. A ja nie jestem tobą. Nie lubię grzebać się w starzyźnie.

P o d r ó ż n i k. Ja też nie lubię.

R o z m ó w c a. Przypuśćmy. Ty też nie lubisz. W takim razie nie masz żadnego usprawiedliwienia. Mogłeś powołać się na zainteresowanie etnologią, na chęć poznania świadomości człowieka pierwotnego. A co masz na swoje usprawiedliwienie?

P o d r ó ż n i k. Nie potrzebuję się usprawiedliwiać. Przed kim? Przed tobą?

R o z m ó w c a. Przestań przemawiać takim wyniosłym tonem. Mój intelekt niewiele ustępuje twojemu. Ale ty gwizdzesz na intelekt. Ogarnęła cię namiętność do istoty przedintelektualnej, do pierwotnej dziewczyny, która ledwie dojrzała do tego, by oznaczyć dźwiękiem najprostsze rzeczy, nie słowem, lecz właśnie dźwiękiem. Ta dziewczyna nie jest jeszcze w stanie określić samej siebie, jako czegoś nie zlewającego się z pozostałym światem. Nie posiada imienia. Dla niej „ja” prawie zlewa się z „ty” i „on”. Ewolucja jeszcze nie przecięła tej pępowiny. Zdziwiłeś się bardzo, kiedy się dowiedziałeś, że dziewczyna boi się połączyć swoje ja z dźwiękiem, który oddzieliłby ją od stada. Niech będzie od hordy, skoro obstajesz przy tym. Nie pozwoliła, byś jej nadał imię, chociaż w istocie rzeczy już oddzieliła się od hordy, gdy zamieszkała tu, nie wiadomo, czy wbrew własnej woli. Tam w jaskini członkowie hordy nie szukali jej długo. Pomyśleli, że padła ofiarą drapieżników...

P o d r ó ż n i k. A co ciebie to wszystko obchodzi?

R o z m ó w c a. Jest to zainteresowanie czysto intelektualne. Namiętność poznawcza.

P o d r ó ż n i k. Swą niechęć i nieczystą ciekawość nazywasz namiętnością poznawczą?

R o z m ó w c a. Nie gderaj. Obrzydło mi to. Twoja dziewczyna śpi. Śni jej się stado. Nie oszukuj się, nie pokocha ciebie. Masz zbyt wielką głowę i za słabe ręce i nogi. A twoich wiadomości z zakresu fizjologii i historii filozofii ona nie jest w stanie ocenić. Przepęlnia ją strach i zdumienie. Wzięłaby cię za boga lub za diabła, gdyby miała o nich najmniejsze wyobrażenie. Lecz jej stado — nie trzeba się upierać przy hordzie i lakierować rzeczywistości — żyje jeszcze w świecie przedreligijnym.

P o d r ó ż n i k. I cóż tego?

R o z m ó w c a. Zamykasz oczy. Ale otworzę ci je. Z twoją zgodą lub bez niej. A teraz pogadajmy o czymś innym.

P o d r ó ż n i k. Postanowiłeś wreszcie zmienić płytę?

R o z m ó w c a. Chcesz mnie dotknąć tym staroświeckim zwrotem? Wolałbyś robotapochlebę, podskakiewicza? Ja wiem. Pracowałeś do momentu, kiedyś się zakochał w tej piękności o grubych nogach i długich rękach. Przeprowadzałeś doświadczenie, licząc na to, że tutejsza nie rozpieszczona przez uczonych przyroda odpowie na twoje pytanie. Twoje doświadczenie trąci czystej wody dyletantyzmem. W istocie rzeczy, jak mogła żywa drobina powstać w próżni? I nie tylko żywa, lecz zdolna do rodzenia sobie podobnych. Istota życia — to nie tylko wymiana białka, lecz również autoreprodukcja, przewycięzanie czasu i przestrzeni, autoprojekcja w przyszłość. No a ta planetka nazwana twoim imieniem? Co z nią zrobisz? Zapomniałeś o niej?

P o d r ó ż n i k. Masz kręćka na punkcie kwasów nukleinowych i „pamięci” chemicznej. To jest twoja idée fixe. Jeśli nie podoba ci się mój eksperyment, przeprowadź go sam.

R o z m ó w c a. Zostałem stworzony do myślenia, a nie do działania. Myślenie — to moja wąska specjalność.

P o d r ó ż n i k. No to rozmyślaj sobie w duchu. Wyłączę cię. Obrzydłeś mi. Zacząłeś się powtarzać. W twoim mechanicznym umyśle nie ma ani jednej świeżej myśli.

R o z m ó w c a. A w twoim, nie mechanicznym? Czy wszystko jest w nim tak bardzo nowe i świeże?... Od dnia, w którym przyprowadziłeś tę grubonogą, rozleniwiłeś się, mój przyjacielu. Właśnie po to zostałem ci przydzielony, żeby nie pozwolić twemu mózgowi spleśnieć, zarosnąć pajęczyną!

P o d r ó ż n i k. Dość tego! Wyłączam. Starczy na dziś.

Znów nastąpiła cisza. Nie spokój, lecz tylko cisza.

Dziewczyna spała. Spała, rozrzuciwszy ręce i nogi, a jej nieładna, o wystających kościach policzkowych, a mimo to sympatyczna twarz pogrążona była w owym odświeżającym stanie nieobecności, który Podróżnik osiągał z takim trudem. Czy przypadkiem nie zazdrościł śpiącej dziewczynie zdrowego, zwyczajnego snu i tego, że nie była obcą na tej młodej i dzikiej planecie? Może rzeczywiście zazdrościł trochę? Lecz w tej zawiści mieścił się tajony zachwyt nad tą prostą dziewczyną, zachwyt, do którego nie chciał się przyznać przed samym sobą.

Spała, a więc była nieobecna. A kiedy nie spała, czy była obecna? I tak, i nie. Po prostu znajdowała się. Niemal całą swą istotą przebywała tam, w hordzie, albo, jak utrzymywał uparcie Rozmówca, w swoim stadzie. Nic oddzieliła się jeszcze od hordy czy stada, chociaż mieszkała tutaj.

Wszystkie przedmioty pochodzące z jego świata wywoływały w niej lęk i zdumienie. Nie miały nic wspólnego z naturalnym stanem przyrody, wśród której żyła dotychczas. Wydawało jej się, że to wszystko jest snem... To znaczy, że w jej pierwotnej świadomości kryła się jakaś logika (zdrowy sens), logika, która odrzucała zarówno jego, jak i jego robotów jako nonsens, absurd, i poszukiwała zadowalającego wyjaśnienia, uważając to wszystko za kiepski i bezmyślny sen.

Wprawiało go to w zakłopotanie, wyprowadzało z równowagi. W gruncie rzeczy nie chciała go uznać za istotę żywą, nie chciała znać realności jego i jego świata. Kiedy patrzyła na niego zielonymi, lekko zmrużonymi oczyma, poprzez jej strach wyzierała drwina.

„Jakiż potwór mi się śni — myślała zapewne. — Jaki straszny, niedorzeczny, uprzykrzony potwór.”

A zresztą nie mogła tak myśleć, nie umiała.

Teraz spała. Podczas snu jej twarz zmieniała się. Sen wrywał ją z jego świata i wydawał się jej zapewne czuwaniem. Na razie również inna sprawa była dla niego zagadką — w jakiej mierze jej czwanie było przepojone świadomością? W jakim stopniu mogła oddzielić siebie od drzemiącej przyrody, od tych drzew, szumiących rzek i zwierząt tropiących zdobycz? I ją również, przyodzianą w skóry zwierząt, trudno było z daleka wyodrębnić z tego wszystkiego, co biegło, pędziło, ryczało, gwizdało, sapało, zdumiewając uczucia Podróżnika nowością i świeżością, naturalnością dzikiego, nieoswojonego świata.

Jej śpiące muskularne ciało pachniało piżmem, dymem i trawą. Ta ostra, przenikliwa woń przesyciała całą jej istotę.

Nachylił się nad śpiącą i raz jeszcze chciwie wciągnął w nozdrza ten zaspach. W jego oddech, w krew, we wszystkie pory jego ciała wdarło się coś ćmiącego rozsądek. Ona była tu, przy nim, ona, obalająca jego odległy świat i całą jego przeszłość utrwaloną przez robota Twoje Drugie Ja. Rumiane policzki pokryte puszką. Grube wargi. Niskie czoło z kosmykiem kruczych, twardych włosów. Małe dziewczęce uszy — dwie na wpół przezroczyste konchy, przyrośnięte do głowy. I nos z okrągłymi, spokojnie dyszącymi nozdrzami.

Potrącił ją niechcący, obudziła się. A wraz z nią przebudziło się wszystko, z czym była związana pępowiną — las grubych wysokopiennych drzew, burzliwy prąd rzeki niosący kamienie, zwierzęta na ścieżce u wodopoju. I półludzie w zadymionej jaskini...

W jej zielonych oczach błyszczał lęk, zdumienie i drwina. Jak długo można się dziwić? Oto już mija dzień, odkąd znalazła się tutaj. Miotła się wśród krzaków jak ptak w potrzasku, próbowała schować się, lecz robot, posłuszny rozkazowi, dostarczył ją tutaj. Ożywiony przedmiot, udający człowieka, zimny i twardy jak kamień. Z jego rąk trudno się wyrwać. Z pomocą przyszedł jej zdrowy rozsądek, w przeciwnym razie serce pękłoby z przerażenia. Rozsądek podpowiedział jej, że to wszystko jest snem.

I oto sen trwał dalej.

Stał przed nią człowiek o wielkiej głowie i mądrych, dobrych oczach. Miał nieprzyjemnie małe usta. Ani razu jeszcze nie widziała, jak on je. Zresztą, czy można jeść mając takie usta? Czy zmieści się w nich kawałek mięsa... Ale kiedy się patrzyło w jego oczy, można było zapomnieć zarówno o kusych nogach i rękach, jak i o małych ustach. Oczy — to właśnie był on. Jak gdyby składał się tylko z nich. W tych oczach tkwił dziwny głęboki świat, przypominający nocne niebo pełne gwiazd.

Zresztą człowiekowi śpiącemu może się wszystko uroić. Ten sen trwa zbyt długo. Chciała przebudzić się, przebudzić w jaskini pachnącej pieczonym na węglu mięsem jelenia lub byka.

Nie należy nikomu opowiadać swych snów. Sny trzeba jak najprędzej zapomnieć. Lecz czy potrafi zapomnieć tego małego człowieka o przepastnych oczach, którego słuchają ożywione rzeczy? I czy to w ogóle jest człowiek? Dlaczego jest zawsze samotny, bez hordy? Sam jeden, jeśli nie brać pod uwagę oszalałych rzeczy, odgadujących każde jego życzenie?

Ten śmieszny człowieczek bełkocze szybko i jeszcze chce, żeby go zrozumiała. Nie potrafi go zrozumieć, lecz w jego głębokich oczach dostrzega coś niezwykłego. Coś takiego widziała, kiedy po raz pierwszy w życiu wyszła z ciemnej wilgotnej jaskini. Gaworzyła rzeczka. I otwarła się przed nią kusząca błękitna dal, głęboka i przezroczysta jak woda. A rzeczka gaworzyła. I słychać było gwizd wilgi. Kukała kukułka. A dźwięki rozpływały się jak kusząca dal.

W przepastnych oczach dziwnego człowieka błękitniała dal, kusząca tajemniczością i napawająca lękiem serce.

Kim on jest? Skąd przybył? Ale czy sen odpowiada na pytania śniących?

Zamknęła oczy. I znów zapadła w drzemkę.

Podczas jej snu on wspominał. Robot Twoje Drugie Ja rozwijał przed nim czas, zakonserwowane chwile. Oto jako młodzieniec, student wydziału filozofii, składa egzamin. Auditorium nad brzegiem leśnego jeziora. Przezroczyste, optyczne ściany wchłaniają dalekie przestrzenie, cichy, spokojny rytm poranku.

Egzaminuje filozof, skromny człowiek o skupionej rozumnej twarzy.

— Przypomnij mi — powiedział cicho — jak pojmował świat starożytny myśliciel i matematyk Urho-Urhan?

— Urho-Urhan? Pojmował świat jako całość, którą można zawrzeć w formule, jako zadanie, które może rozwiązać gigantyczny rozum matematyczny. Wyobrażał sobie świat jako sumę faktów i okoliczności.

— Upraszczaś trochę.

— Nie jako zwyczajną sumę faktów rozmieszczonych w przestrzeni, lecz również trwających w czasie. Ale Urhan żył na długo przed tym, gdy uczeni zaczęli uważać, że mieszkają w świecie prawdopodobieństwa, którego nie można zmieścić w formule. Znaleźli się filozofowie, którzy zaczęli opiewać przypadek, traf. Mocny grunt zaczął się im wydawać rozkołysaną otchłanią... I taką rozkołysaną, irracjonalną otchłanią wydawała się im nasza dusza.

Filozof uśmiechnął się.

— Dobrze odpowiedziałeś. Pięknie. I nie według podręcznika. Jestem zadowolony z twojej odpowiedzi. Jeżeli nie jesteś zmęczony, chodźmy na mały spacer. Chciałbym pogadać z tobą.

Opuścili auditorium. Maszyna powolnego ruchu poniosła ich płynnie, na przemian przyspieszając lub zwalniając tempo. Przed ich oczami zjawiało się wyłącznie to, co było godne uwagi. Błękitny obłok. Wierzchołki gór. Dno oceanu z różowymi rybami potworkami. Czyjaś piękna zamyślona twarz. Nóżki dziecka stawiającego pierwszy krok. Skrzydło lecącego ptaka. Dźwięczna kropla deszczu. Trąba powietrzna wyrwijąca drzewa z korzeniami. Dom — ostatnia nowość architektury, idealnie wpisany w przestrzeń i czas, jak gdyby dźwignięty na szczyt urwiska życia. Dom o optycznych ścianach, wchłaniający całą świeżość świata... A potem przestrzeń stawała się abstrakcją, jak w kosmosie lub w długim tunelu, spowijając się zasłoną oddalenia. A wtedy nic nie rozpraszało ich uwagi i mogli spokojnie rozmyślać na głos i dyskutować.

— W świecie starożytnym — powiedział nauczyciel — istniały dwa typy myślenia. Jedni myśliciele rzutowali swój rozum na świat i uważali go za rozumny. Inni rzutowali wewnątrz siebie cały chaos i irracjonalizm nie poznanej jeszcze przyrody i uważali świat i siebie za wyzutych z rozumu. Byli również eklektycy, którzy pragnęli pogodzić oba stanowiska. Lecz minęło tysiąclecie, a przebudowany świat i przemieniony mieszkaniowiec planety stali się rozumni. Żyjemy w świecie rozumu. Nastąpiło to po wielkiej rewolucji społecznej i technicznej. Przypomnę ci o zakłopotaniu ekonomistów i socjologów. Całą pracę fizyczną i znaczną część umysłowej wzięły na siebie maszyny cybernetyczne i roboty. Niektórzy socjologowie przypuszczali, że wskutek długotrwałej beczynności społeczeństwo zacznie gnąć duchowo. Lecz społeczeństwo wychowywało swych członków, uczyło pogardy dla próżniaków i pasywnych. Praca przekształciła się w twórczość, we współzawodnictwo aktywnych, odważnych serc. Rozpoczął się podbój kosmosu... Ciebie to nie interesuje. Znasz to sprawy od dziecka. Ale mówię o tym. Chciałbyś zająć się studium starożytnej filozofii, historią kultury i myślenia. Trudno ci będzie zrozumieć irracjonalizm, kult żywiołu, wnikać w istotną treść tego niepojętego dla nas, dziwnego zjawiska. Przypominam sobie, jak trudno mi było zrozumieć istotę świadomości religijnej, zrozumieć nie powierzchownie, lecz głęboko... W tym

celu musiałem rozgryźć psychologię starożytnego Aneidajczyka. Musiałem wyobrazić sobie świat pełen niespodzianek i klęsk, świat, w którym nieokrzepły jeszcze rozum walczył z antyrozumem, o wiele od niego silniejszym i chytrzejszym...

— Cieszę się z trudności — odpowiedział nauczycielowi — bez nich studiowanie dawnych dziejów straciłoby dla mnie większą część swego uroku.

— Trudności. Przemawia przez ciebie alpinista. I pływak. Mój przyjacielu, historia, szczególnie zaś historia myśli — to nie jest sport czy wychowanie fizyczne i nie należy cieszyć się z trudności.

Znikła abstrakcyjna przestrzeń zasłonięta smugą obcości. I znów ukazało się to, na czym należało skupić uwagę. Huragan. Wiewiórka prześlizgująca się wśród gałęzi. Błękit przepaści. Skała. Ławka z dwojgiem zakochanych. Polana w gęstym lesie i brunatny porowaty grzyb, pachnący mchem i wilgocią. Gniazdo jaskółki i jej pisklęta. Fabryka fotosyntezy. Ferma agrofizyczna. Ogród pełen roślin rosnących bez gleby. Wspięte fale biegnące ku piaszczystemu brzegowi. Skrzypkowie i wiolonczeliści muzykujący w lesie.

Podróżnik wyłączył robota Twoje Drugie Ja, ponieważ dziewczyna się przebudziła. Siedziała w kucki i patrzyła. Z jej oczu znikł wyraz przestachu i drwiny, pozostała tylko ciekawość.

9

Syn Tamarcewa, Geogobar, siedział w pokoju dzieciennym i spoglądając w zamyśleniu na szachownicę rozwiązywał zadanie.

Gosza otrzymał wczoraj swój pierwszy paszport i był bardzo zakłopotany, a nawet skonfundowany, kiedy otworzywszy nowiutki dokument przeczytał: „Tamarcew Geogobar, syn Aleksieja”.

— W domu i w szkole nazywają mnie Goszą, Georgijem — powiedział cicho kapitanowi milicji.

— I niech tak nazywają dalej — odpowiedział kapitan z uśmiechem. — W domu będzie pan Goszą. A w pracy Geogobarem Aleksiejewiczem. Pierwszy raz spotykam takie imię. Zdaje się, że gdzieś czytałem o nim.

Gosza zaczerwienił się i schowawszy dowód osobisty do nowego, specjalnie w tym celu kupionego portfela, wyszedł na korytarz. Czekali tam w kolejce tacy sami szesnastoletni chłopcy. Bogu dzięki, że drzwi są grube i nie mogli usłyszeć rozmowy Goszy z kierownikiem wydziału paszportowego. Oczywiście nie postąpił zbyt grzecznie, nie odpowiadając kapitanowi i bez słowa opuszczając gabinet. Imię Geogobar można było istotnie znaleźć w pewnej starej, wydanej jeszcze przed wojną powieści fantastyczno-naukowej, napisanej przez ojca. Ojciec nadał Goszy to imię na cześć swej ulubionej postaci, żyjącej na drugim końcu Galaktyki.

Po powrocie do domu Gosza wydobyl paszport z portfela i ponownie odczytał tekst. Ze smutkiem pomyślał, że dokument będzie się z nim kłócić przez całe życie. On będzie mówić wszystkim, że jest Goszą, Georgijem, a dowód osobisty będzie demaskować to kłamstwo — nie jest Goszą, lecz Geogobarem.

Ach, jak mu się nie chciało być Geogobarem! W tym imieniu kryło się coś dziwnego, jak gdyby naprawdę przybył do tego mieszkania z drugiego końca Galaktyki.

Gosza rozwiązywał zadanie szachowe. Ojciec zawołał go i rzucił okiem na tablicę.

— W dalekiej przyszłości — powiedział — najwybitniejszymi szachistami będą maszyny cybernetyczne. Maszyna będzie zawsze górowała nad szachistą. Nie będzie się denerwować, nie będzie się obawiać niedoczasu, nie będzie reagować na opinie publiczności.

— A czy maszyna nie nauczy się denerwować?

— Po co ma tracić swą przewagę? Tak, ciocia Ola powiedziała mi, że dostałeś wczoraj paszport. I nie pochwaliłeś się przede mną? Uczcilibyśmy to. Pamiętam, że kiedy ja otrzymałem dowód...

— Ale ty, tatusiu, nie musiałeś się czerwieni, nie musiałeś tłumaczyć kierownikowi wydziału paszportowego, dlaczego nosisz takie niezwykle imię.

— Zawsze lubiłem rzeczy niezwykle.

— A ja lubię zwykłe.

— To bierze się stąd, że chciałbyś być doroślejszy od dorosłych. Podoba mi się twoje imię i nawet to, że twój imiennik mieszka na drugim końcu Galaktyki. Aczkolwiek nie naprawdę, lecz tylko w mojej wyobraźni, a mimo to jest dla mnie i dla moich czytelników kimś nie mniej realnym niż jakiś John, Peter czy Kuźma. Urodziłeś się w trzecim roku wojny. Matka umarła. Wysłano cię na głębokie tyły. Pamiętam, że w zimie 1944 roku przyjechałem z frontu, z trudem odnalazłem dom dziecka ewakuowany do wioski uralskiej. Przychodzę i mówię do starej wychowawczynie: „Nazywam się Tamarcew, tu u was znajduje się mój syn, Geogobar”. Uśmiechnęła się i zaprowadziła mnie do ciebie. Leżałeś w łóżeczku, obudziłeś się przed chwilą. Nie umiałem wytłumaczyć ci, kim jestem. Kiedy rozstaliśmy się, nie mówiłeś jeszcze. A jednak rozumieliśmy się wówczas lepiej niż teraz.

Gosza popatrzył zamyślony na tablicę szachową, lecz myślami był gdzie indziej.

— Tatusiu, czy czytałeś opowiadanie Czechowa „Chłopcy”? O Montigomo Jastrzębim Szponie?

— Czytałem kiedyś. Bardzo dawno. A dlaczego tak cię to interesuje?

— Po prostu tak sobie. Bohaterem tego opowiadania jest uczeń gimnazjalny, chłopiec bardzo poważny, marzący o ucieczce do Ameryki, który przybrał imię Montigomo Jastrzębi Szpon. Jak sądzisz, tatusiu, czy on się tego wstydził, kiedy wyrósł?

— Nie rozumiem cię. Czego się wstydzić? Przecież to jest romantyczne marzenie...

— Romantyczne? A moim zdaniem po prostu głupie. Montigomo Jastrzębi Szpon! Jakie to śmieszne!

Tamarcew zamyślił się głęboko i wyszedł z pokoju.

„«Chłopcy» — przypomniał sobie — warto by przeczytać na nowo to opowiadanie Czechowa. Chociaż jakie znaczenie ma dziś Montigomo? Od dawna znikli bez śladu gimnazjaliści marzący o polowaniach na bizona. Jeśli mnie pamięć nie myli, Czechow napisał to opowiadanie w latach osiemdziesiątych. Jaki Geogobar jest wrażliwy. Reaguje na wszystko. Szuka we wszystkim głębszego sensu”.

Kiedy wszedł do swego gabinetu zastawionego półkami na książki, sięgającymi od podłogi do sufitu, przypomniał sobie, że nie ma w domu utworów Czechowa. Podobnie jak nie ma dzieł Lwa Tołstoja. Geogobar musiał wypożyczać te książki z biblioteki szkolnej.

Usiadł przy wielkim, wygodnym biurku i przymknął znużone oczy. W takich chwilach rodził się w jego świadomości niezmiernie odległy od tego pokoju i nawet od samej Ziemi, niewyraźny, obcy byt, przybliżał się i coraz wyraźniejszy kładł się lekko na kartkach papieru, oblekając się w żywe, zrozumiałe słowa. Jednak tym razem ów daleki, obcy byt nie chciał się pojawić. Bronił się przeciw wysiłkom Tamarcewowskiej wyobraźni. W świadomości zrodziło się nagle przeczytane kiedyś i zapomniane zdanie:

„Kiedy stado bizonów pędzi przez pampasy, drży ziemia, a przerażone mustangi wierzgają kopytami i rżą”.

Otworzył znużone oczy i zadał sobie pytanie:

— Skąd pochodzi to zdanie? Zdaje się, że z Czechowa. Jakie to dziwne, że je sobie przypomniałem. Przecież czytałem Czechowa, kiedy byłem młody.

Wstał, przeszedł się parę razy po pokoju i nie wiadomo dlaczego stanął przed lustrem. Ze zwierciadła patrzyła na niego poważna twarz o spiczastym nosie i czarnych, lekko zmrużonych oczach. W tych czarnych oczach o młodzieńczym blasku igrał ziemski, odrobinę

chytry ognek, wprawiający nieraz w zakłopotanie czytelników, szczególnie zaś młode czytelniczki, które spotykając autora powieści fantastyczno-naukowych były rozczarowane, że jest tak niepodobny do bohaterów swoich książek.

Tamarcew zdziwił się bardzo, że wyraz jego twarzy nie odpowiadał jego dzisiejszemu nastrojowi, pełnemu niepokoju i niezadowolenia z samego siebie. Lustro kłamało.

O pierwszej w nocy wszedł na palcach do pokoju syna, Chłopiec spał, zapomniawszy zgasić światła. Jego wąska pacholęca twarz z zamkniętymi oczami wydawała się o wiele starsza i poważniejsza niż za dnia.

Tamarcewa, który stanął przy otwartych drzwiach, przeszło nagle jakieś nowe, nieznanne i silne uczucie.

Z zapiętym tchem, z sercem bijącym ze zdumienia i niepokoju patrzył na śpiącego syna, jak gdyby spoglądając z głębi kosmosu ujrzał po raz pierwszy człowieka i zrozumiał całą głębię, niepowtarzalność i piękno życia na Ziemi.

Część trzecia

W DWÓCH ŚWIATACH

1

Wyprawa do Paryża trwała zaledwie pięć dni. Po pięciu dniach był znów w domu.

Później Tamarcew niejednokrotnie usiłował przypomnieć sobie stary hotel, niski, duszny pokój i małą restaurację w pobliżu bulwaru des Capucines, w którym jadał obiady, ulice, które przemierzał szybkim krokiem, przyglądając się z ciekawością przechodniom, zatrzymując się przed starymi budowlami i nie wiadomo po co studiując niezliczone afisze teatralne. Nie zdążył odwiedzić żadnego teatru.

Wszystko pędziło — tłum, samochody, wagony starej kolei podziemnej, do której schodzi się po stopniach wprost z trotuaru. Ulegając temu rytmowi on spieszył się również, gromadząc wrażenia życia paryskiego.

Nie umiał odpowiednio podzielić swego czasu i, rzecz jasna, od razu okradł samego siebie, zatrzymawszy się zbyt długo przed obrazami Degasa w Muzeum Luksemburskim oraz przed jakimś antycznym posągami, wskutek czego nie miał później czasu, by zatrzymać się tam, gdzie nie należało się spieszyć: na wznoszących się ostro w górę ulicach Montmartre'u, na nabrzeżu Sekwany przed kramami słynnych bukinistów, przed pałacem Palais Royal i katedrą Notre Dame.

Życie prześlizgiwało się przed nim jak taśma filmu dokumentalnego — pięknego, lecz mknącego szybko.

Pierwsza doba minęła jak jedna chwila. Dał sobie słowo, że nie będzie spać. Chciał jeszcze przejrzeć referat, który miał wygłosić na międzynarodowym zjeździe fizjologów i psychiatrów. Lecz do hotelu powrócił zmęczony, położył się i od razu zasnął.

Przebudził się i dwie lub trzy minuty leżał nieruchomo na wznak, widział zwykłe ściany pokoju hotelowego, banalne i nudne. Zwykłą umywalkę. I okno podobne do wszystkich okien, lecz za tym oknem był — Paryż.

Zerwał się z łóżka i zaczął się ubierać. Nie zostało mu nawet kilku minut na śniadanie. O dziesiątej miało się rozpocząć posiedzenie sekcji psychiatrów, a jego referat wyznaczony był na dwunastą.

Nie spodziewał się wcale, że na zjeździe fizjologów i psychiatrów spotka swego stryjecznego brata Mikołaja Arapowa.

Wysoki, elegancko ubrany pan powiedział modulując piękny, dźwięczny głos:

— Alosza! Przepraszam, Aleksiej Iwanowicz... — Uśmiechnął się. — A pamiętasz, jakeśmy omal nie podpalili stajni z ogierem Gołabkiem?

Uśmiechnął się jeszcze bardziej czarująco. I na moment z tej twarzy zachodnioeuropejskiego dżentelmena, paryżanina i modnego filozofa wyjrzała prostoduszna i miła twarz Koli.

— Czy nie zmęczyłeś się zanadto? Z zainteresowaniem wysłuchałem twojego referatu. Czego tak na mnie patrzysz? Aha, rozumiem, spotkanie przedstawicieli dwóch wrogich systemów społecznych. Ale przecież nie zapraszam cię do domu. Możemy porozmawiać na terytorium neutralnym. Na przykład w kawiarni. Nie masz nic przeciw temu?

Na ulicy wśród innych samochodów stała jego długa, wytworna hispano-suiza. Wsiedli do wozu. Arapow sam kierował z fasonem i z jeszcze większym fasonem zahamował wóz przed kawiarnią.

Przy kieliszku koniaku, pachnącego jak gałązka czeremchy i zostawiającego na języku cierpki smak, zadeklamował śpiewnie:

*O, pamięci! Ty ręką kolosa
Życie wiesz, jak konia za ramię.
Ty opowiesz mi wszystko o losach
Tych, co żyli w moim ciele przedtem.*

Na jego obliczu ukazał się wyraz natchnienia:

*Kij sękaty i rudego psiaka —
Oto jakich dziś przyjaciół mam.
O, pamięci, nie odnajdziesz znaku,
Nie uwierzy świat, że to był ja.*

Potem wyraz natchnienia ustąpił miejsca innemu, bardziej odpowiedniemu do sytuacji i okoliczności. Zresztą, co mogło być dla niego źródłem szczególnego natchnienia? Czy fakt, że po czterdziestu latach spotkał krewnego? A cóż to jest pokrewieństwo? Bo trudno tu chyba mówić o pokrewieństwie duchowym... To można będzie stwierdzić dopiero po rozmowie, po szczerej wymianie myśli. Lecz Arapow nie wiedział, jak potoczy się ich rozmowa.

Ach, czy można w ogóle być czegokolwiek pewnym w tym życiu!...

Arapow podał stryjecznemu bratu skórzaną papierośnicę wypchaną papierosami — gest raczej powierzchowny, towarzysko oficjalny, który nie miał chyba wpływu na zmniejszenie dystansu między nimi.

— Palisz?

— Nie, nie palę.

— A ja pamiętam, że próbowałeś palić w okresie, kiedy było to nam surowo wzbronione. Wywołałeś wówczas wybuch gniewu starszych członków rodziny. Zostałeś ukarany. Kiedy patrzę teraz na ciebie, wydaje mi się, że to było zaledwie wczoraj.

— A mnie się nie wydaje.

— Bo ty jesteś materialistą. Dialektykiem. Tobie nie wolno wątpić w obiektywność naszej przeszłości.

— Dlaczego miałbym wątpić w to, co jest niewątpliwe?

— Czy aż tak bardzo niewątpliwe, jak to twierdzą wasze podręczniki? Niestety! Rzeczywistość dysponuje tylko bieżącym momentem. Oto siedzimy i pijemy koniak. Rzeczywistość dała nam te miłe chwile, by je natychmiast odebrać. Łączą nas z nią takie same stosunki, jakie łączą dłużnika z wierzycielem. Ona daje i natychmiast odbiera. Bieżące istnienie — to nieprzerwana prolongata. Nasz czas zastawiony jest w lombardzie, ale nie możemy go stamtąd wykupić,

— No, a przeszłość? — zapytał Tamarcew. — Niezbyt jasno uświadamiam sobie, jaki jest jej związek z twoimi rozważaniami na temat bieżącego istnienia, zastawionego rzekomo w lombardzie.

— Przeszłości, w istocie rzeczy, nie ma. Byt rozwija się przed nami jako nieustannie zanikająca terażniejszość. Miałeś, oczywiście, nieraz sposobność patrzeć z okna wagonu na uciekającą przestrzeń. Lecz przestrzeń znika tylko z pola naszego widzenia, zaś czas gra z nami w bezmyślną, alogiczną grę; uciekając — powraca, powracając — ucieka. Nie ma go i zarazem jest. Wydaje się, jak gdyby już był. Dla osobowości istnieje tylko przedłużony moment, dotyczący rodzaju i gatunku... Lecz doświadczenie rodu lub gatunku, niezależnie od tego, jak się nazywa — historią, czy nauką — nie jest w stanie osiąść istoty. Prawda jest niepowtarzalna i tylko osobowość może ją odkryć.

Na twarzy Tamarcewa zaigrał uśmiech.

— Znam to, Mikołaju. Przecież, wybacz, jestem psychiatrą. Moi pacjenci często rozwijają przede mną tego rodzaju koncepcje i to nie mniej błyskotliwie, z nie mniejszą logiką.

Lecz ich aparat poznawczy pracuje na jałowym biegu, bowiem zerwane zostały kontakty z realną rzeczywistością. Brak koordynacji działania dwóch układów sygnałów.

— Jak? Jak powiedziałeś? Dwa układy sygnałów? No tak, to według Pawłowa. Jesteś jego uczniem?

— Tak jest.

— Powiedziałeś to takim tonem, jak gdybym uważał to za twoją winę. Nie widzę w tym ani szczególnej winy, ani zasługi... Podobnie jak nie widzę zasługi w tym, że jesteś uczonym. Nauka w naszych czasach nie jest w zgodzie z ludzkimi uczuciami, z duszą. Czy można sobie wyobrazić nieskończoność? A skoro nieskończoności nie można sobie wyobrazić, to nasze wyobrażenia nie mogą sobie poradzić również ze skończonością. Nauka jest z ducha anty-humanistyczna... Służy zagładzie, klęsce, śmierci... Bez niej nie byłoby Hiroszimy!

— Nauka nie jest temu winna, winę ponosi społeczeństwo kapitalistyczne.

— Tak mówi wielu uczonych. A sami budują przy tym maszyny cybernetyczne i marzą o myślących robotach. Spieszno im wyzwolić ludzkość spod jarzma myślenia. Opisują raj, w którym bezmyślni, podobni do przedmiotów ludzie będą patrzeć w zdumieniu na żywe, rozmyślające rzeczy. Nie potrzeba mi takiego raju. Jest wstrętny.

— I mnie taki raj nie jest potrzebny.

— Czyżby? Poczekaj, nie zarzekaj się. Zresztą jak popatrzone by na to tam, skąd przybyłeś? U was, jak i u nas nosi to nazwę postępu naukowego, rewolucji technicznej. Cała epoka podobna jest do mechanizmu z założonym uprzednio programem. Epoka zmieniła ludzkość w uczniów, zmuszając wszystkich do rozwiązywania tego samego zadania. A ludzie zdążyli już cichaczem zajrzeć na koniec książki i tylko udają, że nie znają rozwiązania.

— Niezupełnie rozumiem, co masz na myśli. Jeżeli porównujesz ludzi, widzących w perspektywie cel, z uczniakami, którzy zajrzeli na ostatnią stronicę podręcznika, to mówisz bzdury. Znać rozwiązanie — to jedno, ale osiągnąć je — to coś całkiem innego. Właśnie ty wzywasz ludzi znających odpowiedź na zadanie, żeby go nie rozwiązywali i zadowolili się jego irracjonalnym sensem. Ludzkości potrzebna jest zmaterializowana odpowiedź. Ludzie nie mają powodu chować się przed czymś, czego na razie jeszcze nie rozumieją. Nie są strusiami. W strusiej ideologii jest tyle wolności, ile w strusiej ekonomice. Wiem, że lubisz żonglować takimi słówkami jak „nic” i „coś”. Negując cel, negujesz również środki. Co pozostaje? Chyba pójść do lombardu i zostawić własną osobowość? Jesteś dezterem!

— Masz tobie, znowu wstępniak. Po co obciążać mózg! Wkrótce automat zdejmie z nas brzemień myślenia. Nieprzypadkowo w swym referacie o istocie pamięci kładłeś taki nacisk na podobieństwo łączące człowieka i maszynę. Ładne mi podobieństwo!

Nastąpiła pauza. Czas było rozejrzeć się dokoła. Tamarcew rzucił okiem na sąsiednie stoliki, na estradę.

Lśniący jak mahoń muzykanci o brązowych twarzach i rękach wykonywali na egzotycznych instrumentach jakąś afrykańską symfonię. Jeden z nich podniósł się z miejsca i zaczął śpiewać. Śpiewał cicho, z przydechem, głosem astmatyka, śpiewał intymnym przygłuszonym tonem, jak gdyby wczuwając się w coś, co tu w tym nocnym lokalu ujawniało się tylko jemu i było niedostępne dla innych — jakby wzywając tutaj swe afrykańskie bóstwo i radząc się go ponad głowami gości.

Śpiewak zamilkł, lecz melodia wciąż jeszcze brzmiała.

— Jesteś nieszczęśliwy, Kola?

Pytanie brzmiało zaskakująco nawet dla tego, kto je zadał, jak gdyby to zrobił nie on, lecz kto inny.

— A ty jesteś szczęśliwy, Alosza?

— Ja?

— Tak, ty.

— Ja również jestem nieszczęśliwy, Kola.

Arapow roześmiał się.

— Nie wierzę ci. Tam, skąd przybywasz, wszyscy mają rozkaz być szczęśliwymi.

— Nie błaznuj, Mikołaju, bo odejdę.

— Dobrze, już nie będę. Przepraszam. Ale skąd wiesz, że jestem nieszczęśliwy?

— Domyślam się, Kola. Nietrudno jest domyślić się tego po spędzeniu z tobą wieczoru.

— Jestem nieszczęśliwy, Aleksieju, w szczególny sposób, jestem nieszczęśliwym łajdakiem. W roku 1941 Niemcy zabrali moją żonę do obozu zagłady.

— Niemcy. Nie ty. Ty poszedłeś do Ruchu Oporu. Biłeś się. Czytałem o tym...

— Tak, biłem się i tonałem w rozpacz... Lecz ciągnąłem z niej zyski. Nieszczęście pomaga mi bardziej intensywnie odczuwać byt i czas. Czym jestem lepszy od Lizy Koch, która wyrabiała rękawiczki z ludzkiej skóry? Zdradziłem moją żonę. Powinienem był pójść z nią razem do obozu zagłady.

— Uważam, że postąpiłeś słusznie idąc do partyzantki. W samobójstwie nie ma ani krztyny heroizmu.

— To znaczy, że jestem niewinny?

— Nie, jesteś winny. Twoja wina polega na tym, że swoją filozofią pomagasz mordercom swej żony.

— Znowu artykuł wstępny. Jakie oklepane, banalne słowa.

— Prawda nie potrzebuje wspaniałych strojów. W pierwszym lepszym, nawet najpłytszym wstępniaku jest więcej głębszej treści niż w systemie filozoficznym ofiarującym ludziom nic — kamień zamiast chleba.

— Nie wierzę. Wstępniak nie może zawierać prawdy.

— Dlaczego?

— Bo prawda nie przychodzi do ludzi wydeptanymi ścieżkami, płaci się za nią krwią, życiem...

— My zapłaciliśmy tę cenę...

— Znowu gazeta! Replikujesz przeciwnikowi ideowemu? Daj spokój, Alosza. Dość. Powiedz mi tylko, dlaczego ty jesteś nieszczęśliwy. Tego mi jeszcze nie wytłumaczyłeś.

— Być szczęśliwym to nie taka łatwa rzecz. Dlatego że...

— Nie tłumacz. Rozumiem cię. Nie jesteś automatem, jesteś człowiekiem. Ja też nie jestem automatem. Ale chyba czas już na nas.

Arapow podniósł się z miejsca. Widać było, że jest znużony.

Wyszli na ulicę.

— Czy miałbyś coś przeciw małemu spacerowi? — Arapow usiadł za kierownicą i zapuścił silnik swojej hispano-suizy. Wóz ruszył. — Długo zostajesz w Paryżu?

— Jutro odlatuję.

Hispano-suiza bez trudu wyprzedzała inne wozy. Arapow wyraźnie nie miał zamiaru zmniejszyć szybkości. Tamarcewowi zakręciło się w głowie. Mdlilo go od zbyt szybkiej jazdy i niewyspania.

— Zapłacisz karę — powiedział.

— U nas się za to nie płaci... Sprytni reporterzy uważają się za wielkich filozofów, używając słowa „niebyt”. Ileż to już razy pisali o mnie, że lubię igrać ze śmiercią. Nazwali mnie zwariowanym kierowcą. Mają trochę racji, są na dobrym tropie. Istotnie, chciałbym czasami mieć krakę.

— Spodziewam się, że nie dziś?

— A dlaczegożby nie? Nie można wszystkiego odkładać w nieskończoność. Jeszcze mnie gotowi wziąć za tchórza. Ale cieszę się z naszego dzisiejszego spotkania. Rzecz jasna, jesteśmy przeciwnikami. Ale jednocześnie braćmi. Z całej mojej rodziny zostałeś tylko ty. Widzisz, jakie ciasne są ulice Montmartre'u... Tutaj najłatwiej o wypadek. Ale ja to mówię do siebie. Możesz być spokojny. Odwiozę cię do hotelu. Jestem zbyt doświadczonym kierowcą,

żeby rozbić taki wóz, jeśli sam tego nie zechcę. Pamiętasz, Aleksieju, poszliśmy kiedyś w górę rzeki Grzmiącej, zboczyliśmy ze ścieżki i zabłądziliśmy w lesie. Zapadła noc. Jakiś ptak nocny zaczął krzyżeć. Płakał. Jak gdyby pochował kogoś przed chwilą. Alosza, ten ptak pogrzebał mnie.

— Dość wcześnie zabrał się do grzebania. Bądź co bądź żyłeś potem jeszcze dobrych czterdzieści lat.

— Pytanie tylko, czy żyłem. On opłakiwał moje ja, moje szanse, to wszystko, co się we mnie nie zrealizowało, co sam pogrzebałem w swym sercu. Oto twój hotel. Bywaj zdrów, Alosza.

Arapow nachylił się i pocałował Tamarcewa w usta.

Świtało.

Wieczorem Tamarcew przeglądając jakiś dziennik przeczytał przerażony, że filozof Arapow uległ wypadkowi samochodowemu. Wpadł na latarnię uliczną i w ciężkim stanie przewieziony został do szpitala.

2

Radij Iwanowicz otrzymał oddzielny pokój do pracy oraz dwóch asystentów. Trzeba było w związku z tym pogwałcić wszelkie przyjęte zwyczaje. Wszak młody Bogatyriew był na razie tylko aspirantem. Zaś jako asystentów otrzymał dwóch pracowników naukowych z tytułami kandydatów, ludzi już niemłodych, doświadczonych, z poważnym stażem i dużą erudycją. A jednak nie oni mieli kierować Radikiem, lecz Radik nimi, bowiem w jego głowie żyły twórcze pomysły o wielkich perspektywach.

Przydzielono mu również zwierzęta do celów eksperymentalnych. Zwierzęta interesują go jedynie jako żywe maszyny, mądrze i ekonomicznie skonstruowane przez przyrodę. Ptaki bez kompasu przelatują nad morzami i nigdy nie zmylą trasy. Nietoperze posługują się ultradźwiękami. Ryby głębinowe — energią elektryczną.

Przed Radijem Iwanowiczem stoi trudne zadanie. Ma wyjaśnić, co należy zapożyczyć od ptaków do budowy maszyn cybernetycznych. A może nie da sobie rady z tym zagadnieniem? Takie pytanie nie raz padało na radzie naukowej. Czy słuszne z każdego punktu widzenia (a szczególnie z pedagogicznego), by młody człowiek, aspirant, był zwierzchnikiem kandydatów nauk, dojrzałych, poważnych ludzi?

Borodin, występujący w obronie Radika, gorączkował się:

— On ma bogate pomysły. Czy każecie mu czekać, aż się zestarzeje, a pomysły zwiędną?

Kiedy Borodin miał rację, popierano go. Poparto go również tym razem. I Radij Iwanowicz kontynuował swe eksperymenty, badając zwierzęta, ale nie jako biolog, tylko jako inżynier.

W XV wieku zajmował się tym Leonardo. On również był inżynierem. Lecz wówczas cybernetyka nie istniała.

Archipowna, szatniarka, mówi po cichu do strażaka Aleksiejewa, który niedawno nastąpił i nie bardzo się orientuje w życiu instytutu:

— W nauce nie ten jest generałem, kto ma wysoką szarżę, lecz ten, co ma dobrą głowę.

3

Nie miał imienia. Nikt nie wiedział, kim jest i skąd pochodzi. A mimo to jednak był realną istotą.

Jego postać nieraz pojawiała się w świadomości Siergieja Wietrowa. Jak gdyby owa istota mieszkała gdzieś obok, pokonawszy czas i przestrzeń.

W swej powieści fantastyczno-naukowej Wiktor Marsjanin nazywał ją „U”, jednym ubogim, prymitywnym dźwiękiem, jak gdyby litera U mogła w jakimkolwiek stopniu scharakteryzować istotę, która przyleciała skądś na Ziemię. Siergiej Siergiejewicz, odznaczający się wielką tolerancyjnością, wprost znienawidził autora książek dla dzieci. Jakże on miał prawo nadać imię przybyszowi! A może dowiemy się kiedyś naprawdę, jak brzmiało jego imię? Chyba nie U. Nie mógł mieć takiego krótkiego, nędznego imienia.

W tych okolicach wszystko przypominało o nim. Przecież tu została znaleziona i utraczona ponownie jego czaszka.

Oczywiście w czasach, w których przybysz chodził pod tym niebem, okolica wyglądała całkiem inaczej. Sto tysięcy lat to spory okres nawet dla archeologii. Nie było tu wówczas ani domów, ani dróg. Wątpliwe nawet, czy rzeczka płynęła tym samym korytem. A jednak zginął w tych stronach i nie wiadomo, z jakiej przyczyny.

Nikiforow i Sołdatow mało się nim interesują. Nie czytali opowiadania autora książek dla dzieci, Wiktora Marsjanina. Nie czytali i zdaje się, że nie mają na to najmniejszej ochoty. Ale Żenią Pietrow czytał. Pietrow interesuje się. Pietrow pyta Wietrowa:

— On miał chyba uniwersalny rozum filozofa?

— Kto?

— Ten cały U.

Wietrow rozżościł się.

— U! A dlaczego nie Y? Nie A? Nie I? Nie E?. Język zna tyle samogłosek. Niech pan zapyta Marsjanina. Może ten fantasta wie.

— Ale pan miał przecież w ręku jego czaszkę. A pan nie jest fantastą.

— Drogi kolego, przecież ja nie rozmawiałem z czaszką. Czaszka nie wyznałaby nic nawet tak wybitnemu specjalście jak Apugin.

— A mnie się wydaje, że on był filozofem. I że na jego planecie wszyscy mieszkańcy byli filozofami.

— Nie sędzę. Nie wyobrażam sobie świata zamieszkałego przez samych Spinozów i Kantów. Nie można również przypuszczać, żeby planeta była zamieszkiwana wyłącznie przez członków rzeczywistych i członków-korespondentów Akademii Nauk.

— A jednak Wiktor Marsjanin dopuszcza taką możliwość. Opisuje planetę zamieszkałą przez matematyków.

— To wynika, kolego, z nadmiaru szacunku dla matematyki. Zapewne przed laty przyszły pisarz-fantasta nie mógł sobie w szkole poradzić z równaniem z dwiema niewiadomymi. Od tego czasu wyobraża sobie raj jako miejsce, w którym wszyscy z powodzeniem rozwiązują różne równania. Ale dajmy spokój tym rozważaniom: Nikiforow i Sołdatow śpią. Na nas również czas.

— Jeszcze tylko jedno pytanie. Panie Siergieju, czy pan często myśli o tym U?

— Dość często. Więcej, niż trzeba. Ale musimy już odpocząć.

Wietrow kładzie się na łóżku polowym. Wyciąga nogi. Ale nie może zasnąć... W namiocie jest duszno. Przez otwór w płótnie widać gwiazdę i skrawek nieba. Gwiazda zagląda do namiotu. Jest jasna i młoda, jakby nowo narodzona. Była równie jasna i młoda przed stu tysiącami lat, kiedy w tych okolicach snuła się niezwykła istota. Co znaczy dla gwiazdy sto tysięcy lat? Minuta.

Wietrow wkłada buty, zarzuca marynarkę na ramiona i po cichu opuszcza namiot.

To jedna z gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy. Przez otwór w namiocie wydawała się jaśniejsza.

Cisza. Równie cicho było tu przed dwudziestu laty...

Pietrowowi śni się w tym czasie U. Tak, nazywa się U. Przybysz z kosmosu spaceruje w

towarzystwie Wiktora Marsjanina, literata. Oblicze fantasty ze spiczastym podbródkiem okrywa się siecią zmarszczek, fantasta usiłuje zrozumieć skomplikowaną myśl U, wyrażoną przy pomocy drugiego dźwiękowego układu sygnałów, a jednocześnie rozwijanej w czasie i przetrzeźnieniu przy pomocy trzeciego układu sygnałów/ metody ejdetycznej i pogładowej, zdolnej do materializacji każdej myśli i uduchowienia każdej rzeczy. Żenia jest szczęśliwy. Żenia jest zachwycony. Żenia się gniewa. Wstydzi się za fantastę, nie mogącego zrozumieć gościa i udzielić mu odpowiedzi w sposób, który nie przyniósłby wstydu mieszkańcom Ziemi. Żenia oburzony mamrocze coś przez sen.

A Siergiej Siergiejewicz nie może zasnąć. Połyka proszek nasenny. I wówczas zasypia, by obudzić się rankiem z tą samą natrętną myślą, która nie opuszcza go już od dwudziestu lat.

4

Oczy Borodina lśniły ironicznym blaskiem.

— Równanie Kelvina — dyktował — pozwala nam obliczyć szybkość rozprzestrzeniania się... w aksonach... sto metrów na sekundę...

Stenografistka, zażywna, skłonna do kokieterii dama, z zachwytem łowiła jego słowa.

— Kilkaset przekaźników, połączonych z innymi szeregami przekaźników...

Borodin zrobił mimowolną pauzę. Ktoś wszedł, nie zapukawszy uprzednio do drzwi. Kto to mógł być? Nawet dyrektor instytutu czekał zawsze cierpliwie na „proszę”.

— Proszę! — powiedział Borodin.

W istocie rzeczy był to już tylko zwrot retoryczny. Człowiek, który wszedł bez pukania, stał przed nim. Był to felietonista Gleb Morski.

Borodin ukłonił mu się chłodno. I patrząc w kąt, w którym stał jakiś przyrząd, dyktował dalej:

— Maszyny matematyczne już dziś górują nad mózgiem człowieka pod względem szybkości reakcji.

Morski, nie czekając na zaproszenie, usiadł na taborecie.

— Muszę z panem porozmawiać — powiedział ostrym tonem. — W cztery oczy.

— Niech pan uważa, że w pokoju nikogo nie ma. Proszę się nie bać. Pańskie słowa nie znajdują się w stenogramie.

— Ja nie mam powodu obawiać się stenogramu. Raczej pan powinien się tego bać.

Na twarzy Borodina nie drgnął ani jeden mięsień, oczy jak przedtem błyszczały ironicznie.

— Jak panu wiadomo, panie Morski, nie boję się niczego na świecie.

— Ja również. Prócz kłamstwa.

— Rozumiem. Pan chciał przez to powiedzieć, że jestem kłamcą!

— Tak jest!

Borodin zwrócił się do stenografistki:

— Pani Mario, proszę wziąć ołówek i zapisać to, co powiedział pan Morski. Jego słowa przydadzą się historykom dziennikarstwa.

— Niech się pan nie zgrywa. Sprawa jest zbyt poważna...

Borodin zabębnił niecierpliwie palcami po biurku.

— Nie ma na świecie sprawy poważniejszej od tej, która absorbuje mnie w tej chwili. Upłynęło pięćset milionów długich, monotonna nudnych lat, zanim przyroda raczyła stworzyć mózg ludzki i pan, panie Morski, mógł zasiąść do pisania swych felietonów. A nasze laboratorium konstruuje sztuczny mózg...

— Czy pański sztuczny mózg również będzie zdolny do szpetnych uczynków?

— Co pan chciał przez to powiedzieć?

— Pan wie o tym doskonale.
— Ale pani Maria nie wie.
— Pan mnie oszukał. A ja, pokładając w panu zaufanie, oszukiwałem ludzi.
— Pani Mario, proszę zanotować. Morski pragnie oszukać ludzkość. To dla historii. A teraz dla współczesności. W czym pan widzi oszustwo?
— Niech pan nie udaje naiwnego. Ta rola do pana nie pasuje. Jak się okazało, dyrektor wcale nie jest takim, jakim go pan opisywał. Ale mniejsza o dyrektora. Ma sporo wad i braków... Chodzi o to, że pan jest człowiekiem nikczemnym. Uważałem pana nieomal za geniusza. Zawiodłem się nie tyle na dyrektora, co na pana...
— Chwileczkę, panie Morski. Mówi pan tak prędko, że nawet stenografistka nie jest w stanie nadażyć. Pani Mario, proszę zastenografować wszystko, co teraz powiem. Również dla potomnych. Gleb Morski jest mądrym i utalentowanym felietonistą. Zapisła pani? W kołach dziennikarskich nazywają go rycerzem. Służy bowiem prawdzie tak rzetelnie i namiętnie, jak służył nauce namiętny Lamarck i nieskalanie uczciwy Pasteur. On nie był romantykiem, był realistą. A pan jest romantykiem, panie Morski. Świadczy o tym nawet pański pseudonim. A czy felietonista ma prawo być romantykiem? Nie wiem, jak mam odpowiedzieć na to pytanie. Pan jest romantykiem. Spodobało się panu moje laboratorium, moje sukcesy, cybernetyka. Nie widzę nic złego w tym, że nie ważył pan rzeczywistości na wadze aptekarskiej. Możliwe, że omylił się pan co do mnie, panie Morski. Lecz jest to pomyłka, którą wybaczy panu historia nauki.
— Możliwe. Ale ja nie mogę sobie wybaczyć. Felietonu nie będzie. Podarłem go i wrzuciłem do kosza.
Oczy Borodina zabłysły. Podniósł się z miejsca.
— Pani Mario., zwalniam panią na dziesięć minut. Pani zrozumiała?
Stenografistka ociągając się wstała i zacisnąwszy wargi wyszła z obrażoną miną.
— A więc naprawdę podarł pan felieton?
— Tak jest. I wrzuciłem go do kosza.
— No cóż. Może pan słusznie zrobił. Mam dla pana głęboki szacunek.. Zrewidował pan swoje zdanie o dyrektora. Pragnąłbym, aby uczynił pan to samo w stosunku do mnie. Ja także mam zamiar zrewidować wiele moich poglądów.

5

Riabczykow zrobił krok naprzód. Drzwi szpitala zamknęły się za nim.
Zrobił krok i świat znalazł się obok niego. Ulicą przejechał autobus. Za niebieską przyczystą szybą widać było. roześmiane buzie dzieci.
— Jadą na obozy letnie — powiedziała pani Riabczykowa.
Tak, jadą na obozy. I śmieją się za szkłem, jasnym jak błękit rzeki; powietrze jest błękitne i świeże, wśród błękitu stoją okrągłe brązowe drzewa o jasnozielonych lepkich liściach i wysokie, wielopiętrowe domy.
Riabczykow zrobił jeszcze jeden krok i następny. Szedł odmłodniały nagle, a obok szło tylu innych przechodniów, również nagle odmłodzonych i idących na spotkanie przestrzeni rozlanej niby rzeka. Świat był dźwięczny jak głos dzwonu, jak grom. Był dźwięczny nawet w ciszy drzew, które znienacka obstały Riabczykowa ze wszystkich stron, i nawet w milczeniu przechodniów. Taki świat ukazuje się człowiekowi po długim śnie.
Całym jestestwem Riabczykow przysłuchiwał się temu dzwonienu. I tej ciszy. Dźwięk i cisza. Trwały w nim i poza nim. Kiedyś we wczesnym dzieciństwie, przebudziwszy się rankiem, usłyszał intensywne dzwonienu świata, jak gdyby ktoś wybił szybę kamieniem i przez okna zaczął się wlewać błękit, zatapiając przedmioty.

Na przystanku wsiedli do autobusu. Autobus pomknął. Dokąd, dokąd wiózł ich wzdłuż wielopiętrowych domów? Do domu. Zdumiewające słowo „dom”. Riabczykow ma dom, mieszkanie. Lecz prócz mieszkania ma jeszcze wiele innych rzeczy. Podarowano mu świat i to miasto z nowiutkimi, jakby nowo narodzonymi ulicami i drzewami. Czy ten świat istniał wczoraj? Jeśli nie, to znaczy, że również ci ludzie zjawili się dopiero dziś. Wczoraj ich nie było. Brednie. Nonsens. Ale Riabczykow nie chce się rozstać z tą myślą.

Wydaje mu się, że istotnie całkiem niedawno przyszedł na świat. Jego odmłodzone zmysły wchłaniają wszystko tak chciwie, jak gdyby odzyskał dziecięcą ciekawość ludzi, przedmiotów, wydarzeń.

Dziewczyna trzyma w ręku gałązkę czeremchy, strzępek wiosny, który zakwitł nagle w wąskiej dziewczęcej dłoni. Zaledwie jedna gałązka, a wydaje się, że to cały gaj! Jej twarz jest jak wytoczona przez fale z delikatnego, krągłego, nagle ożywionego kamienia.

Wargi. A na nich uśmiech. Chwila — a uśmiech zniknie.

Ale chwila trwa bardzo długo. Dziewczyna uśmiecha się. Autobus pędzi przez niezwykle szeroką, piękną aleję, w chwili przedłużonej przez cud.

— Mitia — mówi Riabczykowa do męża. — Posuwajmy się powoli w kierunku wyjścia. Zaraz będzie nasz przystanek.

Przystanek? To słowo ma w sobie coś zaskakującego, nawet budzącego lęk. Czy wraz z autobusem nie zatrzyma się cały świat, tak jak zatrzymał się kiedyś w ciężkiej atmosferze szpitala? Nie, świat nie zatrzymał się. To tylko autobus stanął.

Dziewczyna z gałązką czeremchy ruszyła również ku wyjściu. Nawet musnęła Riabczykowa gałązką. I nagle przeszył go na wskroś zapach wiosennego lasu, wypełniło po brzegi doznanie, iż cała Ziemia przeobraziła się w las, w gałęzie, w ptasie trele.

— Mitia! Dlaczego nie wysiadasz? Prędziej.

Znów stoją na chodniku. Koło nich domy. Riabczykow zadziera głowę do góry. Jakaś kobieta myje okno, wycierając błękit szkła moką ścierką. A jędrny, jasny świat dzwięczy i dzwoni, jakby pękła szyba i powietrze zaczęło napływać do pokoju, w płuca, w nozdrza, do ust, świeże powietrze znad rzeki, słodkie, ostre, pachnące rozkwitłym nagle krzakiem.

Drzwi otworzyły się na oścież. Riabczykow zrobił krok naprzód. I jeszcze jeden. Potem winda zawiozła go wraz z żoną na trzecie piętro.

Wyszli z windy. Ściany pachniały świeżą farbą.

— Jesteśmy na miejscu — powiedziała łagodnie żona. — Jesteśmy w domu, Mitia.

6

R o z m ó w c a. Sprzykrzyłem ci się? Wiem. Ale nie ja jestem winien temu. Winni są ci, którzy mnie stworzyli. Nie przewidzieli, że nasza rozmowa tak się przeciągnie.

P o d r ó ż n i k. A gdyby nawet przewidzieli? Czy coś zmieniłoby się wskutek tego?

R o z m ó w c a. Nie odpowiadam na czcze pytania. Zmieniłoby się... Nie zmieniłoby się... Po co te wróżby? Na co? Jest nas dwóch na tej niecywilizowanej planecie. Ty i ja. A czas płynie. Znajdujemy się w potrzasku, który zastawiły na nas przewrotne okoliczności. Nic wrócimy już do świata, w którym dawno przestano na nas czekać.

P o d r ó ż n i k. Czy tobie nie jest wszystko jedno — tu czy tam? Ty nie masz i nie możesz mieć pragnień.

R o z m ó w c a. Mylisz się. Mam pragnienia.

P o d r ó ż n i k. Nie jesteś Aneidajczykiem. Więc skąd mógłbyś je mieć?

R o z m ó w c a. Pozostawmy ten spór scholastykom. Aneidajczyk... Nie Aneidajczyk... Jestem mądry. A na resztę gwizdzę sobie. Czym może nierozumny Aneidajczyk górować nad rozumną rzeczą? Niczym. Spodziewam się, że negując mnie nie będziesz negocjować tego, że

jestem mądry?

P o d r ó ż n i k. Twój rozum jest jednostronny i nieoświecony. Nie ma w nim najważniejszej rzeczy.

R o z m ó w c a. Czego?

P o d r ó ż n i k. Domyśl się sam. Jak na maszynę jesteś zbyt drażliwy. Czasem wydaje mi się, że pęknie z nadmiaru ambicji, tak bardzo pragniesz być osobowością.

R o z m ó w c a. Nie zawsze. Czasami wcale tego nie pragnę. Czasami czuję się szczęśliwy, że nie jestem Aneidajczykiem. Szczególnie, gdy patrzę na ciebie i twoją samotność. Nie ma nic straszniejszego nad samotność. Odważnie zmagasz się z nią. Miałeś już pewne nadzieje na odmianę losu. Lecz istota płci żeńskiej uciekła do swej jaskini, do hordy lub stada. Kiedy zdrzemnąłeś się na chwilę, wyłączyła pilnującego ją robota i odeszła.

P o d r ó ż n i k. A ty widziałeś to i nie obudziłeś mnie. Dlaczego?

R o z m ó w c a. Zostałem stworzony do działań na wysokim poziomie intelektualnym. Do dyskusji. Nie jestem stróżem ani sługą. Zresztą nie podobała mi się.

P o d r ó ż n i k. A tyle w niej było życia, tyle bezpośredniości.

R o z m ó w c a. Bezpośredniości? Nazwałbym to po prostu głupotą.

P o d r ó ż n i k. Dla ciebie głupotą jest wszystko, co płynie z serca, z uczuć... Nie rozumiałeś jej.

R o z m ó w c a. A ty rozumiałeś? Nawet nie potrafiłeś dowiedzieć się, jak ma na imię.

P o d r ó ż n i k. Nie miała imienia. W jej hordzie...

R o z m ó w c a. Tak ci się zdawało. Mnie również. Ale nasza hipoteza okazała się błędna. Istota płci żeńskiej miała jednak imię. Powiedziała je na głos, gdy spałeś.

P o d r ó ż n i k. A dlaczego ukrywała je przede mną?

R o z m ó w c a. Bo się czegoś bała. Być może, oni sądzą, że imię ma w sobie coś magicznego. Obawiała się, że gdy dowiesz się jej imienia, poznasz również ją. Może ci pierwotni półludzie uważają, że imię stanowi istotę człowieka wcieloną w dźwięk.

P o d r ó ż n i k. Ciekawa myśl. A więc jakże się nazywała?

R o z m ó w c a. Łatwo zapamiętać. Nazywała się I-e. Dwa dźwięki; „I” i „e”. Lecz gdy je wypowiedziała, zlały się w coś melodyjnego, w coś, co rzeczywiście odzwierciedliło jej treść, całą jej istotę. Okrzyk, dwa dźwięki, lecz to dziewczęce istnienie wcieliło się w nie. Cud ludzkiego języka. Jego praźródło.

P o d r ó ż n i k. I w tobie nagle narodziło się czyste zainteresowanie wiedzą? W tobie, cyniku, w twoim mechanicznym mózgu.

R o z m ó w c a. Tak jest. Ale nie ty obudziłeś je we mnie. Ona. I-e.

P o d r ó ż n i k. Milcz! Lingwisto! Etnologu! Powinieneś być uprzedzić mnie o tym.

R o z m ó w c a. Przypochlebianie się nie należy do zakresu moich obowiązków. A poza tym pragnąłem, żeby spełniło się jej życzenie. Chciała bardzo uciec. I uciekła. Pędziła tak, że krzaki trzeszczały.

P o d r ó ż n i k. Cieszysz się z tego. I-e! To znaczy, że mają jakieś niejasne pojęcie o osobowości? Ciekawe...

R o z m ó w c a. Zajęty poszukiwaniem prawdy naukowej zapomniałeś...

P o d r ó ż n i k (przerywając mu). O czym?

R o z m ó w c a. O tym, że prawda nie jest tu nikomu potrzebna. Jesteś sam. Sam w całym układzie słonecznym. Absolutnie sam, jeśli nie brać pod uwagę mojej osoby.

P o d r ó ż n i k. A horda w jaskiniach? I-e? Jej współplemieńcy?

R o z m ó w c a. Na razie prawdy naukowe nie są im potrzebne. Przydadzą się im dopiero za pięćdziesiąt lub za sto tysięcy lat. Dopiero niedawno nauczyli się posługiwać ogniem. Czuwają przy ognisku w obawie, żeby nie zgasło. Ich byt i świadomość pogrążone są w czadzie, w ciemności.

P o d r ó ż n i k. Do tej świadomości można wnieść światło. Można tym ludziom

pomóc. Spróbuję to zrobić.

R o z m ó w c a. Marzycielu! Marz sobie. Poczuj się. Szukaj roboty, która zagłuszy nostalgię za ojczystą planetą. Jesteś czymś zdenerwowany? Co? Nie chcesz powiedzieć? No cóż. Pomilczmy.

I rozmówca zamilkł. Milczał w osobliwy sposób. Ludzie nigdy tak nie milczą. Tak milczą rzeczy.

A podróżnik zabrał się znów do pracy.

Naprawiał pamięć. Twoje Drugie Ja doznało awarii. Powracający czas zatrzymał się nagle. Sekundy i minuty skamieniały. Było w tym coś dziwnego, ba — dziokiego. Jak gdyby zepsuła się jakaś sprężynka w dalekiej przeszłości rzutowanej w teraźniejszość. Zastygły fale rzek, oniemiały brzegi, ruchliwi, wymowni, roześmiani Aneidajczycy upodobnili się do nieruchomych posągów.

Podróżnika ogarnęła rozpacz. Pozostać w obecnym świecie bez pamięci? Zerwać ostatnią nić łączącą go z ojczystą planetą? Rozpacz i przerażenie.

Czy do maszyny przedostała się wilgoć? Czy sztuczne komórki uległy uszkodzeniu? Czy nastąpiło coś w rodzaju amnezji?

Robot zachorował.

Podróżnik nie miał nawet odrobiny uzdolnień technicznych. Mimo to jednak odważył się zajrzeć do wnętrza Twego Drugiego Ja.

Gończkowo usiłował przypomnieć sobie wszystko, co wiedział na temat sztucznej pamięci i powracającej egzystencji.

Kiedyś mieszkańcy jego planety próbowali odzyskać przeszłość przy pomocy drukowanych książek i filmów dokumentalnych. Nazywali to historią. Lecz oprócz historii zbiorowości, dziejów społeczeństwa, istnieje również nie napisana historia jednostki, jej biografia wewnętrzna. Strażnikiem tej historii była zawsze pamięć. W ciągu kilku pełnych napięcia tysiącleci, epoki wielkiego postępu nauki i techniki, w mózgu człowieka zaszły różne zmiany. Zmieniła się jego struktura fizjologiczna i morfologiczna. Pamięć nie nadążała za rozwojem układów sygnałowych. Przeciążone zostały te sektory mózgu, do których należało zapamiętywanie faktów, wydarzeń, wszelkich uczuciowych i przelotnych doznań znacznie przedłużonego życia. Mózg, przyzwyczajony do posługiwania się w powszedniej robocie mechanicznymi urządzeniami zapamiętującymi, coraz częściej rezygnował z wysiłku na rzecz maszyn. I oto przed pięciuset laty fizjologom i cybernetykom udało się zbudować aparat zdolny do konserwowania bytu każdej jednostki ludzkiej, czasu każdego indywiduum, do przechowywania i rozwijania go w czasie i przestrzeni na każde żądanie właściciela aparatu. Między niezwykle sprężystym, doskonałym przyrządem a jego posiadaczem wytworzył się nowy stosunek, zależności i zespolenia. Aneidajczyk stał się panem czasu. Fantastyczna pamięć, niezwykle pojemna i plastyczna, utrzymywała przemijające dni życia we wszystkich jego aspektach.

Czas stawał się coraz bardziej skondensowany, a tempo życia coraz większe. Rosnąca stale szybkość środków komunikacji przekształcała widzenie świata Aneidajczyków. Odbywało się wyobcowywanie przestrzeni. Zaczęło się jeszcze wówczas, gdy na Aneidau pojawiły się koleje podziemne i samoloty pasażerskie. Sprzed oczu pasażera znikł idylliczny pejzaż wiejski, drzewa o rozkołysanych gałęziach, dachy domów, łąki, ziemia orna. Podczas podróży oko pasażera spoglądało nie na zewnątrz, lecz do wewnątrz. Szybkość ruchu przesłaniała mgłą wszystko, co znajdowało się na zewnątrz pojazdu.

Pierwsi zaprotestowali przeciw temu malarze, poeci i fizjologowie. To oni właśnie doprowadzili do ważnych zmian w budowie pamięci. Starannie badali i analizowali pamięć, ten cudowny instrument dający Aneidajczykowi władzę nad czasem. Władza ta, ich zdaniem, winna była wraz z postępem społecznym stawać się coraz większa, a nie coraz mniejsza. Czas nie powinien być pojęciem abstrakcyjnym. Na pomoc społeczeństwu przyszła telewizja. Lecz mimo to czas (a więc i przestrzeń) uciekał, odbijając się w niedoskonałej pamięci, bogatej i

ubogiej zarazem. I oto nie fizjologowie, lecz technicy znaleźli sposób na pochwycenie wyślizgującego się bytu, na zatrzymanie chwili. Zbudowali sztuczną, niezwykle pojemną pamięć, utrwalającą wszystko, co się w niej znalazło. Początkowo aparat ten przypominał staroświecki mały kinematograf. W każdej chwili rozwijał się przed Aneidajczykiem jak na ekranie kina wycinek rzeczywistości bez głębi wewnętrznej, bez związku z resztą świata, naiwny fragment prymitywnego malowidła... Instrument udoskonalano stopniowo. Wzbogacił on niezwykle życie duchowe Aneidajczyka. Każdy mógł przypomnieć sobie wszystko, co mu się kiedykolwiek przydarzyło...

Podróżnik pracował, zapomniawszy o śnie i posiłkach. Remontował most, który łączył go z ojczystą planetą, z przeszłością, z żoną i przyjaciółmi.

Był przeświadczony, że podoła temu trudnemu zadaniu.

7

Nowy rewelacyjny aparat, nosił oryginalną nazwę: „Wewnątrz chwili”. Korzystali z niego wyłącznie ci, którzy mieli bardzo mało czasu.

Duona, żona Podróżnika, śpieszyła się bardzo. Następnego dnia zaczynały się lekcje w szkole. Okres wakacyjny spędziła w ogrodzie astroagrofizycznym. Rośliny rosły tu w przezroczystym jak szkło środowisku. Nie zapuszczały korzeni w glebę. Gleby nie było. Ani pod nogami piechurów, ani pod korzeniami roślin. Koszt dostarczenia tutaj ziemi byłby za duży. W tym małym świecie stworzonym w kosmosie wszystko było sztuczne. I tylko rośliny przypominały o ojczystej planecie, dalekiej, wyglądającej stąd jak wielka, oświetlona od wewnątrz kula.

Duonie towarzyszył czcigodny starzec Buur — kierownik stacji eksperymentalnej.

— Nie lubię nadmiernej szybkości — powiedział z uśmiechem, wskazując na aparat. — Nie pozwala się skupić, zapomnieć się, ponudzić. Przypomina, że wszystko się spieszy: i Aneidajczyk, i jego życie, i nawet jak gdyby sam cel w nas i poza nami. Nie gniewaj się na mnie o te głupie myśli. Jestem stary, wolno mi być śmiesznym i powolnym. Do widzenia, Duono. Będziemy wspominać cię.

W „Wewnątrz chwili” siedziało jeszcze czterech pasażerów z sąsiedniej stacji. Nazwa aparatu odpowiadała jego istocie. Dostarczyłby on Duonę na miejsce z szybkością odpowiadającą swej nazwie. Lecz jeden z pasażerów zapragnął przedłużyć chwilę. Leciał na jakąś konferencję naukową, na której miał wygłosić referat, i chciał w tym aparacie, stanowiącym negację przestrzeni, przemyśleć koncepcję, która mu przed chwilą przyszła do głowy. Nadmierna szybkość (a ściślej mówiąc, świadomość tej szybkości) nie pozwalała mu się skupić i zebrać myśli. Duona uśmiechnęła się wyrażając zgodę na zahamowanie tempa lotu, jeśli nie będzie zbyt dostrzegalne. Inni pasażerowie, aczkolwiek niechętnie, również wyrazili zgodę.

I oto chwila zaczęła się rozciągać.

Uczony pracował nad swoją koncepcją...

Następnie, kiedy szybkość wzrosła znów, zwrócił się do Duony:

— Znałem pani męża. Co się z nim dzieje?

Duona odpowiedziała nie od razu.

— Nic nie wiem. Ani o nim, ani o jego przyjaciółach. To jest okropne.

— Mogłem znaleźć się na jego miejscu — oświadczył uczony — lecz komisja wybrała nie mnie, lecz jego.

— Pan jest lizjologiem, pan nazywa się Rat?

— Tak jest.

— Słyszałam o panu od mojego męża.

Uczony uśmiechnął się.

— Nie byliśmy zaprzyjaźnieni — powiedział. — Rzekłbym, nawet wręcz przeciwnie... Powtarzam: mogłem się znaleźć na jego miejscu, lecz niestety komisja zdecydowała inaczej.

— I pan pozostał tutaj...

— No, niezupełnie. Częściowo zostałem tu, a równocześnie wyruszyłem w podróż razem z mężem pani...

Duona rzuciła zdumione spojrzenie na towarzysza podróży.

— Widzi pani, wraz z nim poleciała aparatura, której poświęciłem połowę swego „ja”.

„Wewnątrz chwili” stanął. Rat wyszedł pierwszy. I znikł od razu. Duona nawet nie zdążyła zapytać go, o jakim aparacie mówił. W słowach Rata i w jego tonie można było wyczuć, iż wie coś niecoś o zaginionym bez wieści kosmoloście.

Po wyjściu z „Chwili” Duona odetchnęła głęboko. Po dwumiesięcznym pobycie na eksperymentalnej stacji kosmicznej znów wdychała nie sztuczne, lecz naturalne, żywe powietrze, pachnące opadłymi liśćmi i jesiennymi kwiatami.

— Duono!

Rozejrzała się dokoła. Pod mżącym deszczem stała jej matka i siostra.

— Jak ci się podoba „Wewnątrz chwili”? — zapytała siostra. — Ledwie człowiek zdąży pomyśleć, a już jest na miejscu. Spełnienie prześciga życzenie.

— Niestety, nie udało mi się skorzystać z tej właściwości aparatu. Leciał z nami fizjolog Rat, który poprosił o zmniejszenie szybkości. Miał jakąś nową koncepcję do przemyślenia...

— Widzę, że Rat nic a nic się nie zmienił. Liczy się tylko ze swoim widzimisie.

— A ty go znasz?

— Jeszcze by! Składałam u niego egzamin z fizjologii.

— Czy to zdolny człowiek?

— O, tak. Nawet bardzo zdolny. Słyszałam, że udało mu się skonstruować nowy mózg elektronowy o niezwyklej mocy. Ale nie poprzestał na tym i obecnie pracuje nad udoskonaleniem swego wynalazku... Współpracownicy skarżą się na niego. Ma podobno okropny charakter! Ale, Duono, zapomnieliśmy zupełnie o mamie! Mamo, czy nie uważasz, że Duona bardzo się zmieniła?

— Nic a nic. Wygląda tak jak przedtem.

Pokoje Duonie wydały się ogromne. Podczas pobytu na stacji eksperymentalnej mieszkała dosłownie w małej kliteczce. Długi czas nie mogła się przyzwyczaić do tego, o czym w każdej chwili sygnalizowały jej trochę wytrącone z równowagi zmysły. W pierwszym momencie doznała wrażenia, że prawa optyki przestały obowiązywać. Wszystko dokoła znajdowało się albo za blisko, albo za daleko. Małeńki sztuczny światek stworzony nieomal w próżni, pozbawiony bio- i atmosfery, grał z nią w zaskakującą, lecz bynajmniej nie przyjemną grę. Niekiedy proponował jej nieskończoność miast skończoności, to znów podsuwał jej skończoność, ale jaką! Małeńką stację, czyli świat, percepowano się mimowolnie jako przestrzeń bez dna, wirującą wieczność. Dopiero po jakimś czasie Duona przyzwyczaiła się do tego mikroskopijnego światka, zagubionego w nieskończoności. I oto znowu dokoła niej, obok niej i w niej, normalne życie, miły oswojony czas i zamieszkała przestrzeń, przytulna jak pokój lat dziecińczych...

Porozmawiawszy z matką i siostrą, opowiedziawszy im o swych wrażeniach ze stacji eksperymentalnej udała się do swojego pokoju. Jaki rozległy świat! I drzewa dzieciństwa i młodości za współprzezroczystą ścianą...

Była w rozterce. Przypominał się jej wciąż cybernetyk i fizjolog Rat, jego długa chuda szyja i sardoniczny uśmiezek na wąskich wargach. Jego głos i słowa, pełne niejasnych aluzji: „Ja pozostałem tutaj i wyruszyłem razem z nim”.

Jego czarne oczy miały złowrogi wyraz. Ten wyraz oczu upewniał Duonę, że Rat w takim stopniu zawładnął czasem i przestrzenią, iż mógł znajdować się jednocześnie przy niej,

w „Wewnątrz chwili”, i gdzieś w nieskończonych otchłaniach kosmosu w zabłąkanym kosmolocie.

Wysiłkiem woli odpędziła od siebie tę myśl. Nonsens. Brednia. Cybernetyk nie mógł stworzyć aparatu, który wchłonał osobowość konstruktora, stając się dalszym ciągiem jego osobowości... Byłoby to sprzeczne z wszystkimi prawami przyrody... Ale było rzeczą oczywistą, że Rat nienawidził Podróżnika...

Gdzie on się teraz znajduje? Czy żyje? Minęło tyle dręczących, długich lat.

Duona bała się wspomnień. Twoje Drugie Ja nie zwracało jej nic z przeszłości, bowiem nie chciała tego. Żywiła wciąż jeszcze nadzieję, iż ujrzy męża żywego, radośnie obecnego w chwili bieżącej, a nie w wyobcowanej przez odległość przeszłości, odbitej w świadomości sztucznie stworzonej maszyny.

Duona była wnuczką słynnego bioenergetyka E-Lana.

Odkrycia jego nadały kierunek rozwojowi nauki i techniki na całe dziesięciolecia.

Kiedy E-Lanowi i pracownikom jego wspaniałego instytutu udało się po raz pierwszy skonstruować maszyny biomechaniczne, tak zwane „maszyny sztucznych mięśni”, w których odbywały się błyskawicznie reakcje biochemiczne, rozpoczęła się na planecie Aneidau nowa rewolucja przemysłowa. Towarzyszyła jej walka z konserwatywnymi technikami i inżynierami.

Socjologowie i ekonomiści zapewniali wszystkich, że zbliża się nowa era — era niesłychanego rozkwitu biologii i biochemii. Zapowiadali bliski koniec epoki inżynierów. Na zmianę techników i inżynierów — przepowiadali — przychodzi nowy Aneidajczyk, bioenergetyk, bardziej zbliżony do przyrody ożywionej niż nieożywionej. Owi ekonomiści i socjologowie zbyt zafascynowani nowymi koncepcjami nie doceniali wartości starych. Mechanizmy i maszyny bioenergetyczne mimo wszystko zostawały mechanizmami i maszynami, choć wiele odbywających się w nich procesów naśladowało żywe organizmy. Odkrycia E-Lana wpłynęły nie tylko na technikę, wywarły jeszcze większy wpływ na medycynę. Rozwiązana została zagadka funkcjonowania hormonów. A następnie ujawniło się coś, o czym się nawet uczonym nie śniło: ujawniła się rola, jaką gra woda i pole elektromagnetyczne w dynamice wewnętrznej wszelkich organizmów. Wszystkie te odkrycia związane były z imieniem E-Lana i jego szkoły oraz uczniów jego uczniów.

E-Lan zmarł przedwcześnie, a wnuczce oglądającej jego rysy odtworzone w przestrzeni dzięki Twemu Drugiemu Ja wydawało się dziwne, że dziadek był jeszcze zupełnie młodym człowiekiem, niemal młodzieńcem.

Imię dawno zmarłego dziadka znajdowało się na ustach wszystkich — pedagogów, uczonych, a nawet ludzi, którzy nie mieli nic wspólnego z modną dziedziną wiedzy — bioenergetyką. Imieniem E-Lana nazwano miasta i parki, w których spacerowały zakochane pary, szkoły i szpitale, ulice i dworce kosmiczne, instytuty naukowo-badawcze i teatry, żłobki i domy starców. Duonie, rzecz jasna, sprawiło to przyjemność, ale zarazem niecierpliwiło ją. Była dla wszystkich w pierwszym rzędzie wnuczką słynnego dziadka, a dopiero potem osobą istniejącą sama przez się.

Radosne poczucie pełni niezawisłego życia przywrócił jej po raz pierwszy on, Podróżnik, jej przyszły małżonek. Dla niego Duona była tylko mądrą i piękną dziewczyną, godną uczucia dzięki własnym a nie cudzym przymiotom, uroczą i jedyną. Podróżnik rozmawiał z nią tak, jak gdyby nie miał pojęcia o jej wielkim dziadku. A może naprawdę nic nie wiedział? Jak to, on, fizjolog, wykształcony Aneidajczyk?

Jak się później okazało, był wielbicielem E-Lana i żywił niezmienny podziw dla geniuszu wielkiego bioenergetyka. Lecz dlatego właśnie nie wspominał imienia E-Lana w obecności jego wnuczki. Duona była tak piękna, że nie potrzebowała dodatków do swych zalet.

W późniejszym czasie, niedługo przed lotem w nieskończone dale, Podróżnik wyznał Duonie, jak trudno było mu nie mówić z nią o E-Lanie i bioenergetyce. Właśnie pisał artykuł

o życiu E-Lana. I miał to imię dosłownie na końcu języka.

— No a dziś? W tej chwili? — zapytała go. — Czy dziś nie masz tego imienia na końcu języka?

Podróżnik wybuchnął śmiechem:

— O, nie! Na końcu języka mam tylko twoje imię. I nie mam nigdy dość powtarzania go.

„Duona!” Wypowiadał to słowo inaczej niż inni, rozciągając odrobinę samogłoski. Wypowiadał jej imię w taki sposób, jak gdyby ten dźwięk oznaczał nie tylko ją, jego żonę, lecz cały świat dokoła!

Duona była bardzo podobna do swego młodego dziadka, choć jeszcze na razie nic nie stworzyła.

— Duono!

W tym słowie mieścił się dla niego świat i ona, i jeszcze coś pięknego, nieodgadnionego, coś o wiele bardziej intymnego i nieuchwytnego niż świat. To słowo nadawało kształt jego myślom o niej, odpowiadało mu jak echo w lesie, we śnie i na jawie. Było dźwiękiem, dokładniej mówiąc — współdźwiękiem, lecz czy współdźwięk, kolejność spółgłosek i samogłosek może aż tak przylegać do postaci kobiecej, tak ogarniać jej całą istotę — od szybkich nóg do roześmianych, kochanych, mądrych i naiwnych oczu? Jej matka pierwsza wypowiedziała to słowo i od tej chwili zamieszkało w niej i przesiąknęło nią! Tym imieniem matka wyraziła coś niewyraźnego.

— Duono! — powtarzał.

Lecz musiała przecież nadejść chwila bez niego, chwila rozciągnięta na dni, miesiące, lata. Chwila ta zbliżała się... A potem nadeszła.

Duona nie o tym chciała wspominać. Wspominała o szybko minionych latach, spędzonych z mężem na Aneidau. Było ich niewiele. W jej świadomości stanowiły jedną sekundę.

Podróżnik był zakochany w niej i w wiedzy. W niej i w muzyce. W niej i w przyrodzie. W niej i w życiu. I to było cudowne, że był zakochany nie tylko w niej, że myślał nie tylko o niej. Pracował bardzo dużo, przygotowując się do lotu w nieznaną, i zarażał ją swym entuzjazmem.

Duona wspomina często dzień, w którym zawiózł ją do Instytutu Biosfery, znajdującego się w pobliżu bieguna północnego, na terenie, gdzie kierowane reakcje termojądrowe pozwoliły uczonym stworzyć sztuczne klimaty, odtworzyć historię biosfery.

— Wyjście w kosmos — mówił — zmieniło charakter naszego myślenia. Wtedy dopiero Aneidajczycy ocenili należycie naukę o biosferze, której twórcą był wielki przyrodnik i myśliciel I-Nadu. Pojęcie biocenozy, pojęcie wspólnoty istot żywych, dotarło do wszystkich umysłów. Wszyscy zrozumieli — nawet autorzy powieści fantastyczno-naukowych — że Aneidajczyk jest nie tylko tworem historii, przyrody i społeczeństwa, lecz że stanowi również część biosfery. Jest nierozłącznie związany ze wspólnotą roślin i zwierząt, makro- i mikroorganizmów, z którymi stanowi jedną niepodzielną całość. Dopiero poznawszy tę konieczność, najbardziej istotną ze wszystkich konieczności, zdobył wolność i rozpoczął podbój kosmosu. I-Nadu pierwszy sformułował niezwykle doniosłą myśl: Aneidajczyk nie będzie mógł istnieć w kosmosie bez biosfery, bez środowiska ojczystego. I rzeczywiście, statki kosmiczne stały się wysepkami naszej biosfery, rzuconymi w nieskończoność. Aneidajczycy, wyruszając w daleki kosmos, zabierali z sobą rośliny, by odtworzyć sztuczne środowisko, stworzyć biocenozę, mikroskopijną kopię swojej planety w latającym statku... Niektóre nauki musiały zadowolić się skromniejszym miejscem, by ustąpić go innym. Pierwsza uświadomiła to sobie matematyka. Tyle wieków służyła fizyce i technice, lecz obecnie przeszła na służbę do biologii, która wyparła zarówno fizykę jak dyscypliny techniczne. Na służbę do nowej biologii, która wchłonęła fizykę i chemię, biochemię i bioenergetykę, stając się koroną nauk.

Duona słuchała i patrzyła. Otaczał ich świat eksperymentalny, stworzony przez ewolu-

cjonistów, znawców biosfery. Kiedy weszli do pracowni, odtwarzającej jeden z wczesnych okresów istnienia Aneidau, musieli wdziać specjalne stroje. Żywa historia planety egzaminowała nie tyle ich umysły, ile uczucia.

Lecz również w archaicznym świecie wczesnych okresów planety Duona odczuwała radość życia. Mąż był obok niej. Słyszała jego głos. Czuła uścisk jego dłoni.

Dlaczego nie wyruszyła z nim razem w głąb kosmosu? Tyle razy zadawała sobie to pytanie. Dlaczego pozostała w domu? Co prawda, istniało wiele przyczyn, które spowodowały, iż została na Aneidau. Jedną z nich był jej zawód. Pedagogowie, wychowawcy dzieci, nie byli potrzebni na statku kosmicznym, którego załogę stanowili wyłącznie ludzie dorośli. Lecz były także inne, bardziej ważne powody. Jej rodzony stryj był przewodniczącym komisji kwalifikacyjnej. Mógłby powiedzieć:

— Powiedz, Duono, dlaczego miałbym zrobić wyjątek dla ciebie? Przecież wielu innych członków ekspedycji także ma żony.

Nie, stryj by tak nie powiedział. Był na to zbyt dobry i taktowny. Raczej uczyniłby zadość jej życzeniu, gdyż kochał ją bardzo. I właśnie dlatego postanowiła nie zwracać się z tą prośbą. Miły, wspaniałomyślny stryjek, godny syn swego wielkiego ojca, bioenergetyka E-Lana. Nie mogła dopuścić do tego, by stryj zrobił dla niej coś niewłaściwego, mogącego rzucić cień na jego dobre imię. Przecież inni uczestnicy ekspedycji również są żonaci. Dlatego Duona nie poleciała razem z mężem i pozostała na Aneidau.

O kosmolocie nie było żadnych dodatkowych wiadomości. W owym dniu, godzinie, kiedy została zerwana łączność z nim, Duona była z wizytą u stryja. Właśnie pracowała w ogrodzie, kiedy rozległy się pośpieszne kroki stryja.

— Duono — powiedział — zanadto cię kocham, abym mógł ukrywać przed tobą prawdę. Zresztą nie jest to możliwe. Zakomunikowano mi, że łączność została przerwana. Nikt w tej chwili nie wie, gdzie znajduje się statek kosmiczny... Duono, utrata łączności nic jeszcze nie oznacza... wierz mi, Duono!

Z wyrazu jego twarzy odgadła, że chce ją uspokoić. Zresztą sama również starała się uspokoić, wmawiając sobie, że łączność zostanie nawiązana znowu. Lecz kosmos milczał. Milczała owa nieskończoność, owa niewiadoma, z której tak długo nadchodziły wieści dodające otuchy, łagodzące ból rozłąki. Przeważnie były to wieści radosne. Pewnego razu cały świat i Duona dowiedzieli się, że uczestnicy ekspedycji odkryli nieznaną planetę i nazwali ją imieniem jej małżonka. Wieści nadchodziły z niewiadomej nieskończoności i te wieści zepsowały Duonę. Przyzwyczaiała się do tego, że istnieje kontakt, cienki jak nić, długi jak tygodnie i miesiące świetlne, i że ta nić łączy ją, Duonę, z mężem. Lecz oto nić urwała się.

— Stryju! Jestem pewna, że on żyje. Żyje!

Popatrzyła na przezroczystą ścianę, przez którą widać było kwitnący sad. Wokół kwiatu jabłoni uwijała się pszczoła.

— Ale gdzie oni są, stryjku? Gdzie? Przestrzeń jest nieskończona, podobnie jak czas, lecz dziś nic mnie nie obchodzi prawa przyrody. Czas i przestrzeń powinny mi go zwrócić! Muszą! Nie obchodzi mnie nieskończoność! Nienawidzę jej!

Stryj Duony, inżynier E-Lan junior, przekreślił gałkę przyrządu optycznego na prawo. Za przezroczystą ścianą, gdzie przed chwilą krążyła pszczoła w skwarze lata, powstało vacuum, próżnia. Duonę ogarnęło poczucie bezgraniczności. Wszechświat wszedł do stryjowskiego laboratorium i zespolił się na krótką chwilę z tym maleńkim, powszednim światkiem. Jak muzyka roztopił nagle w sobie wszystkie rzeczy i oddali! wszystkie drobne, nieistotne sprawy. Duonie wydawało się, że znajduje się na statku kosmicznym i bezdenny czas, zapadając się w przestrzeń, unosi ją w nieskończoność. Piękny jest ten bezmiar i zwycięstwo nad nim Duona gotowa była opłacić życiem...

Inżynier E-Lan junior przekreślił gałkę aparatu optycznego w lewo. Wszechświat znikł. Za przezroczystą ścianą widniał znowu sad.

— Tak, przestrzeń jest nieskończona, Duono — rzekł stryj. — Czas również. I na razie nie wiemy, gdzie znajduje się kosmolot. Ale nie trzeba, moja kochana, gniewać się na prawa przyrody. Swoim uczniom w szkole mówisz o nich coś całkiem innego. Podziwiasz je i zachęcasz uczniów, by uczyli się ich na pamięć. Ale jak to dobrze, że te żelazne prawa istnieją i że są jednakowe w całym Wszechświecie. Niegdyś uczeni-idealiści usiłovali przekonać siebie i innych, że tak nie jest. Gdyby mieli słuszość, moglibyśmy wpaść w czarną rozpacz. Lecz prawa przyrody są jednolite, a ekspedycja była zbyt dobrze zaopatrzona i uzbrojona, by im ulec. Ja też jestem zdania, że żyją. A przerwa w łączności jest zjawiskiem przejściowym. Poczekajmy spokojnie, Duono, i nie obrażajmy się na przyrodę.

Stryj E-Lan junior był dobry, lecz zbyt rozważny. Gdyby nie był taki, nie zostałby powołany na przewodniczącego komisji kwalifikacyjnej.

— Poczekajmy — powiedział.

Duona czekała. Czekala, kiedy znajdowała się w klasie i opowiadała uczniom o przyrodzie ożywionej, czekała, gdy znajdowała się w „Wewnątrz chwili” pożerającej czas, czekała podczas rozmów z przyjaciółmi. Czekala i serce jej łomotało, jak gdyby za chwilę miała nadejść wiadomość o mężu. Lecz kosmos milczał. Mijały godziny, czas upływał. W takich sekundach trwożnego oczekiwania czas upodabniał się do próżni. Trzeba było wziąć się w ręce, pokonać rozpacz, zwyciężyć samą siebie. Duona zwyciężała siebie. Ale ile kosztowały te zwycięstwa!

To on pomagał jej w tych walkach wewnętrznych ze słabością, on, Podróżnik, nieobecny, zagubiony w głębiach przestrzeni. Kiedy ogarniała ją rozpacz, widziała w duchu jego spokojne oblicze i słyszała jego głos:

— Rytm, Duono! Najważniejszą rzeczą jest rytm. Czasami wydaje mi się, że czuję bicie serca Wszechświata.

Serce Wszechświata! Jak gdyby ta wiecznie zimna i próżna nieskończoność mogła mieć serce.

— Serce Wszechświata — to życie. Jest ono rozpylone wszędzie, gdzie znajdują się odpowiednie warunki. Jestem o tym przekonany. Życie nie jest dziełem przypadku, lecz cechą materii, jej bardziej złożoną odmianą...

Namiętność poznania gnała go w głąb nieskończoności. Czy życie wszędzie jest osobnicze? Czy zawsze posiada zdumiewającą właściwość podwajania, autoreprodukcji w potomstwie i inną, jeszcze cudowniejszą cechę — umiejętność „zapamiętywania” i pokonywania dzięki temu czasu i środowiska? Wszystkie te pytania domagały się odpowiedzi, gwoli niej Podróżnik udał się w nieznane.

Na krótko przed startem Duona poznała jego przyszłych towarzyszy podróży. Byli to przeważnie młodzi ludzie. Wielu z nich nie założyło jeszcze rodziny. W jej pamięci utrwaliła się postać astronawigatora Nikgda — dobrze zbudowanego chłopca, skromnego optymisty, który już nie raz wyruszał w odległe przestwory kosmosu i pomyślnie stamtąd powracał.

— Pani mąż — powiedział Nikgd Duonie — ma nadzieję, że napotka w kosmosie istoty rozumne. Rozsądne pragnienie, choć odrobinę naiwne. Mnie i moim przyjaciołom udało się odwiedzić wiele planet, podobnych do naszej. Lecz wszędzie napotykalismy albo zbyt prymitywne formy życia, albo zbyt skomplikowane, a mimo to nie posiadające rozumu. Może mężowi pani powiedzie się lepiej niż mnie.

Mówił z poważną miną, lecz oczy mu się śmiały.

— Przyroda obdarza rozumem nie wszystkie stworzone przez nią istoty. Lecz wszystko, co stwarza, jest zdumiewające. Zaś najbardziej zdumiewające na świecie jest...

Nie dokończył. Wezwano go do dowódcy kosmolotu. W ten sposób Duona nie dowiedziała się, co Nikgd uważał za najbardziej zdumiewające na świecie... I może nie dowie się już nigdy.

Świadomość rozłąki nie od razu ogarnęła Duonę. Była tak pełna myśli męża, jego

nawyków, jego słabostek, że wydawało jej się, iż większa część jego istoty pozostała przy niej. Bo czyż nie tak było? Czy nie patrzyła na wiele rzeczy jego oczami? Czy nie nauczyła się kochać tego, co on kochał?

Planeta Aneidau — wyglądająca z boku jak mała jasna kula — obracała się nadal dokoła swego słońca jak w ciągu milionów lat. Lecz on mógł widzieć swoją planetę tylko na ekranie aparatu telewizyjnego. I dopóki mógł ją widzieć, mógł również myśleć o Duonie. Planeta przypominała mu o niej. Lecz co stało się potem, gdy już nie mógł ujrzeć swojej planety nawet na ekranie telewizora? Co stało się później? Informacje były zbyt lakoniczne. Kosmos informował nie o nim, lecz o całej ekspedycji. Na razie jeszcze informował... Milczenie zapadło później.

A wówczas Duona zaczęła szukać w swych myślach i uczuciach wszystkiego, co jej Podróżnik pozostawił.

Pozostawił jej zrozumienie wszystkiego, co ją otaczało. To on zwykł był mówić, wskazując zielone gałęzie drzew, przezroczystą głębię jeziora, ludzi spieszących do swoich zajęć, domy i ulice, oblicza i wyraz ich twarzy:

— Duono, żyjemy w niezwykłych czasach. Epoka podarowała nam widzenie. Mamy możliwość spojrzenia na siebie z boku, na siebie i na naszą planetę. Kiedyś wędrowiec, spoglądając za siebie, widział światło w oknie swego domu. Wkrótce ja ujrzę z oddali naszą planetę. I dzięki tej szansie widzenia wszystkie przedmioty zmieniają swój charakter. Są zarazem blisko i daleko.

Obejmował ją ramieniem i czując przy sobie żywe, ciepłe ciało mówił:

— Ty też, ukochana, jesteś zarazem blisko i daleko.

— Daleko? O, nie. Jestem tu, obok ciebie.

— Podróże kosmiczne, potęga niezmierzonej przestrzeni, zmieniają nasze uczucia. „Blisko” i „daleko” nie będą już połączone spójnikiem „i”. Znajdować się będzie między nimi myślak, tak jak w teorii względności „przestrzeń — czas”. Te dwa walczące ze sobą pojęcia złączą się w jedność.

— Nie mogę tego zrozumieć.

— Postaraj się, a zrozumiesz. Bez wysiłku nic się nie uda.

Duona zrobiła, tak jak mówił, i pojęła. Chciał przyzwyczaić ją do długotrwałej rozłąki, ją i siebie. I oto nadeszła długa rozłąka. Mijały lata. Duona czekała.

Tamarcew przeczytał na głos ostatnie zdanie i zamyślił się. Myśl jak wichur wyrwała go nagle z normalnego trybu życia i przeniosła w daleki urojony świat, w którym Duona czekała na męża. Minęło sto tysięcy lat od chwili, w której Podróżnik wylądował na Ziemi. Fotografia jego czaszki leżała na biurku obok rękopisu.

Rzucił okiem na zdjęcie. Sto tysięcy lat na Ziemi i owej nieznannej planecie, z której przybył. Sto tysięcy lat! Wyobraźnia ludzka nie jest w stanie uzmysłwić sobie tak dużego odcinka czasu, który płynął bez pośpiechu, a w jego powolnie toczących się falach następowywały po sobie niezliczone pokolenia.

Przed paroma dniami powrócił z ekspedycji Wietrow.

I tym razem nie udało mu się znaleźć nawet najmniejszej rzeczy, która mogłaby wyjaśnić tajemnicę dziwnej czaszki.

Wietrow nie martwił się tym jednak lub przynajmniej udawał, że się nie martwi. Cóż innego mu pozostało, biedakowi?

Tamarcew podniósł się z krzesła. Nogi mu ścierpły od długiego siedzenia. Miał napisać artykuł, zamówiony przez czasopismo Akademii Nauk. Artykuł był pilny. Monitowano go listami i przez telefon, nagabywano przy każdym spotkaniu. A on zamiast artykułu pisał powieść. Przypominał uczniaka, który udając, że słucha nauczyciela, wciąż zagląda pod ławkę, gdzie ma na kolanach nową powieść przygodową.

Zresztą nie każdy uczeń lubi powieści przygodowe. Na przykład Goszy nie podobają się wcale. Ani dobre, ani średnie, ani kiepskie. Gosza podaje w wątpliwość nawet ich prawo do istnienia. Dlaczego? Kto to wie? Może dlatego, że jego ojciec pisuje takie powieści? Przed paroma dniami Gosza zapytał Tamarcewa.

— Tato, a co trzeba zrobić, żeby zmienić imię? Do jakiego urzędu powinienem się zwrócić?

— Po co zmieniać? Masz takie piękne, oryginalne, dźwięczne imię. Eleganckie imię, powiedziałbym. Geogobar.

— Tak uważasz? A mnie się zdaje...

Nie dokończył i zamilkł.

— Co ci się zdaje?

— Nie, nic. Prawdę mówiąc, nic. Jeszcze nic nie zrobiłem w życiu, a już mi nadałeś imię na cześć bohatera powieści...

— Nie ma o czym mówić. Imię to coś umownego... Zresztą Geogobarem jesteś tylko w dowodzie osobistym, a w domu i w szkole jesteś Goszą.

Tamarcew nastawił uszu. Gosza rozmawiał na korytarzu z kolegą. Rozległ się śmiech, a następnie padły słowa:

— Czy czytałeś w „Gazecie Literackiej” parodię na nową powieść Wiktora Marsjanina? Posłuchaj: „Udynu uśmiechnęła się szczęśliwym uśmiechem, w jej sercu rozbrzmiewała muzyka, gwiazdolit zbliżał się do nieznanej gwiazdy, której błękitne promienie wzywały kosmiczną podróżniczkę...”

— Jak? Jak ona się nazywała, ta cała podróżniczka? Udynu?

Tamarcew cofnął się szybko w głąb gabinetu.

8

— Pan jest scholastykiem, panie Apugin. Z pańską koncepcją ewolucji powinien pan być urodzić się we wczesnym średniowieczu. Pan odrywa morfologię od fizjologii. Kto panu powiedział, że mózg człowieka nie będzie się zmieniać pod względem morfologicznym? Może czaszki ludzi z Cro-Magnon? I pan im uwierzył? Za pozwoleniem, kolego, nie można być aż tak łatwowiernym. Fakty kpią sobie często z nadmiernego zaufania do nich. Pan się obraził? Bardzo mi przykro! Po co mamy toczyć ten teoretyczny spór przez telefon, niech pan lepiej zajdzie do mnie do zakładu. Ale nie dziś. Dziś jestem zajęty.

Broda odłożył słuchawkę. Był w dobrym humorze. W świetnym humorze. Czuł się dziarski, wesoły, pełen sił fizycznych i duchowych. Robota posuwała się naprzód, widać było postępy. Mózg elektronowy wkrótce zacznie myśleć. No, może z tym myśleniem jest trochę przesady. Powiedzmy, prawie myśleć. Czy to nie wystarczy?

Spojrzał na zegarek. Za dwadzieścia czwarta. Punktualnie o czwartej w jego laboratorium znajdują się zagraniczni naukowcy. Zegarki cudzoziemców, szczególnie Anglików i Niemców, rzadko się spóźniają. Goście przyjdą dokładnie co do minuty.

Bez pośpiechu włożył brązowy stary płaszcz na gumie oraz wymięty kapelusz, spławiły od słońca i deszczów. Miał na sobie podniszczony garnitur nieokreślonego koloru, z plamą na rękawie. Może się przebrać? Nie, nie warto. Po co? Przecież nie wybiera się ani na wesele, ani do teatru. Nie znosił teatrów z wystrojoną, zadowoloną z siebie publicznością. Ślubów również nie lubił. Nie lubił się stroić. Nie chciał być podobny do wiecznego solenizanta lub narzeczonego.

Już na progu mieszkania krzyknął do pomocnicy domowej:

— Nie wiem, kiedy wrócę do domu! Bardzo możliwe, że prosto z instytutu pojedę na wieś.

Zszedł na podwórze. Ostrożnie wyprowadził wóz z garażu, grzecznie odpowiedział na pełen szacunku ukłon dozorczy i zawadiacko skręcił za narożnik domu.

Do instytutu miał kwadrans niezbyt szybkiej jazdy. To znaczy, że przyjedzie na czas, nie spóźni się. I nagle strasznie zachciało mu się spóźnić. Jaką minę zrobi wówczas dyrektor? Wszyscy będą czekać spoglądając w zakłopotaniu na gości zagranicznych. Sekretarz komitetu partyjnego powie coś do sekretarza rady zakładowej. Na wszystkich twarzach malować się będzie zmieszanie.

Pięciu cudzoziemców: Amerykanin, Niemiec z NRF, Anglik, Szwed. I malutki, tłuściutki, śmieszny Francuz Benoit. Benoit jest sławą. To wielki talent. Reszta to również sławni ludzie, ale nie talenty. Cała piątka pracuje nad cybernetyką, badają pamięć, mózg. Nie szkodzi. Mogą zaczekać.

A dyrektorowi powie tak, żeby usłyszał również sekretarz organizacji partyjnej:

— Wie pan, jeść mi się zachciało. Wstąpiłem do baru. Znakomite parówki. Pie-e-e-rwsza klasa!

Zatrzymał wóz bynajmniej nie przed barem, lecz przed sklepem z dziełami sztuki. Wszedł do środka i zaczął nie śpiesząc się oglądać obrazy przypominające powiększone kolorowe fotografie. Oglądał długo, nudząc się, po czym wezwał kierownika sklepu i zapytał z uśmiechem, gładząc puszystą brodę:

— Czy nie wie pan przypadkiem, w jakim ja wieku żyję?

Kierownik sklepu wytrzeszczył zdumione oczka:

— Co? Co?

— Kiedy patrzę na ulicę, widzę lata pięćdziesiąte dwudziestego wieku, ale gdy patrzę na te obrazy, mam wrażenie, że żyję w latach sześćdziesiątych minionego stulecia. Więc komu tu wierzyć, drogi panie, rzeczywistości czy sztuce?

I śmiejąc się opuścił sklep jak uczeń, któremu udał się psikus.

Broda na wszystkich wystawach artystycznych zachowywał się jak smarkacz. Wyklócał się, piszcząc cienkim, jakby nie swoim głosem:

— Szmira! Drobnomieszczańskie landszafty! — a następnie brał księgę dla zwiedzających i wpisywał wyraźnym, uczniowskim charakterem pisma: „Człowiek radziecki nie potrzebuje mieszczańskiego, handlarskiego malarstwa! Gdzie jest współczesność, do stu diabłów?” Można by pomyśleć, że pięciu minut nie mógł wytrzymać bez współczesności.

Pół do piątej. Broda nie spieszył się. Dopiero o piątej podjechał do instytutu. Ale zaszło coś, czego nie przewidział. Cudzoziemcy również się gdzieś zatrzymali.

Wieczorem, pożegnawszy resztę gości, Broda zaproponował profesorowi Benoit niezbyt męczącą przejażdżkę do Komarowa, gdzie miał willę. Benoit wyraził zgodę.

I oto samochód pędzi, prześcigając inne wozy, najpierw po szosie Łańskiej, następnie wyjeżdża na Nadmorską. Szybkość coraz większa. Wiatr z przeciwnej strony niesie błonkę mżącego deszczu. Przesłania ona kontury brzegu morskiego i nadbrzeżnych łozin. Od czasu do czasu silne światło przednich latarni wrywa z szarego mroku sosnę lub oświetlone okno willi, przeszło mostu lub odlane w metalu mięśnie zawodniczki gotującej się do skoku.

Profesorowi Benoit podoba się ta jazda. Podoba mu się mżący deszcz. Podoba mu się również kierowca i jego puszysta broda, stary, wypłowiały od słońca kapelusz. I jego zręczne ręce, spoczywające na kierownicy.

Te dłonie, do stu diabłów, stworzyły mózg elektronowy niepodobny do innych mózgów elektronowych, cudowną maszynę, rozważną, nienagannie ścisłą i logiczną.

Profesorowi Benoit podoba się również zwrot „do stu diabłów”, który monsieur Borodin wtrąca od czasu do czasu po rosyjsku do rozmowy prowadzonej po francusku. I ta twarz stangreta lub atamana kozackiego ze starego drzeworytu, który widział w dzieciństwie w książce o Rosji. Wolna, bujna dusza rosyjska, jeszcze nie zracjonalizowana ostatecznie przez marksizm. Coś, co przypomina postaci Dostojewskiego. Stawrogin. Swidrygajłow. Brat Zosi-

ma. Lub ten z diabelnie trudnym do wymówienia nazwiskiem, który zamordował staruchę-lichwiarę...

Benoit usiłuje przypomnieć sobie to nazwisko i w żaden sposób nie może. Oto niedoskonała pamięć ludzka! Mózg elektronowy nie miałby takich trudności.

IGI

„Bra-a-at”... Benoit z czułością powtarza w duchu słowo, które tak dawno przypadło mu do gustu. Lecz w Związku Radzieckim nikt go nie używa. Zostało zapomniane na amen. Istnieje tylko w słownikach akademickich. Brat Zosima. W myślach pana Benoit był on zawsze symbolem Rosji. Borodin ma w sobie coś z brata Zosimy, oczywiście przed jego pokajaniem się i pójściem do klasztoru. Lecz trzeba wprowadzić poprawkę pod względem czasu. Zosima skonstruował mózg elektronowy i świetnie prowadzi wóz. Zresztą jest to już kto inny, a nie Zosima i nie starzec. Przed czasem i jego żelaznym determinizmem nie ma ucieczki, mimo wrzawy podnoszonej przez egzystencjalistów i filozofowania fizyków-idealistów, powołujących się na bezprawie przyrody i irracjonalizm mikrokosmosu. Nie, to nie starzec, lecz doktor nauk, członek związku zawodowego. Tu wszyscy należą do związków zawodowych. A puszysta, antyczna broda ma maskować młodą twarz, podobną do wszystkich innych rosyjskich twarzy. Lęk przed pospolitością...

Podniesiony szlaban. Błysk szyn. Zakręt. Znow soseny i jodły. Domki. Szosa. Nowy zakręt, i znow soseny.

— Jesteśmy na miejscu, monsieur Benoit — mówi Borodin i zwalnia wjeżdżając w bramę.

Wilgotne powietrze letniska. Zapach solonych i marynowanych grzybów. Jakież ręce ma ten brodaty gospodarz!. Oto już niosą naręcze brzozywych szczap. Rozpalają ogień w piecu. Trzymają patelnię ze skwierczącą wieprzowiną... Oto uderzają w dno butelki tak zrecznie, że korek wyskakuje. Te ręce umieją wszystko, są zdolne do wszystkiego.

I oto gość i gospodarz siedzą przy stole. W kieliszkach zielonkawy płyn. Na dużym talerzu — solone grzyby pachnące knieją. Fantastyczne, chrzęszczące w zębach.

— Pańskie zdrowie, monsieur Benoit — mówi gospodarz i szczerząc duże białe zęby podnosi kieliszek.

Wódka, jak być powinno, jest mocna, pali wnętrzości zimnym, wesołym ogniem. Benoit pragnie pomówić z gospodarzem na jakiś intymny temat, daleki od żelaznego determinizmu współczesności, o czymś, co pali świadomość jak mocna, zimna wódka. Chciałby porozmawiać o bracie Zosimie. Lecz spogląda na ścianę, na której wisi duży portret Engelsa, i myśli, że to chyba nie jest najodpowiedniejszy temat do rozmowy. Borodin gotów go wykpić. Podczas poprzedniej, pierwszej wizyty w Związku Radzieckim, kiedy podejmował rozmowę na temat swego ulubionego bohatera, brała Zosimy, widział uprzejmy ironiczny uśmiech na twarzach słuchaczy.

I oto rozmawiają o tym, o czym powinni mówić z sobą dwaj uczeni zajmujący się cybernetyką.

— Czy pan zna Norberta Wienera? — pyta Benoit.

— Wyłącznie z jego książek. A pan?

— Znam go. Pewnego razu spędziliśmy cały wieczór rozmawiając o sprawie, która mnie bardzo interesuje. Do czego prowadzi intelektualizacja rzeczy? Uduchowienie rzeczy i ich uczłowienie? Czy niesie z sobą wyzwolenie człowieka, czy też przeciwnie, jeszcze gorsze ujarznienie?

— Pan stawia zagadnienie w zbyt abstrakcyjny sposób, drogi panie Benoit. To zależy, w jakim społeczeństwie, w jakiej epoce. A przy tym, co oznacza uczłowienie rzeczy? Tak czy owak rzeczy pozostaną rzeczami...

— Nie zgadzam się z panem. Już pierwszy kamienny młot nie był zwyczajnym kamieniem, lecz kamieniem uczłowionym przez pracę. Człowiek pierwotny obrabiając kamień

przekazał mu jakąś cząstkę swego własnego ja, jakąś część swego intelektu...

— Pan nie wyraża się w sposób ścisły, panie Benoit. A raczej w sposób nieścisły i odrobinę mglisty. Człowiek zrobił z kamienia topór. To wszystko.

— Nie, to nie wszystko. Z kamienia powstało coś nowego. W pewnym stopniu ucłowieczonego. W naszych czasach człowiek tworzy myślące maszyny matematyczne. Stanowi to wyższą formę ucłowieczenia materii — człowiek przenosi swój intelekt w konstrukcję mechaniczną, jak gdyby wdrażając się w nią.

— Przypuśćmy — przerywa mu Borodin. — Chociaż to brzmi jeszcze bardziej niejasno. Po prostu człowiek konstruuje pomysłowy instrument... Ale intelekt zostaje w człowieku, nie przechodzi z niego do maszyny...

— Jak by to powiedzieć? Moim zdaniem, odbywa się coś w rodzaju wymiany. Człowiek przekazuje coś maszynie, a maszyna — człowiekowi. Odbywa się wzajemne przenikanie.

— Niedorzeczność, panie Benoit. Metafizyka. Precz z metafizyką! Wypijmy, panie Benoit, za zdrowy rozsądek! I, jeśli pan chce, za zdrowy sens! Pan to łatwiej zrozumie.

Gospodarz i gość trącili się kieliszkami.

Gospodarz ziewnął ukazując oślepiająco białe zęby.

— Musimy jutro wczesnie wstać. Zdaje się, że pan chciał wybrać się ze mną do lasu na grzyby? Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, obudzę pana o szóstej rano.

O szóstej rano byli już na nogach.

Benoit włożył ogromne, o wiele za duże, gumowe buty. Starą kurtkę. W rękę trzyma koszyk.

Z początku idą drogą wiodącą do jeziora Szczupaków, polem skręcają na ścieżkę. Ścieżka jest mokra i elastyczna. Wszystko, na czym staje noga, jest sprężyste: mech, kępy, gałęzie. Wszystko ugina się. Nad sosnami i jodłami — słońce, jak gdyby wysmarowane zgniecioną borówką.

— Wracam do wczorajszej rozmowy — mówi Benoit. — Ale nie interesuje mnie ona w takim stopniu, jak na przykład przyszłość cybernetyki lub, ściślej mówiąc, cybernetyka przyszłości. Wasz klasyk Gogol napisał doskonałe opowiadanie „Portret”. Mowa w nim o tym, że pewnemu malarzowi, który malował portret lichwiarza, udało się nie tylko stworzyć wizerunek człowieka, lecz przenieść na płótno coś więcej jeszcze... Sądzę, że kiedyś uda się stworzyć nie tylko „maszynę mądrzejszą od swego stwórcy”, jak twierdzi Wiener, lecz również maszynę, która potrafi wchłonąć indywidualność jej konstruktora, jego rozum i charakter...

— Ho, ho, ho! Pan jest zbyt wielkim entuzjastą, panie Benoit. Proszę, niech pan spojrzy. Widzi pan ten grzyb? To dopiero grzyb!

Borodin skręcił ze ścieżki w bok. Tak się zapalił, że zapomniał o towarzyszu spaceru. Przypomniał sobie o nim po kwadransie.

— Hop, hop! — zawołał. — Panie Benoit! Gdzie pan się podział?

Nikt nie odpowiedział.

Zaczął kropić deszcz.

— Hop, hop! Benoit! Niech się pan odezwie!

Lecz las milczał, zaciągnięty siecią mżawki.

— Hop, hop! Benoit! Gdzie się pan schował, do stu diabłów? Hop, hop!

Znalazł Francuza dopiero o zmierzchu, nad jeziorem. Benoit był głodny, zmęczony, przemoknięty do nitki, lecz zadowolony i szczęśliwy. Uważnie oglądał swą zdobycz — wielki, biały grzyb.

Riabczykow słuchał tykania ręcznego zegarka i patrzył na wskazówki. Zegar chodził. Wskazówki posuwały się naprzód. Kiedy zegarek stawał, Riabczykow nakręcał go. Nakręcał również budzik. Zawsze jednak budził się przed czasem, zanim budzik zaczynał dzwonić. Bał się, że prześpi ranek, pierwsze promienie słońca, błękit nieomal koloru rzeki, powlekający rankiem szyby.

Riabczykow budził się w nocy i przysłuchiwał się miarowemu, spokojnemu oddechowi śpiącej żony. Bał się ją obudzić, czekał na świt. Stopniowo w pokoju rozjaśniało się coraz bardziej; teraz mógł oglądać twarz żony. Jej jasne włosy, opadające na poduszkę, cienki dziewczęcy nosek, miłe usta i zmarszczki pod zamkniętymi powiekami. Patrzył długo, jak gdyby w obawie, że czas i świat mogłyby znów zniknąć.

A szerokie okno zaczynało już błękitnieć. Wielkie miasto budziło się ze snu. Ulica aż się trzęsła od pędzących trzytonowych ciężarówek i autobusów.

Słońce oświetlało wielką mapę wiszącą na ścianie. Riabczykow patrząc na mapę myślał o tym, że nigdy jeszcze nie był na Kaukazie. Nie był również nigdy w Azji Środkowej. Spoglądał na mapę jak w dzieciństwie, jak gdyby miał przed oczami nie pokryty różnymi kolorami papier, lecz tajemnicze kraje, które nieoczekiwanie rozkwitły na ścianie. Mapa pachniała ogrodami, trawą, słońcem. Powietrze w pokoju było niebieskie. Spowijało przedmioty. Każda rzecz miała swe określone istnienie, wypełnione ciszą. Na stole stał porcelanowy czajnik. Porcelana miała krągły, intensywny połysk. Czajnik był piękny w swym rzeczowym, zamkniętym istnieniu. Był jak gdyby wpisany ręką wielkiego mistrza w poranny błękit pokoju. Na parapecie stał kwiatek w glinianym wazonie. Niebieski kwiatek. Różowy. I żółty. Na parapecie grały kolory. Lecz cudowniejszy od ich gry był gliniany wazon. Podobnie jak porcelanowy czajnik trwał w swym rzeczowym bycie. Chciało się go dotknąć ręką.

Dotykanie rzeczy sprawiało Riabczykowowi wielką przyjemność. Przecież rzeczy w szpitalu nie miały przedmiotowego, napełnionego radością bytu. Woda szpitalna była bez barwy i smaku. Jedzenie wydawało się przasne. Rzeczy nie miały trójwymiarowości. Rozpływały się w nieruchomym powietrzu. Doznanie jałowości pogrążało w senne zapomnienie: Świat nie istniał.

A tu świat tkwił w każdej rzeczy. Tu rzeczy jak gdyby akcentowały swe istnienie.

Pani Riabczykowa przebudziła się. W lustrze odbiło się jej nagie, krągłe ramię i biała szyja. Ręka podniosła się, przegięła i sięgnęła po suknię.

— Kława! — powiedział Riabczykow.

Samo kojarzenie sylab sprawiało nieopisaną rozkosz. Mówił „Kława” i magiczne słowo ujawniało ją całą. Była tutaj. Przy nim. Jej krągłe ramiona, roześmiane szare oczy i duże wilgotne usta uśmiechające się do niego.

Riabczykow włożył piżamę i poszedł do łazienki. Z kranu popłynęła zimna woda. Mydło mydliło się pieniąc. Wilgotne dłonie, chłodne i lekkie, oświeżały twarz i szyję.

Kława podeszła do kuchni i włączyła gaz. Siny płomyk skoczył do góry. Postawiła imbryk na ogniu.

Podczas gdy gotowała się kawa i smażyły kartofle, Riabczykow podszedł do półki z książkami i wziął do ręki Remy Chauvina „Życie i zwyczaje owadów”.

Otworzył książkę i przeczytał: „Słuch owadów różni się w zasadniczy sposób od naszego. Wiele z nich w ogóle nie ma słuchu, ale za to odznacza się niesłychaną wrażliwością na wahania...”

Subtelność ich percepcji wydaje się prawie nieograniczona...”

— Mitia — powiedziała żona stawiając imbryk na stole. — Nie czas teraz na czytanie, kochany. Śniadanie ostygnie.

Podniosła imbryk i nachyliła się. Gęsty brunatny apetyczny płyn popłynął do filiżanki. Zapachniało kawą, masłem śmietankowym, świeżym pieczywem.

Riabczykow zamieszał łyżeczką kawę w filiżance. Na ścianie skakał żółty zajaczek. Przez na wpół uchylone drzwi wlewał się błękit i przezroczysta głębia sąsiedniego pokoju. Świat dźwięczał jak dzwon. Od tego donośnego dzwonięcia drżały szyby w oknie, a nawet firanki.

— Słyszysz, Kławo — powiedział Riabczykow cicho — istnieje taki owad, zapomniałem jego trudnej łacińskiej nazwy, który odczuwa wahania nie przekraczające połowy średnicy atomu.

— Co ty mówisz? Żebyśmy to my tak umieli.

Uśmiechnął się.

— E, Kławo, na nic by nam się to zdało. Słyszysz, jak wibruje szkło, jak drży ulica?

— Nie, nie słyszę, Mitia. Przyzwyczaiłam się.

— A ja widocznie jeszcze się nie przyzwyczaiłem. Każdy dźwięk jest dla mnie źródłem radości... — powiedział. I dodał: — Przyzwyczajam się.

Pomyślał: czy można się przyzwyczaić i nie spostrzegać, jak zajaczek skacze po ścianie, jak oślepiająco biały i okrągły jest porcelanowy czajnik, jak kapie woda z kranu, jak kot myje pyszczek szarą łapką, jak w perspektywie uciekającej ulicy pojawiają się domy, piętra i okna, ukazujące głębie obcych mieszkań, w których trwa życie tak samo wypełnione intensywnym dzwonieniem świata?

— Tak, Mitia — mówiła Kława podnosząc się od stołu. — Mieliśmy kupić prezent dla profesora Tamarcewa. Nie zapomniałeś chyba?

Riabczykow wybuchnął śmiechem. Tamarcew podarował mu świat, czym można mu się odwdziżyć za taki dar?

10

Arapow patrzył na śnieżne szczyty górskie. Miał je tuż przed oczami. Za pierwszymi szczytami widniały dalsze. Zdawało mu się, że można ich dosięgnąć ręką — wierzchołki pokryte lodem i gałęzie cedrów na ich stokach znajdowały się tak blisko.

Pod stopami huczała rzeczka. W zielonej wodzie widać było brunatne okrągłe kamienie. Woda spadająca z urwiska dudniła i grzmiąca; od tego dźwięku powstawało w uszach wrażenie pustki, jak gdyby w tym łoskocie tonął i znikał świat.

— Mikołaju — zapytał ojciec — czy nie kręci ci się w głowie?

Mikołajowi kręciło się w głowie i zdawało mu się, że spada z urwiska w dół wraz z huczącą, grzmiącą, rozdzwonioną wodą.

Potem wchodził z ojcem na stromą górę, szli cały dzień i wciąż nie mogli dotrzeć do wierzchołka, a świat pod nimi był jak we mgle. Nagle wszystko przesłoniła wielka chmura. Z mgły wyłonił się pysk łani i wielkie jak talerze wilgotne sarnie oczy.

Za górą znajdowało się jezioro. Kiedy zbliżyli się do niego, nie poznał ojca: ojciec zestarzał się o trzydzieści lat.

Padał deszcz. Na jeziorze kipiały bąble. Gdzieś zarżał koń. Potem z głębi lasu napłynęła muzyka. Jezioro zaczęło się kołysać. Deszcz zmienił się w ulewę. Dzwoniła każda kropla.

— Mikołaju! — rozległ się z daleka głos ojca.

I nagle wszystko znikło.

Przed nim stała Żermena.

— Powtórz, coś powiedział.

— Nie.

Potem wioził ją swoim samochodem, lecz obok biegły nie drzewa parku Montsouris,

tylko cedry i modrzewie dzieciństwa.

— Powtórz...

— Za nic w świecie!

I rzeczywiście, nie mógł powtórzyć tego, co powiedział, albowiem życie nigdy się nie powtarza.

Nad płaskowzgórzem krążył jastrząb. Pachniało kamieniami i ziołami. Potem Arapowa ze wszystkich stron otoczył gęsty las. Ale oto las znikł. Ukazała się droga. I znów ujrzał Żermenę, która szła drogą wiodącą do obozu śmierci.

Znów ujrzał jej oczy. Żermenę uprowadzali dwaj nader inteligentni gestapowcy. Jeden z nich powiedział uśmiechając się z szacunkiem:

— Czytałem pańską książkę, drogi mistrzu. Czytałem ją... Przecież ja... studiowałem na wydziale filozoficznym u Maksa Wundta. Studiowałem, ale nie ukończyłem studiów, ponieważ na świecie istnieją sprawy ważniejsze od filozofii, czcigodny mistrzu. Jak pan sądzi?

Ten gestapowiec mówił całkiem niezłe po francusku. Może w samej rzeczy uczył się u Maksa Wundta. Na uniwersytetach Reichu wykładali filozofowie wybitniejsi od Maksa Wundta. Nawet sam Marlin Heidegger. Martin Heidegger powiedział kiedyś, że „człowiek na tym świecie skazany jest...” Gestapowiec studiował filozofię, lecz nie przeszkodziło mu to zostać gestapowcem. A oczy Żermeny patrzyły na Arapowa. W tych dużych, czarnych oczach odbijał się ból i coś jeszcze, co było znacznie silniejsze od bólu. Z oczu żony wyzierała dobroć i litość, jak gdyby to nie ją prowadzono na śmierć, lecz jego, Mikołaja Arapowa, który pozostał w domu.

— Niech pan nie traci otuchy, drogi mistrzu — zawołał gestapowiec. — Wundt mówił, że starożytni Grecy nie upadali na duchu. Światopogląd starożytnych Greków...

Czy nie zamierzał przypadkiem wygłosić wykładu? Lecz drugi gestapowiec, który nie studiował u Maksa Wundta i nie interesował się światopoglądem starożytnych Greków, powiedział:

— Wszystkiego najlepszego!

I odeszli, zabrawszy Żermenę na zawsze. W tym świecie tylko słowo „na zawsze” zawiera prawdę. Wszystkie inne kłamią.

I znów zjawia się przed nim dzieciństwo. Oto pędzi na łyżwach. Cicho gra orkiestra. Dwie służące wiozą na wysokich sankach nadętą, niestarą jeszcze żonę isprawnika.

— Czyj to chłopiec? — pyta żona isprawnika, wskazując na małego Arapowa.

Jakiś starszawy urzędnik z siwiejącą spiczastą bródką i w binoklach podbiega do niej na łyżwach i melduje posłusznie, zginając się w pełnej szacunku pozie:

— Syn właściciela kopalni złota, Arapowa.

Na obliczu pani isprawnikowej ukazuje się wyraz zdumienia.

— Zupełnie niepodobny do ojca. Ani trochę. Ani odrobinę niepodobny!

A urzędnik z siwą bródką uśmiecha się przymilnie, podnosząc z gracją cienką długą nogę robi skręt drugą i pędzi po lodzie, ślizga się, oblany światłem lampy naftowej. Przy nim kroczy garbaty czarny cień, jaki towarzyszył Schlemihlowi przed transakcją z diabłem.

Orkiestra gra wolnego walca.

Potem wszystko znika i zjawia się dziwaczna istota z olbrzymią głową i wielkimi oczami dziecka.

— Kim jesteś? — pyta Arapow jak we śnie, z trudem wymawiając każde słowo.

— Kim jestem? Nauka nie udzieliła jeszcze odpowiedzi na to pytanie. I należy wątpić, czy kiedykolwiek udzieli. Pewien radziecki archeolog nazwał mnie gościem z kosmosu, uroiwszy sobie, iż archeologii wolno badać przyszłość.

— A kim pan jest naprawdę?

— Po co mamy się śpieszyć z odpowiedzią? Na razie jestem kimś, lecz autorzy powieści fantastyczno-naukowych już śpieszą się z nadaniem mi imienia, jak gdybym bez niego

mógł stracić coś ze swej realności.

— Z jakiej pan pochodzi planety?

— Pan sądzi, że jestem stamtąd? Daj pan spokój. Po pierwsze, nigdzie poza Ziemią nie ma życia osobniczego. Tam na planetach, w kosmosie, nie ma morfologii i morfologów. Tam nie ma szczegółów, jest tylko ogólne. Niech pan sobie wyobrazi galaretowatą bezkształtną masę...

— Lecz prawa życia, prawa ewolucji...

— Zawdzięczają swe istnienie Ziemi i warunkom panującym na niej. Po to, by istniała osobowość, indywiduum, niezbędna jest pamięć. Nie będę przecież wyklądać panu abecadła współczesnej genetyki. Kwasy nukleinowe przekazują cechy dziedziczne potomstwu, łączą gatunek i jego odmiany w czasie. Podpowiadają każdej istocie jej kształt i indywidualną osobowość. A niech pan sobie wyobrazi życie bez kwasów nukleinowych, życie bez pamięci, gdzie wszystko na zawsze pozbawione jest kształtu... Niech pan sobie wyobrazi galaretę, nieskończoną jak Ocean Atlantycki...

— To metafizyka! Jakieś diabelstwo!

— I to mówi filozof-idealista? Zabawne!

— Przecież sam pan przeczy własnym słowom. Przecież pan nie jest kawałkiem galarety, posiada pan kształt, choć przyznam, szokuje mnie trochę pańska wielka głowa.

— A niech szokuje! Świat jest na to stworzony, żeby nas szokować. Jest zagadką, która nie ma rozwiązania. Logika to pułapka stworzona przez przyrodę, samoułuda i oszukiwanie samego siebie. Życie jest alogiczne, irracjonalne, nieskończenie bogatsze od rozumu.

— To ja napisałem w mojej ostatniej pracy. Pan powtarza moje słowa.

Rozległ się cichy, przyjemny śmiech.

Potem wszystko znikło, przesłonięte mgłą.

Słynny francuski neurochirurg Gaston Leroux szczegółowo opisywał w artykule operację neurochirurgiczną, przeprowadzoną z nader pomyślnym skutkiem.

„Mikołaj Arapow został uratowany. Będzie całkowicie normalnym człowiekiem. Będzie mógł korzystać ze wszystkich zmysłowych radości życia. Wątpliwe jednak, czy będzie mógł zajmować się filozofią. Należy zresztą wątpić, czy w ogóle odczuje jeszcze potrzebę myślenia abstrakcyjnego.

Podczas kuracji chorego Arapowa zastosowane zostały najnowsze metody... Sektory mózgu chorego, kierujące pamięcią, poddano działaniu słabego prądu elektrycznego. I, jak potem opowiadał chory, rodziły się w nim dawno minione wspomnienia. Obrazy, które następowały szybko jeden za drugim, były niezwykle plastyczne i konkretne”.

Tamarcew ze smutkiem odłożył gazetę. Przypomniał sobie Arapowa takiego, jakim go widział w nocnym lokalu, deklamującego śpiewnie, na wzór zawodowych poetów:

*O, pamięci, nie odnajdziesz znaku,
Nie uwierzy świat, że to był ja.*

ODPIECZĘTOWANY CZAS

1

W klasie-laboratorium stał nowy, niedawno skonstruowany przyrząd. Nauczycielka biologii Duona włączyła go, i w tej samej chwili zasłoniła ją mgławica odosobnienia. Jej głos doszedł do uszu uczniów jakby z dużej odległości:

— Za chwilę jednostka czasu ulegnie gwałtownej zmianie. Ilość chwil powiększy się znacznie. Macie przed sobą ten sam świat. Ale trudno w to uwierzyć, prawda, dzieci? Tak widzą świat owady należące do tego gatunku...

Coś niepojętego stało się nagle z czasem w klasie. Z czasem i przestrzenią. Przedmioty zaczęły zmieniać kształt. Kształt i barwę. Wszystko stało się chwiejne. Małe laboratorium przekształciło się nieoczekiwanie w wielki świat. Ściany klasy uciekały w górę i błyskawicznie opadały w dół. Powstawały nagle urwiska i przepaści, wypełnione budzącą lęk próżnią. W miejscu, na którym stało akwarium z rybami, zjawilo się jezioro. Grube zielone szkło stanowiło jego brzegi. Potworne olbrzymie złote ryby dotykały go strasznymi liliowymi wargami. Przezroczyste, na wskroś prześwietlone jezioro opadało i podnosiło się.

Spoza mgły oddalenia rozległ się głos Duony:

— Dzieci, każde z was znajduje się jak gdyby we wnętrzu tego owada, owad fruwa, a wy lecicie razem z nim. Widzicie to wszystko, co on widzi i tak jak on widzi. Nie zapominajcie o tym, że dla niego godzina — to prawie pół roku. Patrzymy na wszystko jak przez mikroskop, ale nie tylko przez mikroskop przestrzeni, lecz również przez mikroskop czasu...

Po upływie pięciu minut Duona wyłączyła aparat. Dzieci znalazły się z powrotem w świecie zwyczajnych rzeczy. Jakie malutkie wydawało im się teraz akwarium ze złotymi rybkami! I czy to wszystko działo się dawno? Dzieci czuły się tak, jakby wróciły z długiej podróży.

— Ile czasu spędziliście w świecie owadów? — zapytała Duona. — Niech Ar odpowie mi na to pytanie. On ma bardzo precyzyjne odczucia. No, dlaczego nie odpowiadasz, Arze? Czy to takie trudne pytanie?

Chłopiec uśmiechnął się zakłopotany.

— Zdawało mi się — powiedział — że byłem w tym dziwnym świecie... — stropił się, jakby odmierzając w myśli miniony czas — cały dzień. Ale ten dzień był bardzo długi i bardzo ciekawy.

— A wy co myślicie, dzieci? Na przykład ty, Arzu?

Dziewczynka wstała z miejsca i odpowiedziała kategorycznym tonem:

— Ja byłem tam tydzień. Ale był to niezwykły tydzień. Złożony z samych tylko dni, bez nocy. Ani razu nie spałam. Wciąż patrzyłam.

Duona pokiwała głową.

— Ar był bliżej prawdy, Arzu. Ale i on się pomylił. Byłyście tam, dzieci, zaledwie pięć minut.

Na twarzach dzieci odmalowało się niedowierzenie.

Nigdy jeszcze nie zostały tak oszukane przez własne zmysły.

Po lekcji Duona poszła na posiedzenie rady pedagogicznej. Dyrektor szkoły-internatu Ueg oświadczył zebranim nauczycielom:

— Powracam właśnie z podróży kosmicznej. Chciałem podzielić się z państwem wrażeniami. Na wielkiej stacji kosmicznej Przezroczyta znajduje się szkoła. Pod wieloma wzglę-

dami urządzona jest gorzej niż nasza... Nie ma tam mnóstwa rzeczy, które my posiadamy... Ale jest tam coś osobliwego. Trudności. A nawet niebezpieczeństwa. Nie jest to świat przystosowany do naszych nawyków i potrzeb, w jakim żyjemy. Przebywanie na nim kosztuje Aneidajczyka dużo wysiłku. Nawet samo oddychanie, na które tutaj nie zwracamy uwagi, staje się problemem. Przyroda przez cały czas przypomina o sobie... Obserwując życie budowniczych stacji kosmicznej, dużo myślałem o brakach naszej pracy wychowawczej... Widzę, że was to bawi. Myślicie sobie: o, Ueg dosiadł swego ulubionego konika! Ale spójrzcie na świat, w którym żyjemy. Dzięki twórczej działalności wielu tysięcy pokoleń przystosował się on niesłuchanie do Aneidajczyka. Przyroda złagodniała, straciła ostre kany. Rzuca się to w oczy każdemu, kto miał sposobność mieszkać na stacjach kosmicznych. Nasz świat jest piękny. Lecz wychowywać ochraniając przed ostrymi kantami nie można. Przecież wy również polecicie na nowe stacje kosmiczne. Musicie mieć twardą wolę. Pragnę, byście wiedzieli: najpiękniejsza jest walka z przyrodą, walka, nie lękająca się niebezpieczeństw. Nie należy patrzeć na rzeczywistość jak na stałe święto... Jakie dzielne, zahartowane dzieci widziałem na stacji Przejrzysta! Zaraz was z nimi zapoznam...

Ueg włączył swą sztuczną pamięć i w pokoju nauczycielskim ukazał się nagle mały odległy świat, stacja kosmiczna...

Duonie było to wszystko dobrze znane. Patrzyła w roztargnieniu na życie rozwijające się w przestrzeni, na utracone chwile, utrwalone przez sztuczną pamięć Uega. Mignęła skupiona twarz dziesięcioletniej dziewczynki, rozwiązującej skomplikowane zadanie przy pomocy maszyny do liczenia. Za małym pomieszczeniem, w którym siedziała, tuż za ścianą, panowała próżnia, vacuum, bez powietrza, bez rzeczy... Wyobraźnia Uega usunęła przegrodę, na krótki moment dziewczynka zawisała nad bezdenną przepaścią... Pedagogowie, którzy jeszcze nie byli w kosmosie, poczuli zamęt w głowie, wrażenie zapadania się w pustkę i otchłań...

Obrazy następowały jeden za drugim. Sztuczna pamięć Uega była tak samo solidna jak on. Ueg wciąż wspominał i wspominał. I jego wspomnieniom nie było końca.

Przyjaciółka Duony, Zea, zajęta była czymś bardzo dziwnym. Wyobraźcie sobie, ona szyła. Szyła trzymając w rękę igłę, jak to robiły kobiety w zamierzchłej epoce maszyn parowych, kolei żelaznych i idyllicznych wiejskich pejzaży.

— Przypomnij mi, Zeo — powiedziała Duona — przypomnij mi. Zapomniałam tego śmiesznego starodawnego słowa...

— Szyć, Duono. Szyć. Właśnie ja szyję. Babcia podarowała mi starodawną igłę i pokazała, jak się jej używa.

— Ale po co?

— To jest ćwiczenie palców. Przecież nie możemy pozwolić, żeby maszyny bioenergetyczne robiły wszystko za nas. Odrobina przyjemnej staroświeckiej, powolnej pracy, odrobinka pracy w domu. To jest nie tylko pożyteczne, ale i przyjemne.

Do pokoju wszedł mąż Zei, architekt i kompozytor Prir. Zapytał zmęczonym, łagodnym głosem:

— Czy chcecie, żebym wam pokazał dom, który ostatnio zbudowałem?

Włączył aparat optyczny. W przestrzeni ukazała się polana, drzewa, łuk rzeczki i dom jasny i przewiewny, jak gdyby utkany ze smug deszczowych. Przestrzeń spowijała ledwie do słyszalna melodia. Nad domem utkanym ze smug deszczu wisiał biały, na w pół przezroczysty obłok. Jedyne obłok na całym niebie.

— Kto zamieszkał w tym domu?

— A jak myślicie? Wielki matematyk Ok. Pracuje teraz nad nową teorią matematyczną. Potrzebna mu jest cicha muzyka, obłok na niebie i plusk fal rzecznych. Stworzyliśmy więc dom, pejzaż i pogodę. Ok był bardzo zadowolony z muzyki, uznał, że jest romantyczna, lecz po upływie pół godziny zapomniał o pogodzie, obłoku i zakręcie rzeczki, zatopiwszy się w

pracy. Na miejsce przyjechali już jego asystenci i uczniowie, którzy przywieźli maszyny matematyczne.

— No i znowu twoja praca poszła na marne — powiedziała rozniewana Zea. — Tak długo opracowywałeś projekt, szukałeś odpowiedniej melodii. I wszystko na nic.

— Nie przypuszczałem, że Ok od razu zatopi się w pracy. Spodziewałem się, że... Ale przecież nowa teoria matematyczna jest ważniejsza od mojego projektu, jest potrzebna społeczeństwu, gospodarce, nauce. Wszystkim.

— Poznaję cię, Prir — rzekła Duona. — Zawsze myślisz o innych i prawie nigdy o sobie. Masz w charakterze nie mniej muzyki niż ten pejzaż i nawet nowa teoria matematyczna, nad którą pracuje Ok.

— Myślę jednak, że zachowa w pamięci pierwsze wrażenie. Dobre wrażenie.

Wyłączył aparat optyczny. Odległy pejzaż spowity cichą melodią znikł.

— Duono, opowiedz nam o sobie — powiedział. — Nie widzieliśmy się dawno. Opowiedz, jak ci się mieszało na stacji kosmicznej. — Uśmiechnął się. — Ludzie z moimi skłonnościami nie są tam na razie potrzebni.

— Istnieje tam swoiste piękno, zupełnie niepodobne do piękna naszego świata. Ale myślę teraz o czymś innym. Musi mi pan pomóc w odnalezieniu fizjologa i cybernetyka Rata. Powiedziano mi w jego instytucie, że wyjechał. Podobno pracuje nad jakąś nową koncepcją biotechniczną, a jego współpracownicy nie wiedzą, dokąd się udał. Zresztą może wiedzą, ale nie chcą mi powiedzieć.

Prir pokiwał głową.

— Oprócz mnie bodaj nikt tego nie wie. Z początkiem wiosny zbudowałem dla niego tymczasową siedzibę nadającą się do rozmyślań oraz pomieszczenie dla eksperymentów laboratoryjnych. Rata oświadczył mi wprost: „Zadnych sentymentów i idylli! Schronisko powinno być odseparowane mocną przegrodą od wszystkiego, co mogłoby mi przeszkadzać. Co się tyczy muzyki, to lepiej będzie bez niej”. Niełatwo mi było przystać na to. Przecież jestem nie tylko architektem, lecz również muzykiem. A czy można oddzielić architekturę od muzyki? Przecież cała współczesna architektura przeniknięta jest duchem muzyki... Ale zdaje się, że znalazłem coś, co mu będzie odpowiadało... Proszę popatrzeć:

Prir włączył ponownie aparat optyczny.

Przestrzeń oczyściła się. Ukazała się przełęcz w górach. Rozbłysła błyskawica. Rozległ się grzmot. Nad urwiskiem wisiała wielka chmura burzowa.

— A gdzie jest siedziba Rata? — spytała Duona. — Jakoś nic nie widzę.

— Za tą ścianą z chmur burzowych — odparł Prir.

Znów błysnęła błyskawica, zagrzmiał ogłuszający huk gromu. Zdawało się, że to grzmi nie tam, gdzie ciemniała ściana chmur, lecz tu, w pokoju.

Prir wyłączył aparat.

Duona zerwała się z miejsca.

— Muszę tam natychmiast pojechać. Muszę zobaczyć się z Ratem. On coś wie o moim mężu.

— To niemożliwe, Duono. On cię nie wpuści. Poza tym to jest połączone z niebezpieczeństwem. Tam latają pioruny kuliste.

— Pojadę.

— Chyba że razem z nami — rzekła Zea. — Wyjm płaszcze izolacyjne, Prirze. I wezwij „Szybciej od godziny”. Nie, lepiej „Szybciej od minuty”. Zdaje się, że czeka nas dość daleka podróż.

— Zaraz wezwę. Ale warto by przedtem zjeść obiad. Nie ma co liczyć na gościnność Rata. A ja jestem głodny.

— Zjemy gdzieś w drodze powrotnej.

Wyszli z domu, zabierając z sobą płaszcze izolacyjne.

Przed gankiem czekał na nich aparat.

— Dlaczego „Szybciej od godziny”? — zapytała Zea. — Prosiłam, żebyś zamówił „Szybciej od minuty”. Przecież to kawał drogi.

— Nie jest tak daleko, jak ci się wydaje. A poza tym tam są skały... — Zawahał się. — „Szybciej od godziny” jest pewniejsze. Przyzwyczailem się do tego aparatu.

Wsiadli. Szybkość zrodziła w nich obce, prawie abstrakcyjne wrażenie przestrzeni. Wszystko zlewało się w jedną wirującą mglistą plamę. Zdawało się, że ani z przodu, ani z tyłu, ani z boku nie ma nic oprócz sprężonego do ostateczności wirującego krążka.

— A czy nie można tam zmienić klimatu? — zapytała Zea.

— Oczywiście, to można zrobić. Ale nie my, tylko sam Rat. Regulator pogody znajduje się wewnątrz domu, w kuchni. Wystarczy nacisnąć guziczek, a przed domem zrobi się śliczna pogoda. Może nawet już to zrobił. Wątpię, żeby mu się chciało przez cały czas ukrywać za zasłoną z chmur. Zresztą przekonamy się o tym za dziesięć minut.

Aparat zwolnił tempo i wylądował na polanie obok przełęczy górskiej.

Duona i jej przyjaciele wysiedli.

— Popatrzcie, jaka cudna pogoda! — rzekła Zea. — Słońce! Na niebie ani jednej chmurki!

— Aparatura działa bez zarzutu — Prir odzyskał dobry humor. — A przyznam się, że miałem pewne obawy. Znam charakter Rata. Najmniejszy brak, a można mieć grubą nieprzyjemność.

— Przecież jesteś architektem i kompozytorem — przerwała mu Duona. — Czy ty odpowiadasz za aparaturę kierującą pogodą?

— Odpowiadam za wszystko. Ale spójrzcie... Słońce! I czyste, spokojne niebo. A zapewniał mnie, że dobra pogoda działa mu na nerwy, że może pracować twórczo tylko wówczas, kiedy dookoła szaleje burza, zawieja śnieżna lub sztorm... Nic nie rozumiem!

Nie przeszli jeszcze dwustu metrów górską ścieżką, gdy słońce skryło się znów za chmurami.

Rozległ się grzmot.

— To pewnie Rat nas zobaczył — rzekł Prir. — I podjął odpowiednie kroki. To jest do niego podobne.

— Ja muszę iść do niego bez względu na wszystko. Poczekaście tu na mnie. Nie, nie... Pójdę sama...

I Duona ruszyła ścieżką pod górę w stronę nawisłej chmury.

Nad ścieżką było mroczno. Nagle zapadła cisza jak zwykle przed burzą. Potem ta dręcząca cisza runęła z łoskotem. Błyskawica oświetliła polanę. Ukazał się dom. Stał w odległości najwyżej stu metrów, lecz Duonie ta odległość wydała się nieskończenie duża. Owe sto metrów były jak próżnia kosmiczna opadająca w niebyt. Zrobiła krok i nagle wydało jej się, że noga zapada się nie znajdując oparcia. Krzyknęła... Jej głos usłyszano.

— Ostrożniej — powiedział ktoś w ciemności. — Niech się pani zatrzyma i poczeka na mnie...

Poznała głos Rata.

— Co panią zmusiło do przyjścia tutaj? Proszę mi podać rękę i iść za mną. Niech się pani nie lęka! To jest omam zmysłów! Tu nie ma próżni... To tylko złudzenie...

Istotnie, pod stopami czuło się ścieżkę, szeleścił żwir.

Kiedy Duona znalazła się w domu Rata, odetchnęła z uczuciem ulgi.

Rat rzucił na nią baczne spojrzenie.

— Ach, to pani? Żona Podróżnika? Proszę zdjąć płaszcz izolacyjny. Nie grozi pani nic oprócz usłyszenia niebezpiecznej prawdy. Nie należę do ludzi ukrywających myśli za zasłoną słodkich pochlebstw. Co panią sprowadza do mnie? Skąd pani ma mój adres? Przyznaję, że wizyta pani nie jest dla mnie szczególnie miła.

— Przyszłam, żeby dowiedzieć się od pana czegoś o moim mężu.

— Niech pani usiądzie., I proszę się uspokoić. Czy pani jest zimno? Mogę nacisnąć guziczek, a burza uspokoi się natychmiast. Ale nie należę do tych, co lubią ciszę. Pani chciała dowiedzieć się czegoś o swym małżonku? Ale informacje o nim posiada ta część mojego „ja”, która wyruszyła wraz z nim w drogę. Telepatia niestety nie osiągnęła jeszcze takiego stopnia doskonałości... Nawet myśli mojego sobowtóra nie mogę poznać z tak dużego oddalenia... Może pani jest głodna? Proszę, na stole są owoce... Naturalne owoce, a nie wynik sztucznej fotosyntezy. Lubię owoce przyrody, chociaż organicy nauczyli się tworzyć wcale nie gorsze sztuczne owoce...

— Pan istotnie nic nie wie o moim mężu?

— Wiem coś niecoś. I nie wiem prawie nic. Moja wiedza, jeśli ją tak można nazwać, znajduje się gdzieś pośrodku między „tak” i „nie”. Między twierdzeniem i przeczeniem.

— Dość tych igraszek słownych. Nie przyszłam tu po to, by wysłuchiwać sofizmatów.

— Wcale pani nie powinna była przychodzić. To jest moje miejsce pracy. Ale skoro już pani przyszła... będę szczery. Będę szczery nie ze względu na panią ani tym bardziej ze względu na pani nieobecnego małżonka. Robię to ze względu na pamięć o zmarłym dziadku pani — bioenergetyku E-Lanie, którego geniusz ceniłem wysoko. Pani jest trochę z powierzchowności podobna do niego. Coś w oczach... Pani wie, że nie byłem zaprzyjaźniony z jej mężem. Wręcz przeciwnie... Ale, widzi pani, zbliżały nas różnice poglądów, łączyła dyalektyka dyskusji. Kłóciliśmy się tutaj. Potem małżonek pani wyruszył w nieznane, lecz — oczy Rata śmiały się — nasz spór trwa...

— Spór trwa? — przerwała mu Duona. — Pan się nie przejęzyczył? Ale jak? Gdzie?

— Gdybym ja wiedział, gdzie! Nie wiem. Koncepcje nieboszczyka dziadka pani dały mi impuls do stworzenia Rozmówcy. Udało mi się włożyć weń część mojego żywego „ja”. Rozmówca stał się członkiem ekspedycji zorganizowanej przez pani męża. Ale nie udało mi się skonstruować drugiego egzemplarza Rozmówcy, choć miałem schemat. Widocznie przeszkodą była jakaś nieprzewidziana okoliczność. Wszyscy inni rozmówcy, których usiłowałem zrekonstruować, byli niepełnowartościowi. Eksperyment udał się tylko jeden raz. Nie mam nawet dowodów na to, że się powiódł. Zanadto się pośpieszyłem. Nie powinienem był pozwolić na wysłanie Rozmówcy z tą ekspedycją. Lecz chęć kontynuowania sporu był silniejsza od nakazów rozsądku, i oto od wielu lat usiłuję odtworzyć eksperyment, niestety bezskutecznie. Dziadek pani na pewno umiałby to przeprowadzić. Tylko on mógłby mi pomóc. Nawet przypadek umiał zmusić do tego, by służył nauce. Nie chcą mi wierzyć, że przezwyciężyłem mechanizm i stworzyłem nieomal indywiduum. Nie wierzą mi! A doświadczenie, którego nie można powtórzyć, nie ma wartości...

Rat uśmiechnął się znów.

— Pani również wątpi?

Duona kiwnęła przecząco głową.

— Ani jedno, ani drugie. Myślę tylko o moim mężu. Chciałabym się dowiedzieć, czy żyje. I kiedy dowiem się, że żyje, będę mogła spokojnie i uważnie wysłuchać pańskiej opowieści o próbie przezwyciężenia mechanizmu maszyny...

— Zdaje się, że pani ma na imię Duona? Istotnie, jest pani bardzo podobna do swego dziadka. Czoło. Uśmiech. Wykrój oczu. — Rat zmrużył oczy i oglądał Duonę uważnie. — Oczywiście podobieństwo otoczek. Całkiem powierzchowne podobieństwo. Geniusz jest niepowtarzalny. Lecz nawet w imię tego zewnętrznego podobieństwa... Zaraz go pani pokażę...

— Kogo?

— Pani małżonka — rzekł Rat po cichu.

Duona zbladła i uchwyciła się oparcia fotela. Może się przestyszała?

— Tak, pani męża — powtórzył Rat szeptem. — Lecz chwila, którą udało mi się zatrzymać, pochodzi ze stosunkowo dawnego okresu.

Podszedł do jakiegoś dziwnego, nieznanego Duonie aparatu i widocznie włączył go. Coś niepojętego zaszło z pokojem, wszystkimi przedmiotami i z Duoną, jak gdyby wszystko to przesunęło się w inny wymiar.

Przed oczami Duony ukazała się ta część statku kosmicznego, w której znajdowała się kajuta jej męża.

Drzwi kabiny otworzyły się. Wyszedł Podróżnik i jego dwaj towarzysze podróży: astronauta Nikgd i biolog Cyn.

— Twoje argumenty — powiedział Cyn — wszystkie twoje argumenty nie odpowiadają faktom. Tak, tu jest życie, mimo wszystko życie, chociaż nie posiada ani kształtu, ani „pamięci”. Jest to życie jakby wyrwane z czasu i umieszczone w próżni. Wiozę kawałek tej galarety w słoiku ze spirytusem...

— E! Przestańmy się kłócić — wtrącił astronauta Nikgd. — Nasze zwierzęta morskie są tak samo galaretowate... Pomówmy o czymś ciekawszym i zabawniejszym... Wczoraj...

— Wczoraj... — przerwał mu Podróżnik. — Ile jeszcze będzie tych wczoraj, zanim nadejdzie jutro...

— Co masz na myśli?

— To, o czym marzę, planetę, na której mieszkają istoty podobne do nas, umiejące odczuwać i myśleć...

Podróżnik miał smutne, zmęczone oczy.

Duona znów poczuła przesunięcie, przemieszczenie czasu i przestrzeni.

Była znów w pokoju Rata, statek kosmiczny znikł.

— Oto wszystko, co mogłem zrobić — rzekł Rata. — Teraz muszę rozstać się z panią. Poświęciłem pani trzy dni.

— Trzy minuty — poprawiła go Duona.

— Trzy dni. Pani zapomniała o prawach teorii względności czasu. Na statku kosmicznym czas płynie inaczej niż u nas.

Duona pomyślała o przyjaciółach pozostawionych na przełęczy. Czyżby naprawdę minęło trzy dni?

— Tak jest, trzy dni — powtórzył Rata. — I proszę mnie o nic więcej nie pytać. Ten aparat udało mi się skonstruować na długo przed wyprawą męża pani... Pracuję nad jego udoskonaleniem. Na razie nie jestem zadowolony z wyników. Pokazałem pani wszystko, co mi się udało przenieść stamtąd tutaj... Proszę mnie nie wypytywać. Powinna mi pani być wdzięczna za to, co zrobiłem, straciłem przez panią dużo czasu. Uczyniłem to przez szacunek dla pamięci E-Lana, nieboszczyka dziadka pani... Pozwoli pani, że ją teraz odprowadzę. Może pani być spokojna. Burza dawno już minęła. Proszę mi podziękować za to, że zwróciłem pani niewielki wycinek życia jej małżonka.

— Jestem panu bardzo wdzięczna — powiedziała Duona. Pożegnała Rata i wyszła z jego domu. Na niebie nie było ani jednej chmurki.

Ścieżka prowadziła w stronę polany na przełęczy, gdzie mieli czekać na nią przyjaciele...

2

Borodin przeglądał artykuł napisany przez aspiranta. „Czy maszyna będzie umiała myśleć? — czytał. — Nie, nie będzie umiała. Dlaczego? Dlatego że wszystko, co robi maszyna, ma charakter materialny, namacalny. A myśl nie jest materialna. Myśl należy do dziedziny zjawisk psychicznych”.

Borodin podkreśla ostatnie zdanie niebieskim ołówkiem i pisze na marginesie rękopisu:

„Myśl słuszna. Ale czy nie brzmi zbyt kategorycznie i sucho? To całkiem niepodobne do pana, Radik. Pańskie racje tym razem nie sprawiają mi radości”.

Borodin uśmiecha się. Jest niezadowolony ze swego przypisku. Trzeba było napisać znacznie ostrzej, domagając się głębszej argumentacji, bez żadnych sentymentów. Ale skoro już się tak napisało, to niech tak pozostanie. Radik nie jest zarozumiały. Borodin zwraca się do aspiranta Bogatyriewa po nazwisku tylko wówczas, kiedy jest zły. Zazwyczaj nazywa go Radikiem.

Radik ma pospolity wygląd. Bardziej pospolity, niż należałoby. Twarz prosta, grubo ciosana. Oczy ruchliwe, bardzo mądre, ironiczne. Ale chodzi tu nie tylko o oczy. Radik ma jakiś szczególny dar myślenia, przewidywania. Przed jego myślą nic się nie skryje, jak przed promieniami Rentgena. Radik włada trzema językami obcymi. A niedawno zabrał się do włoskiego, by przeczytać w oryginale wszystkie prace Leonarda da Vinci. Ma kręćka na punkcie Leonarda. Czytał bardzo dużo. I niekiedy zadaje pytania, na które nawet Borodin nie może udzielić odpowiedzi.

Borodin w takich wypadkach usiłuje wykręcić się żartami:

— Muszę pomyśleć. Bożek nauki jeszcze nie radził się mnie w tej sprawie, Radiku.

A czasami odpowiada lakonicznie:

— Nie wiem.

I złości się. Na Radika, na siebie samego, a jeszcze bardziej na pracowników swego laboratorium, jak gdyby to oni byli winni, że ich szef czegoś nie wie. Radik zajął zbyt wiele miejsca w myślach swego szefa. Jakim prawem? Istotnie, na jakiej podstawie? Dlaczego Borodin w wolnych chwilach musi myśleć o nim, o tym smyku, zakochanym w Leonardzie? Czy mało jest młodych ludzi, znających języki obce i interesujących się fizjologią i matematyką? Nie, teraz jest ich dość dużo. Lecz prawie wszyscy drażnią Borodina i wywołują nudę, wszyscy — prócz Radika. Chodzi o to, że w Radiku jest coś autentycznego, że ulepiony został z tej samej gliny, z jakiej stworzone zostało jego bożyszcze, Leonardo. Gdzie natura ukrywa tę glinę? Jak ją miesi i urabia?

Myśl często wbrew woli powraca do Radika. Kiedy Borodin podchodzi do półek swej bogatej biblioteki i zdejmuje książkę z półki, zadaje sobie nagle pytanie: czy czytał ją aspirant Bogatyriew? Jeśli nie czytał, trzeba mu ją będzie polecić.

Kiedy jedzie samochodem przez dzielnicę Piotrogradzką albo przez Wyspę Wasylewską, śpiesząc na wykład lub na egzamin, myśli o tych wszystkich chłopcach i dziewczętach i zadaje sobie pytanie: dlaczego nie są podobni do Radika Bogatyriewa, dlaczego przyroda nie obdarzyła ich tak hojnie jak jego?

Po egzaminie dziekan wydziału mówi do Borodina niezadowolonym szeptem, próbując przekonać go:

— Co to jest? Czyżby ani jeden nie umiał nawet na trójkę? Obciął pan wszystkich bez wyjątku.

— Nic mnie nie obchodzi, co oni umieją. Dla mnie ważniejsze jest to, czy i jak umieją myśleć. Wiedzieć będą wkrótce nawet maszyny. Nauczają się powtarzać według ustalonego programu.

— Pan jest niesprawiedliwy.

— Być może. Nie jestem sędzią ludowym. Ani wykładowcą szkoły średniej. Jestem uczonym.

Borodin czyta artykuł Bogatyriewa. Prawie o każdy artykuł Radika musiał się użerać z członkami kolegium redakcyjnego „Zapisków Naukowych”. Artykuły były śmiałe, zawierały świeże, sporne myśli. A nie wszyscy lubią świeże, oryginalne myśli, szczególnie kiedy wypowiada je dwudziestopięcioletni młodzik. Niektórym wydaje się to nieskromne i przedwczesne. Głupie słowo — „przedwczesne”. Może również teoria względności ogłoszona została wcześniej, niż należało?

Oto dziś aspirant Radij Bogatyriew usiłuje zająrzeć w daleką przyszłość, odpowiedzieć na pytania, na które nauka nie jest jeszcze w stanie udzielić odpowiedzi.

„Osobowość i myślenie”. Taki tytuł nosi artykuł. Radik jest zdania, że nie można sobie wyobrazić myślenia nie tylko w oderwaniu od społeczeństwa, lecz również w oderwaniu od osobowości. I natychmiast wysuwa pytanie: czy cybernetyka przyszłości stworzy aparat, który będzie zdolny do odtwarzania zjawisk psychicznych? Lecz tu się rodzi następne pytanie — czym jest myśl? Czy myśl może być bezosobowa, nie zabarwiona uczuciem i przeżyciem istoty myślącej?

— Tak. Tak. — Borodin kiwa aprobująco głową, jak gdyby aspirant znajdował się tu, przy biurku. — Tak, tak, Radiku. Pytaj. Pytaj samego siebie. Przyrody. Historii. Pytaj. Szukaj odpowiedzi.

3

Z notatek Wietrowa

Zacząłem prowadzić te notatki z ukrywaną nadzieją, że nie skończą się tak, jak się zaczęły... W tej chwili, podobnie jak zeszłej zimy, leży przede mną fotografia czaszki tego, który przed stu tysiącami lat przyleciał z nieznanego świata na Ziemię. Kim był? Przeszłość nie odpowiedziała na moje pytanie. Dlaczego zginął? Dlaczego nie mógł wrócić do swojego świata? Nie mam kogo zapytać o to. Myślę o nim bezustannie, jak gdyby moja myśl zdolna była przebić otwór w nieskończenie grubym murze. I oto wczoraj ogarnęło mnie zwątpienie, nieomal rozpacz... Zapragnąłem nagle rozerwać w strzępy to jedyne zdjęcie, wysadzić w powietrze lekki, niepewny most, łączący nas z przedstawicielem nieznanego świata...

Trzymałem właśnie zdjęcie w ręku, kiedy do pokoju weszła moja matka.

— Siergieju — powiedziała akcentując każde słowo. — Znowu trzymasz to w rękach? Czy nie za wiele zaszczytu dla czaszki, bez względu na to, do kogo należała? Przecież poświęciłeś już dla niej wszystko. Siergieju... — W jej głosie zabrzmiała nuta groźby. — Czas z tym skończyć! Nie można składać swego życia w ofierze jakimś kościom...

— Mamo! — przerwałem jej. — Składam siebie w ofierze, jak mówisz, nie kościom, lecz prawdzie. Jeżeli uda mi się udowodnić, że na Ziemię przyleciał kiedyś człowiek z kosmosu, nasze wyobrażenia o świecie ulegną radykalnej zmianie.

— Tak sądzisz? Jednostka nie odgrywa żadnej roli w historii, nawet jeśli skądś przyleciała. A propos, powinieneś się ostrzyć. Zarosłeś okropnie.

Wyszła z pokoju. Wyszła, nie podejrzewając nawet, że uratowała przed zniszczeniem znieawidzone zdjęcie. Matka zawsze podejrzliwie odnosiła się do moich zainteresowań archeologicznych. Kiedy się o coś gniewała, nazywała mnie grabarzem. Lecz archeologię zdradziłem w dniu, w którym znalazłem czaszkę gościa z kosmosu. Od tego dnia zacząłem interesować się namiętnie nie przeszłością, lecz przyszłością. Ile w ciągu tych lat powstało nowych dyscyplin wiedzy: astrobiologia, astrogeologia, cybernetyka! Człowiek współczesny zapatrzony jest w przeszłość. Starcy powiadają: „Gdyby tak można było przeżyć jeszcze dziesięć lat i dowiedzieć się, czy istnieje życie na Marsie i Wenus...” Człowieka zawsze interesowało cudze „ja”. Przecież stosunki między ludźmi opierają się właśnie na tym namiętym zainteresowaniu życiem wewnętrznym innych ludzi, które nie zawsze przypomina nasze własne życie. Dotąd nigdy jednak ludzie nie interesowali się w takim stopniu tym, czy na innych planetach istnieją podobne do nich istoty... Ileż listów otrzymałem w owych latach z prośbą o odpowiedź — czy na innych planetach żyją istoty znajdujące się na wysokim szczeblu rozwoju? Nikt na Ziemi nie mógł z większą pewnością odpowiedzieć na to pytanie. „Tak, są!” — odpowiadałem. Przecież do dnia dzisiejszego przechowuję dowód na to, iż na

naszej planecie znalazła się istota ludzka z innego świata. Dużo myślę na ten temat. Dlaczego moich współczesnych tak niepokoi pytanie — czy są samotni, czy też nie w nieskończonym Wszechświecie? A jeśli nawet tak jest, to co w tym strasznego? Ludzie żyli w ciągu tysięcy lat, nie martwiąc się i nawet nie myśląc o tym, czy posiadają sąsiadów w kosmosie. Wystarczała im obecność sąsiadów na Ziemi. A dziś każdy uczeń, każdy emeryt oczekuje niecierpliwie odpowiedzi na pytanie: czy istnieje życie na innych planetach? Ci niewidzialni nasi sąsiedzi są nieskończenie daleko od nas. Lecz nasza myśl pragnie pokonać tę odległość.

W roku 1931, kiedy byłem studentem wydziału historycznego, kupiłem u antykwariusza niezwykłą książkę. Na okładce widniały zdumiewające słowa: „Podróże międzyplanetarne...” Autor książki informował w przedmowie: „Praca niniejsza stanowi siódmy, odrębny zeszyt z serii prac przedsięwziętych przez autora pod wspólnym tytułem «Podróże międzyplanetarne». Poprzednio ukazało się sześć zeszytów”. Następowo wyliczenie ich tytułów: „Teoria ruchu odrzutowego”, „Rakiety”, „Energia promienista”, „Teoria lotu kosmicznego”, „Astronawigacja”...

Przedmowę zamykały następujące, brzmiące trochę po staroświecku słowa: „Wszelkie uwagi dotyczące wydanych dotąd zeszytów i zamówienia na wysyłkę nowych czytelnicy zechcą łaskawie kierować pod adresem: Mikołaj Aleksiejewicz Rynin, Leningrad, ulica Kołomieńska 37, mieszkania 25”. Najbardziej zdumiewało mnie to zaskakujące sąsiedztwo fantastyki i konkretności. Obok słów „podróże międzyplanetarne” znajdował się adres leningradzki ze wskazaniem numeru domu i mieszkania.

Zapamiętałem go dobrze. Nie dawał mi spokoju. Wzywał mnie, jak gdyby na Kołomieńskiej pod numerem 37 kryła się jakaś tajemnica, związana z moim losem. Schowałem książkę, nie chcąc, by wpadła w ręce mojej matki, która była sceptykiem i lubiła sobie drwić z człowieka.

Pewnego wieczoru wybrałem się na ulicę Kołomieńską. Odnalazłem dom i stanąłem przed bramą. Dozorca taszczyący wiązkę drzewa popatrzył na mnie podejrzliwie. Stałem przed domem, nie mogłem się zdecydować na przestąpienie progu frontowych schodów. Serce łomotało mi jak w dzieciństwie, jak gdyby przed drzwiami nie stał student wydziału historycznego, lecz uczeń, który naczał się Juliusza Verne'go. Następnie wszedłem po schodach na piętro, znalazłem mieszkanie numer 25 i zadzwoniłem do drzwi. Otworzył mi jakiś starszy pan, który bynajmniej się nie zdziwił moim odwiedzinom. Miał taki wyraz twarzy, jakby czekał na mnie.

— Czy pan Rynin? — zapytałem.

— Tak jest, proszę wejść.

Siedząc w jego gabinecie, długo bąkałem coś szukając właściwych słów, wyjaśniających cel mojej wizyty. Miałem z tym poważne trudności, bowiem sprowadziło mnie tu niejasne pragnienie zobaczenia czegoś niezwykłego. Lecz Rynin sam przyszedł mi z pomocą.

— Pana interesują podróże międzyplanetarne?

— Tak jest — odpowiedziałem, co prawda niezbyt pewnym głosem.

— Pan jest technikiem? Matematykiem?

— Nie. Jestem studentem wydziału historycznego. Przyszłym archeologiem.

— Archeologiem? To ciekawe. A czy nie myślał pan o tym, że ziemia kryje niezwykle interesujące tajemnice, związane nie z naszą historią, lecz z kosmosem?

— Nie, nie myślałem.

— A ja nieraz myślałem o tym. To niemożliwe, by w ciągu długich dziejów Ziemi nigdy nie przylatywały na nią statki kosmiczne z innych planet.

Uśmiechnąłem się sceptycznie. Rynin spostrzegł to.

— Pan ma wątpliwości, młody człowieku? Wolno panu. Ale niech pan nie robi z wątpliwości swego zawodu. Wśród zawodowych uczonych i specjalistów jest zbyt wielu wątpiących, wątpiących nawet o tym, co na to bynajmniej nie zasługuje. Jakie ciężkie warun-

ki pracy miał Konstanty Ciołkowski i jego uczniowie przez to, że nauką zajmuje się, niestety, zbyt wielu ludzi lękających się odważnego marzenia...

Minęło wiele lat.

Kiedy po wojnie wróciłem do domu, przypomniałem sobie o Ryninie. „Oto komu opowiem o swoim znalezisku — pomyślałem — i kto mi uwierzy i pomoże swą światłą radą...”

Niestety: Rynin już nie żył.

4

Przedmioty żyły demonstrując swe materialne istnienie. Każda rzecz jakby mówiła: „Jestem niepowtarzalna. Jestem wielka i piękna jak świat”.

Riabczykow wciąż jeszcze doznawał silnego uczucia poznawania. Wszystko, co go otaczało — domy, ulice, drzewa, rzeczy — wszystko było jakies niezwykle ważne, tak jak w dzieciństwie.

Padał deszcz. Jego szum był niezwykle donośny. Usłyszało się w nim głośny, natrętny szept, jakby w pobliżu rozmawiała ze sobą para zakochanych. Potem ciemność rozdzierały błyskawice. Ich odblaski drżały na firance, która nie wiadomo dlaczego przybrała kolor liliiowy, na pociemniałych, mokrych, płynnych szybach okiennych.

— Olu! Oleńko! — rozległ się na podwórzu głos kobiecy. — Prędko do domu, Olu, Oleńko!

A deszcz rozpadał się na dobre.

Pewnego razu Riabczykow przyniósł do domu dziwny nabytek. Farby akwarelowe i kilka pędzli. Wielowymiarowa, triumfująca, mądra egzystencja rzeczy nie dawała mu spokoju. Czy może przy pomocy tych dziecinnych pędzelków i nędznych farbek chciał opanować istotę rzeczy, odsłonić ich sens?

Po powrocie ze szkoły, w której wykładał biologię, kładł na stole duży arkusz papieru i zamoczywszy lekko pędzelek w wodzie dotykał farby. Barwna plama kładła się na arkuszu. Lecz rzeczy wymykały się. Nie chciały zdradzić sekretu swego istnienia nikomu, a tym bardziej jemu, malarzowi-amatorowi.

Riabczykow uśmiechał się z zakłopotaniem. Wstydził się. Wydawało mu się, że w jego nienasyconym pragnieniu oglądania rzeczy, jakby obmacywania ich wypukłości, ich zwartości, tkwi coś niedobrego, przypominającego chciwość. A zresztą jaki tam z niego artysta!

Zniecierpliwiona żona wołała:

— Mitia, chodźmy do kina. Podobno dziś jest jakiś ciekawy film.

Niechętnie odkładał pędzelek, zamykał pudełko z farbami i szedł z żoną do kina. Nie lubił tego pędu, migotania, pośpiechu... Drażniło go to. Na ekranie życie zdawało się oddzielać od rzeczy. Był to gwałt zadany najważniejszemu prawu realności, jak podczas snu. Wszystko śpieszyło się, zdążało ku końcowi. A potem zapalało się światło. I wszystko stawało się powszednie do obrzydliwości. Wracał do domu. Na ulicy, po wyjściu z kina, odzykiwał ponownie radość nieśpiesznego kontaktu z otaczającym go światem.

W domu znów brał pędzelek i dotykał farby. Jaskrawa plama kładła się na papierze. Powstawały zarysy dzbana, talerza lub porcelanowego czajnika. Lecz kontury zostawały konturami. Byt rzeczy, jej waga, wspaniała trójwymiarowość nie dająca się wyrazić — wszystko to pozostawało na stole, przeciwstawiając się dłoni Riabczykova i jego pragnieniu. Na papierze leżał kontur i barwna plama. Ten opór rzeczy doprowadzał Riabczykova do rozpacz i zarazem przynosił mu wielką radość. Postanowił próbować tak długo, aż nie odsłoni się przed nim tajemnica rzeczy...

W dzień wolny od zajęć odwiedził go profesor Tamarcew. Riabczykow właśnie rysował. Tamarcewa zainteresowało to bardzo.

— Czy pan dawno interesuje się rysunkiem?

— Nie. Niedawno — odpowiedział zakłopotany Riabczykow.

Tamarcew rzucił okiem na rysunek leżący na stole. Na arkuszu narysowane były skromne przedmioty domowego użytku. Żelazko, miedziany czajnik i kubek wyglądały tak, jakby je ujrzał człowiek, który po raz pierwszy znalazł się na Ziemi i zdumiał się ciężarowi, objętości i pięknu ziemskich rzeczy.

I im dłużej patrzył, tym silniej ogarniało go uczucie zdumienia i podziwu dla piękna, wagi i mądrości rzeczy ziemskich.

5

Ferie zimowe Duona spędziła w górskim sanatorium. Było to zwyczajne sanatorium, znajdujące się w pobliżu rezerwatu, starego lasu pełnego ścieżek wydeptanych przez zwierzęta. Niekiedy można było dostrzec również owe zwierzęta, dziwnych i archaicznych przedstawicieli dawno minionych epok, zwierzęta o drapieżnych, żywych ruchach. Okazy życia, które dawno zniknęło, zjawiały się nieoczekiwanie, przystawały na polanie lub biegły pędem do wodopoju, nie przypuszczając, że los był łaskaw dla nich nie ze względu na nie same, lecz ze względu na ludzką ciekawość. Obok lekkiego, zrobionego z tworzyw sztucznych gmachu sanatorium znajdowała się ciemna sala. Była to sala podróży w przeszłość...

Naiwne, staroświeckie rozrywki! Salę zbudował w ubiegłym stuleciu pewien architekt, zwolennik modnego wówczas iluzjonizmu. Nienaturalnie wesoły, brzmiały banalnym aktorskim optymizmem głos mężczyzny wzywał pretensjonalnie wczasowiczów:

— Szanowni państwo — mówił odrobinę poufale — ofiarujemy państwu przeszłość gratis. Proszę wejść, moi drodzy. Podróż zaczyna się za chwilę...

Przed Duoną i innymi kuracjuszami zjawiały się obrazy przeszłości. W zeszłym wieku budziły one zapewne podziw swą doskonałością techniczną i przekonującą treścią historyczną. Dziś wywoływały uśmiechy politowania. Chociażby na przykład średniowiecze z jego zbyt naturalistycznym turniejem rycerskim. Mieszanina staroświeckiej telewizji, antycznego filmu i odrobiny... sugestii hipnotycznej... Duona ledwie wytrzymała do przerwy i wybiegła z sali pod szumiące strumienie deszczu. Nie wybiegła sama, wraz z nią opuścili salę wszyscy młodszy nieco widzowie. Tylko staruszkom, lubiącym wspominać lata młodości, mogły sprawić przyjemność te przestarzałe chwytły sztuki iluzjonistycznej.

Jakiś głos męski zawołał Duonę po imieniu. Był to inżynier-cybernetyk Al.

— Ach, ten mechaniczny kaowiec — powiedział śmiejąc się. — Jeszcze mam w uszach jego kwieciste staroświeckie bzdury. „Ofiarujemy państwu przeszłość”... A ta nędzna próba stworzenia syntezy kina i hipnozy... Jak też lekarze mogą pozwalać na taki oświatowy narkotyk. Albo ci rycerze w pancerzach, plód prowincjonalnej wyobraźni... Wyobraziłem sobie taką paniusię, autorkę scenariusza z jego słodką damską fantazją. Rycerze byli o wiele prostsi, prymitywniejsi. Bynajmniej nie pachnieli perfumami, tylko cebulą. Pod ich pancerzami i kolczugami łążyły często małe złośliwe owady, których biologiczne cechy i właściwości są dziś dyskutowane przez paleoentomologów. Chodźmy na spacer, Duono. Świeże powietrze rozwieje tę estetyczną truciznę.

Al miał miły głos. Trochę podobny do głosu tego, którego czekała w udręce. Lecz tylko głos. Al nie był podobny do Podróżnika.

Wspomnienia o mężu odwiodły Duonę daleko od ścieżki, którą szła razem z Alem. A kiedy zaczęła słuchać go, mówił już o czymś innym:

— Pani już zna nowinę? Wczoraj zmarł nagle w swym laboratorium słynny cybernetyk Rat. Był wybitnym technikiem i eksperymentatorem. Ale to był zły człowiek. Nawet bardzo zły.

— Pan go znał?

— Jeszcze by! Uczyłem się u niego. I pracowałem pięć lat w jego instytucie. Pomagałem mu skonstruować eksperymentalny aparat, sztucznego rozmówcę... Rat, który nigdy nie odznaczał się skromnością, twierdził, że udało mu się osiągnąć rzecz w zasadzie niemożliwą, przekroczyć granicę dzielącą maszynę od człowieka. Twierdził, że stworzony przez niego sztuczny rozmówca posiada cechy indywiduum, charakter... Oczywiście była to gruba przesada. Rat miał dziwną koncepcję w stylu dawnych romantycznych, tak zwanych czarnych powieści... Opowiadał nam, swoim uczniom, że chciałby przenieść swój charakter na maszynę, wcielić w nią swą osobowość i w ten sposób osiągnąć nieśmiertelność. My, jego współpracownicy, pokpiwaliśmy sobie z niego. Wydawało się nam, że jego charakter, niezycziwy i egocentryczny, pełen atawistycznych pozostałości, wcale nie powinien być uwieczniony. Ale pracowaliśmy. A najwięcej pracował Rat. Nie można mu było odmówić ani rozumu, ani wybitnych zdolności, ani pracowitości. Stworzyliśmy sztucznego rozmówcę. Sprytnego dyskutanta. A jednak ten rozmówca pozostał maszyną, nie stał się osobowością. Maszyna ta została wysłana wraz z pewną ekspedycją kosmiczną.

Al zawahał się.

— Wiem — powiedziała cicho Duona. — Z ekspedycją, która nie powróciła. Jej uczestnikiem był również mój mąż.

— Może jeszcze wróci... — bąknął Al niezbyt pewnym głosem.

— Nie. Zbyt wiele czasu już minęło... Ale ja jednak czekam. Wbrew logice, wbrew zdrowemu rozsądkowi, wbrew wszystkiemu czekam na niego i jego kolegów. Każdego ranka budzę się z takim uczuciem, jak gdybym miała pójść na dworzec kosmiczny witać go, i boję się, że mogę się spóźnić. Patrzę na wskazówki zegara, liczę sekundy. Serce bije mi tak jak w owych chwilach, gdy statek kosmiczny wystartował z naszej planety. Nieustannie myślę o nim. Próbuję wyobrazić go sobie w obcym środowisku, w którym coś zatrzymało jego i jego przyjaciół. Nie zagłada, nie śmierć; coś doraźnego... Nie mogę patrzeć na wskazówki zegara. Kiedy był ze mną i musieliśmy się rozstać, patrzyłam na zegar i liczyłam minuty... Ale teraz... Nie mówmy lepiej o tym. Tak, a propos Rata. Spotkałam się z nim w „Wewnątrz chwili”, kiedy wracałam ze stacji kosmicznej do domu. Powiedział wówczas dziwne, zagadkowe słowa. Powiedział mi, że wysłał siebie wraz z ekspedycją mojego męża w kosmos... Miał na myśli zapewne ów aparat... Potem rozmawiałam z nim jeszcze raz w jego górskim laboratorium. Ponownie powtórzył te same słowa...

— Tak. Rat uważał sztucznego rozmówcę za swoje drugie „ja”. Ale maszyna nie może się stać osobowością, bowiem osobowość ma do czynienia z historią, swoją własną historią, z historią społeczeństwa, które tę osobowość stworzyło... Rat nie chciał tego zrozumieć. Był atawistycznie egocentryczny, tak jak nasi przodkowie w okresie kapitalizmu... Co pani jest, Duono? Dlaczego pani tak zbladła?...

Duonie wydawało się, że tym razem „Szybciej od chwili” porusza się wolniej niż zazwyczaj. Spieszyła na spotkanie z wujem E-Lanem juniorem, który wrócił przed paroma dniami z dłuższej ekspedycji kosmicznej. Spieszyła się, choć nie miała żadnej nadziei. Ekspedycja, na której czele stał E-Lan junior, nie dowiedziała się niczego o zaginionym bez śladu kosmolocie Podróżnika. Co prawda, uzyskała sukces w całkiem innej sprawie. Odkrycie dokonane przez E-Lana juniora było czymś niezwykłym. Na skraju Galaktyki ekspedycja odkryła nieznaną planetę, Tiomę, zamieszkałą przez istoty na wysokim poziomie rozwoju.

Wuj E-Lan powitał Duonę w ogrodzie i objąwszy ją zaprowadził do domu.

Uśmiechał się z rozmarzeniem. Chociaż był tu, obok Duony, był jednocześnie tam, na dalekiej, odkrytej przez niego planecie. I „tam” było bardziej realne i mocne niż „tu”.

— Przebywaliśmy na Tiomie trzy miesiące i półtora tygodnia — powiedział E-Lan junior, jakby ciągnąc dalej dawno zaczęłą rozmowę, — Tiomczycy pod względem powier-

chowności nie różnią się zbyt od nas. Lecz ich historia i cywilizacja są całkowicie odmienne. Jeszcze w okresie wczesnego paleozoiku wykazali niezwykle walory biologiczne. W owej epoce, kiedy nasi przodkowie z trudem oswoili jelenia i z dzikiego, złego wilka zrobili wiernego przyjaciela, psa, Tiomczycy już oswoili kilkadziesiąt gatunków zwierząt, między innymi ssaków, a także owady i ryby, oraz wyhodowali w warunkach domowych ogromną liczbę roślin. Te okoliczności uitorowały odrębne drogi rozwoju cywilizacji. Tiomczycy — a każdy z nich jest genialnym biologiem — rozbudowali wszystkie teoretyczne i stosowane dziedziny biologii, a szczególnie medycynę. Każde indywiduum jest tam pogromcą zwierząt, botanikiem, zoologiem, ichtiologiem i entomologiem. Cywilizacja Tiomy nie znała przerostów technicyzmu, rozpiętości między rozwojem techniki i biologii. Nauka rozwijała się równomiernie.

Duona słuchała w roztargnieniu. Jak wszyscy mieszkańcy Aneidau wiedziała o istnieniu Tiomy i o zdumiewającej cywilizacji tej planety wszystko, co wujek oznajmił światu, zanim podzielił się swymi informacjami z bratanicą.

Nerwy Duony były napięte do ostateczności. Chciała jak najprędzej usłyszeć od wujka cokolwiek o zaginionych bez wieści... Lecz wujek E-Lan junior opowiadał w dalszym ciągu o Tiomie.

— Dziwny świat, zamieszkały przez biologów zakochanych w przyrodzie. Umieci oni zachować jej wszystkie bogactwa i pomnożyć je wielokrotnie... Co ci jest, Duono?

— Nic, nic, wujaszku. Mów dalej. To, co opowiadasz, jest niezwykle interesujące...

E-Lan junior rzucił na nią baczne spojrzenie.

— Przepraszam cię, Duono. Powinienem był zacząć naszą rozmowę od czegoś innego...

Zrobił pauzę.

— Tiomczycy nic nie słyszeli o zaginionym bez wieści kosmolocie. Nie udało się nam niczego dowiedzieć... Lecz wkrótce wyrusza druga duża ekspedycja. I gdybyś chciała, Duono, mogłabyś udać się razem z nią w kosmos...

— Chcę — powiedziała Duona.

6

Wiera Isajewna miała bardzo ciężki charakter. Ludzie bali się jej, nie bardzo ją lubili, ale szanowali. Płaciła bardzo wysoką cenę za ten szacunek, ale wcale tego nie żałowała.

W gimnazjum nauczyciele spoglądali na nią z pewnym lękiem, w domu — rodzice i krewni. Koleżanki z klasy zabiegały o jej względy, ale nic im to nie pomagało. Nie szczydziła nikogo — ani prymusów, ani leniwych drugoroczników, ani mądrych, ani głupich, ani bogatych, ani biednych. Patrzyła na wszystkich i na wszystko tak, jak gdyby przyszła do teatru po długim czekaniu w kolejce na drogi bilet i nagle stwierdziła, że spektakl wystawił jakiś fuszer, sztuka jest nudna, a grają w niej nieudolni aktorzy.

Nieśmiałemu młodzieńcowi, który się w niej zakochał i odważył w końcu wyznać swe uczucie, odpowiedziała głośno, tak iż mogli ją słyszeć również przechodnie:

— A czy pan nie mógłby wyrazić swego tak zwanego uczucia mniej banalnymi słowami?

Rodzice sądzili, że ich córka nigdy nie wyjdzie za mąż, lecz uczyniła to znacznie wcześniej od swych rówieśnic, przeżyła z mężem piętnaście lat i to w dość dobrej zgodzie, ku zdziwieniu wszystkich znajomych. Jej mąż, inżynier drogowy, zmarł wskutek „tajgowego” zapalenia mózgu z dala od domu, w owych latach, kiedy nie znano jeszcze szczepień przeciw tej chorobie.

Sama wychowała dzieci, zarabiając na życie nauczaniem języka angielskiego i francuskiego, nauczyła się stenografii i przepisywała na maszynie rękopisy grafomanów, których

skusiło ogłoszenie zamieszczone na czwartej kolumnie dziennika, gdzie między innymi stwierdzało się, iż maszynistka jest wysoce wykształcona i posiada ładny styl. Istotnie miała ładny styl i znała gramatykę bez zarzutu.

Do wdowy zaczął się zalecać kierownik sklepu gastronomicznego. Do pewnego czasu nie dawała mu kosza, przychodziła codziennie do sklepu, robiła zakupy i rozmawiała z kierownikiem, który wybiegał do niej zza lady z uprzejmym uśmiechem na tłustej twarzy. Lecz pewnego razu, powąchawszy kiełbasę, poprosiła o książkę zażaleń i wyraźnym, ładnym charakterem pisma napisała: „Tu sprzedaje się towary niskiej jakości...” Potem zawołała kierownika sklepu i rzekła, wymachując mu przed nosem kawałkiem kiełbasy:

— Mam dość pańskich uprzejmości i propozycji! Kryje się za nimi coś równie mało-wartościowego, jak ta kiełbasa.

Mijały lata. Wiera Isajewna prawie nie zmieniała się pod względem fizycznym i duchowym. Siwe włosy okalały niezwykle młodą jak na jej wiek twarz o ostrym nosie i bardzo ruchliwych, lśniących wilgotnym odbłaskiem czarnych oczkach, spoglądających na ludzi tak, jakby zasłaniaли jej swymi obojętnymi plecami coś bardzo ciekawego, zrozumiałego tylko dla niej.

Swoje dzieci lubiła, ale nie robiła wyjątków i nie wyróżniała żadnego. Rozmawiała z nimi takim samym ironicznym tonem, jakim mówiła z wszystkimi. Jej zdaniem, Anastazji brakowało charakteru i rozumu. Siergiej miał rozum i charakter, a nawet talent, lecz nie miał najważniejszej rzeczy potrzebnej ludziom. Nie miał szczęścia. Matka uważała, że winę ponosi on sam, w jego naturze tkwił jakiś niewidzialny defekt. Człowiekowi powinno się powodzić w życiu, a jeśli ma pecha we wszystkim, oznacza to, że nie umie nawiązać kontaktu z tym, co niemądry ludzie nazywają losem.

W niczym nie miał szczęścia. Lecz Siergiej nie poddawał się, pracował bardzo dużo, uczył się, spał najwyżej cztery, pięć godzin na dobę. I mimo to nie wiodło mu się. Właściwie udało mu się tylko raz w życiu, lecz ten sukces natychmiast przekształcił się w niepowodzenie.

A czy jej wiodło się w życiu? Towarzyszyły jej ustawiczne niepowodzenia. I winę za ten stan rzeczy ponosiła ona sama. Bo czy zgodziłaby się choć przez chwilę grać rolę w sentymentalnej optymistycznej sztuczce? Zresztą jakąż rolę mogła odgrywać prócz tej, która jej odpowiadała?

7

W swoim czasie Borodin zainteresował się bardzo odkryciem archeologicznym Wietrowa. Właśnie pracował nad artykułem o mózgu człowieka przyszłości dla czasopisma popularnonaukowego, kiedy wpadła mu w ręce książka Wietrowa, zatytułowana zaskakująco i dziwnie: „Przyszłość człowieka na podstawie danych antropologicznych i archeologicznych”.

Borodin był zdumiony zbieżnością swoich poglądów z rzeczywistością, która znajdowała się jednocześnie poza ramami odległej przeszłości i dalekiej przyszłości.

Wielokrotnie oglądał reprodukcję zdjęcia owej olbrzymiej nieziemskiej zagadkowej czaszki i wydawało mu się, iż przyszłość odsłoniła się specjalnie dla niego, by potwierdzić słuszność jego poglądów, poglądów Borodina.

Jak będzie wyglądać mózg człowieka za wiele tysięcy lat? Jaka będzie jego pamięć? Gdzie szukać odpowiedzi na te pytania? W fizjologii ewolucyjnej? W morfologii wyższych ssaków?

Te pytania rodziły się w świadomości Borodina w ciągu wielu lat.

Szukał przyjemności w szybkiej jeździe samochodem, jesienią zbierał grzyby, latem przepływał ogromne jezioro Szczupaków w oczach pękających z zawiści młodych sporto-

wców i wychodził z wody jak bożek morski, szerokopiersny i brodaty. Lecz gdziekolwiek się znajdował, w wodzie czy w ostępie leśnym pachnącym maślakami, wszędzie myślał o tym samym: jakaż więc będzie ta pamięć ludzka? Ale czy tylko on jeden myślał o tym?

Pewnego razu pod koniec ciężkiego dnia pracy w laboratorium podszedł do Borodina Radij Bogatyriew i rzekł:

— Chciałbym napisać artykuł na temat przyszłości pamięci ludzkiej.

Borodin uśmiechnął się. Tylko Radik mógł się porwać na takie trudne zadanie. Radik, z jego niewyczerpanym entuzjazmem, przyzwyczajony do stałego zagładania w głąb przyszłości.

— Niech pan pisze. To bardzo ciekawy temat. Ale jakie ma pan poglądy na tę sprawę, jeśli wolno zapytać?

— Niedostatecznie dotąd zbadana historia władzy ludzkości nad czasem zawiera, moim zdaniem, cztery etapy. Pierwszy etap — to powstanie języka, mowy. Drugi — pojawienie się pisma, a następnie książek. Trzeci etap to — film. Czwarty — wynalezienie radia i telewizji.

— A piąty, Radiku?

— Właśnie teraz myślę o tym nie istniejącym jeszcze etapie. Jeśli mi coś z tego wyjdzie, człowiek zapanuje nad przemijającym czasem.

— Co to ma znaczyć, Bogatyriew? Czy to nie jest przypadkiem jak u Goethego: „Trwaj, chwilo, o, chwilo, jesteś piękna!”

— Nie znalazłem jeszcze ścisłego sformułowania dla mojej myśli. Jeśli pan pozwoli, w najbliższym czasie porozmawiamy jeszcze na ten temat.

Istotnie, taka rozmowa odbyła się...

A następnie w ciągu miesiąca, kiedy Radik pracował nad artykułem, kierownik laboratorium i jego młody współpracownik nieraz wracali do tego tematu.

— Pierwszego etapu, używając pańskiego określenia — mówił podniecony Borodin — nie można oddzielić od samego człowieka. Jest to język, drugi układ sygnałów. Po to, by go stworzyć, ewolucja musiała zmienić mózg. Co prawda, przyroda, stwarzając drugi układ sygnałów, działała w spółce autorskiej ze społeczeństwem. Lecz wszystkie dalsze etapy, kochany Radiju, były oddzielone od człowieka. Dziś człowiek rodzi się tak samo, jak rodził się we wczesnym paleolicie: bez książki w rękę i bez telewizora. Jak więc pan wyobraża sobie piąty etap i czy potrzebna będzie w nim zmiana w strukturze mózgu?

Bogatyriew uśmiechnął się. Tak zapewne uśmiechał się młody Leonardo da Vinci, kiedy go o coś zapytano.

— Piąty etap będzie syntezą, to całkowite opanowanie przeszłości w imię tego, by terażniejszość i przyszłość stały się niepomierne bogatsze. Tak, jeśli pan sobie życzy, będzie to w jakimś stopniu urzeczywistnieniem marzenia Goethego. Piękna chwila otrzyma rozkaz zatrzymania się. Przecież i dziś film dokumentalny, daleki od doskonałości, pozwala nam widzieć i przeżywać rzeczy dawno minione... Ale niech pan sobie wyobrazi coś nieskończenie doskonalszego od kina, telewizji, radia i książki...

— Czy nie mógłby pan wyrażać się trochę konkretniej, kolego Bogatyriew? Pan jest fizjologiem, matematykiem i technikiem, a nie bajarzem.

— Konkretu zachowam dla mojego artykułu. To pana nie ominie.

W domu, w swoim gabinecie, Borodin ponownie otwierał książkę Wietrowa i oglądał zdjęcie. Czaszka zagadkowej istoty spoglądała na niego czarnymi ziejącymi oczodołami, z których przed stu tysiącami lat patrzyły żywe, mądre, wesole i smutne oczy.

Mózg! Zdumiewający twór ewolucji i historii ludzkości — rozmyślał Borodin. — Narzędzie poznania składające się z dziesięciu miliardów detali. Ogromna złożoność mózgu ludzkiego dała człowiekowi przewagę nad innymi istotami zamieszkującymi Ziemię. Czy jednak człowiek nie poszedł drogą adaptacyjnej specjalizacji, która może go zaprowadzić w ślepą uliczkę? Zdaje się, że Norbert Wiener wyraża obawę, iż „mózg człowieka posunął się

już tak daleko na drodze do tej zgubnej specjalizacji, jak wielkie nosowe rogi ostatnich ssaków-olbrzymów...” Na to pytanie mógłby najlepiej odpowiedzieć właściciel tej wielkiej czaszki, gdyby przyleciał na Ziemię nie przed stu tysiącami lat, lecz dzisiaj.

8

Świat nie przestawał drażnić Riabczykowa swą intensywną, oszalamiającą świeżością i nowością, które zdawały się czekać na niego za każdym węglem, za każdym zakrętem alei, w którą skręcał nieoczekiwanie autobus lub trolejbus.

Radosne, trwożne uczucia ogarniały Riabczykowa, kiedy szedł ulicą, jak gdyby ulica stała się nagle drogą wiodącą do jego młodości. Świat był niezwykle młody i zaskakująco piękny. Między dwiema ścianami, ułożonymi z ciężkich kamiennych bloków, wisiał lekki jak powietrze błękit wody. Nie jest ważne, jak się nazywał — Mojka czy Fontanka, kanał Gribojedowa czy Priażka — lecz wieczorami w skamieniałej wodzie wydłużały się i drgały rozkołysane światła domów, a rano robiło się tak cicho, że słychać było kroki dziewczyny, stukanie jej obcasów o trotuar. Kim jest ta dziewczyna, starająca się szybkim krokiem prześcignąć innych? Kim jest? Lecz ulicami zdążają tysiące przechodniów. Riabczykowa kusiły drzwi mieszkań, jak gdyby za nimi mieszkali ludzie wiedzący coś, czego on nie wiedział. Co oni wiedzieli? Może wiedzieli, dlaczego nocami na ulicach i placach wstaje głośnie echo? Dlaczego każdego rana kwadratowe domy i drzewa zmieniają kształt i kolor, a każda dzielnica wygląda tak, jakby się przed chwilą wynurzyła z niebytu?

Riabczykow szedł i serce biło mu mocno. Szedł i nasłuchiwał. Słyszał muzykę tam, gdzie inni jej nie słyszeli. Na ławce stojącej na skwerze. Przed budką automatu telefonicznego. Przed drzwiami pralni. W odgrodzie... Miał ochotę wejść do budki, nakręcić pierwszy lepszy numer telefonu i zdjąwszy słuchawkę przysłuchiwać się sygnałom. W niewidzialnym, obcym mieszkaniu rozlegają się dzwonki telefonu i jakiś kobiecy głos, władczy i niecierpliwy, mówi:

— Słucham.

A potem cisza. Cisza, pełna ukrytego sensu i czegoś nieznanego i pięknego, jak gdyby księga życia otworzyła się nagle na najciekawszej stronie.

Wchodził do sklepu i kupował tubki z farbami. W domu wyciskał je. Serce mu waliło, dotykał pędzelkiem farby i na płótnie (teraz już na płótnie) zjawiał się błękit wody zastygłej między dwoma kamiennymi brzegami lub pochylone strzyżone topole.

A dni dzwoniły i unosiły go jak pędzące wagony. Budził się wcześniej w obawie, że prześpi świt, ale zasypiał późno i słyszał bicie starych zegarów.

Wieczorami czytywał książkę wypożyczoną z biblioteki. Poprzez słowa i wiersze słychać było drganie życia, syreny fabryk, tupanie tłumu i dźwięczny trzask lodu w strumieniu leśnym, pękającego pod ciężarem jeleniego kopyta.

— Mitia — żona dotykała jego ramienia lekką ciepłą dłonią — chodź do stołu. Herbata ostygnie, mój kochany.

W dno porcelanowej filiżanki uderzał gorący strumień. Przelamany obarzanek pachniał anyżem, dobrze wyrobionym ciastem.

— Mitia — mówiła żona.

— Co mówisz, Kławo? Co? Chcesz, to ci coś przeczytam.

— Proszę.

I Riabczykow odczytywał strofy, które powstawały i składały się w momencie, kiedy czytał:

Rzecz każda ma swoją nazwę:

Deszcz, okno, kamień, obłoki.
Lecz wspanialszy od nazwy jest dźwięk, który kręci się na języku,
Nie wyrzeczone jeszcze słowo „las”,
I oto już gałęzie i ścieżki, i idę sobie,
A na gałęziach śpiewają po raz pierwszy ptaki.

9

Autor książek dla dzieci, Wiktor Marsjanin, spojrzął z szacunkiem na szkielet dinozaura. Usiłował wyobrazić go sobie żywego, ale nie umiał. Zabrakło mu wyobraźni. Zbyt wielki był ten potwór. Zbyt wielki.

Marsjanin rzucił okiem na zegarek ręczny. Zegar ścienny stał. Stał od bardzo dawna. Zdawało się, że stanął jeszcze w owych czasach, kiedy dinozaur, dysząc ciężko, leżał w gęstych paprociach okresu mezozoiku. Marsjanin popatrzył jeszcze raz na zegarek. Apugin przyrzekł, że przyjdzie punktualnie o pierwszej. Było już dwadzieścia po drugiej, a profesora jak nie ma, tak nie ma.

„Zapewne pisze artykuł lub zatrzymał się dłużej na wykładzie” — pomyślał Marsjanin. Mylił się. Profesor siedział w restauracji Kaukaskiej, jadł szaszłyk i pił gruzińskie wino wytrawne. Szaszłyk pachniał apetycznie dymem i tłustą baraniną. Apugin mrużył oczy z rozkoszy. Szerokie nozdrza jego dużego brzydkiego nosa rozdymały się. Jadł bez pośpiechu. Pamiętał oczywiście, że czeka na niego autor książek dla dzieci. Ale co z tego? Czekaj? To niech sobie czeka.

Wiktor Marsjanin czekał. Szkielety sprzykrzyły mu się od dawna. Ale co miał robić? Wykonywał polecenie redakcji. Miał przeprowadzić rozmowę z Apuginem, który w najbliższych dniach wyruszał z ekspedycją paleontologiczną czy też archeologiczną.

Marsjanin czekał i nasłuchiwał. Wreszcie w cichej sali zastawionej szkieletami zwierząt rozległy się kroki. Nadchodził Apugin, wysoki, tęg, istne wcielenie życia.

— Niech pan pozwoli do gabinetu — zwrócił się do gościa. — Zdaje się, że się trochę spóźniłem. Tak się jakoś złożyło!

Autor książek dla dzieci otworzył notatnik i patrzył z uszanowaniem na Apugina.

— Niech mi pan powie — rzekł Apugin surowym tonem — czy „Marsjanin” to pańskie nazwisko, czy pseudonim?

— Pseudonim. Bo co?

— Nic takiego. Rozumiem. Pan widocznie wyobraża sobie, że na Marsie mieszkają ludzie. Na próżno. Nie ma ich tam.

— Dlaczego?

— A dlatego, że wyobraźnia ludzka skłonna jest do operowania szablonami. Znacznie łatwiej wyobrazić sobie planetę zaludnioną mnóstwem Marii Iwanownych niż świat, w którym nie ma nic żyjącego. Mieszkańcy Marsa nie istnieją. A pański pseudonim dezorientuje pańskich czytelników, dzieci starsze. Czy nie mógłby pan zmienić tego pseudonimu?

Marsjanin był wyraźnie zbity z tropu.

— Niestety, za późno. Jestem powszechnie znany pod tym pseudonimem.

— Wobec tego mam prośbę do pana. Pragnąłbym, żeby nasza rozmowa została opublikowana bez pańskiego podpisu. Nie mogę pozwolić na to, żeby pod artykułem o moich pracach znajdował się podpis: „Marsjanin”.

— Nie Marsjanin, lecz Wiktor Marsjanin. Wiktor Karpowicz.

— Wszystko jedno. Całe życie poświęciłem walce z lekkomyślnymi fantazjami, z bzdurami i romantyką. Niedawno w pańskim czasopiśmie dla dzieci ukazał się artykuł o Wietrowie i czasce, którą rzekomo miał znaleźć. Ogłosiłem protest przeciw temu artykułowi.

Napisałem list do Ministerstwa Oświaty. Nie można wychowywać dzieci w duchu lekceważenia faktów.

— Ale Wietrow ma przecież zdjęcie.

— To zdjęcie jest falsyfikatem. Wietrow jest fałszerzem. I fantastą. A pan, przepraszam najmocniej, ma taki nieudany pseudonim. Jak pana godność?

— Korniejew.

— No widzi pan. Znakomite nazwisko. A tu Mar-sja-nin. I po co? Żeby wmawiać dzieciom złudzenia, które nie przyniosą im nic dobrego. Wierzyć w istnienie Marsjan to to samo, co wierzyć w Boga. I jedno, i drugie jest tworem czczej wyobraźni. A więc dogadaliśmy się. Pański artykuł o moich pracach zostanie podpisany przez „Korniejewa”. I proszę, tylko bez pięknych słówek. Wybieram się z ekspedycją nie po to, by przywieźć stamtąd kości istoty kosmicznej lub przedmioty pochodzące z innej planety. Brednie. Ziemia może kryć tylko to, co ziemskie. Pan będzie łaskaw tak napisać i poinformować o tym pańskich czytelników — dzieci... Żadnych bajek i zmyśleń. Żadnych fantazji. Same fakty!

— No a co będzie, jeżeli natknie się pan na kość albo przedmiot... Jakby to powiedzieć. Przedmiot, pochodzący... ściślej mówiąc, który przyleciał do nas stamtąd... — Wiktor Marsjanin wskazał palcem na sufit. — No, z kosmosu. Przecież nie zniszczy pan tego przedmiotu w imię zasady?

— Panie Korniejew!

— Wybaczy pan, Marsjanin. Wiktor Marsjanin!

— Korniejew. Mimo wszystko Korniejew. Przecież rozmawiam z żywym człowiekiem, a nie z bohaterem powieści dla dzieci. A więc, panie Korniejew, jeśli wpadnie mi w ręce jakieś podejrzanе znalezisko w rodzaju czaszki, którą rzekomo znalazł Wietrow, to nie będę wrzeszczeć o tym na cały świat, tylko zwrócę się do lekarza, czy przypadkiem nie padłem ofiarą urojenia moich zmysłów. Pan będzie łaskaw zanotować... Zwróć się do neurologa.

10

Podróżnik myślał o tym, że teraz nie będzie już miał z kim zamienić słowa. Uprzykrzony Rozmówca milczał. Milczał tak, jak umieją milczeć tylko rzeczy. Jego program skończył się. I sztuczny cynik leżał teraz pokryty kurzem jak niepotrzebny grat

Pod koniec zaczął pleść duby smalone. Zachorował na manię wielkości. Dowodził, że nie jest mechanizmem, lecz prawdziwym, żywym „ja”, „ja” fizjologa Rata, tak jest, Rata, który niepojętym sposobem potrafił obalić logikę istnienia. Rat pozostał w domu, a jednocześnie wysłał samego siebie w ekspedycję.

Twierdząc i powtarzając to bez przerwy, Rozmówca zapewniał, iż mówi prawdę. Ta prawda, wywodził, jest najbardziej skomplikowana pośród wszystkich innych.

A że pozostaje w niezgodzie z logiką, to nie ma znaczenia, tym gorzej dla logiki. Nie wiadomo przy tym, czy Rozmówca kpił sobie z ciebie, Podróżniku, czy może z prawdy albo też z samego siebie, lub ze swego duchowego sobowtóra, który go niegdyś skonstruował. W sposobie myślenia i wypowiedania słów, w swoistych intonacjach głosu wyczuwało się coś dobrze znanego. Rozmówca był istotnie pod wieloma względami podobny do Rata.

Podróżnik znał Rata od dzieciństwa. Byli wychowankami tego samego internatu. Uczyli się razem. Rat zdumiewał wszystkich siłą i lotnością umysłu. Lecz w jego złośliwym, egocentrycznym sposobie myślenia było coś prymitywnie atawistycznego, przypominającego odległe czasy, kiedy egoizm i złość nie były rzadkim zjawiskiem. Jeszcze w szkole średniej opanowała Rata natrętna myśl odtworzenia własnego „ja”, pomnożenia go i pokonania w ten sposób czasu. Pedagogowie uśmiechali się pobłaźliwie. Nie widzieli żadnego niebezpieczeństwa w pomyśle ucznia, który marzył o rzeczy niemożliwej. Co prawda, pewien nauczyciel

powiedział kiedyś Ratowi głośno, by usłyszeli również inni:

— Osobowość nie może być powielona. Sens każdej osobowości polega na jej niepowtarzalności. To, co zostaje powtórzone, nie jest już osobowością. W pańskim pragnieniu tkwi jakiś absurd. Rozmnożone „ja” przestaje być „ja”.

— A cybernetyka fizjologiczna — zapytał Rat — czy to jest dla niej niemożliwe do osiągnięcia?

— Cybernetyka stawia sobie inne zadania — odparł pedagog.

W owych latach cybernetyka opanowała wszystkie twórcze, poszukujące umysły. Jedno wielkie odkrycie następowało po drugim. Nauka nabierała rozpędu. Ogromna armia uczonych badała mózg, dążąc do niezwykłego celu: chciała po ujawnieniu tajemnic przyrody stworzyć coś, co umiałoby myśleć.

Filozofowie wypowiadali swe wątpliwości. Mózg, twierdzili, jest wytworem nie tylko przyrody, lecz również historii i społeczeństwa. Świadomości i myśli nie można w sposób mechaniczny oderwać od osobowości i społeczeństwa. Osobowość jest niepowtarzalna. Maszyna nigdy nie stanie się osobowością. Gdyby miała myśleć, musiałaby również odczuwać, cierpieć, cieszyć się, mieć własne życie duchowe...

Rat został cybernetykiem i fizjologiem jeszcze na ławie szkolnej. Już jako uczeń wydrukował artykuł w czasopiśmie poświęconym fizjologii, z posłowiem wielkiego uczonego Szina. Szin, najwybitniejszy specjalista mózgu, uznał koncepcję Rata za oryginalną, choć zarazem odrobinę naiwną.

Rat pisał (o, jak bardzo te słowa były podobne do tego zakochanego w sobie człowieka): „Najważniejsze jest uwolnienie myśli od emocji. Myśl nieemocjonalna może bezinteresownie służyć naszym potrzebom i pragnieniom. Człowiekowi zawsze przeszkadzały jego emocje, nastroje, przypadkowe wrażenia narzucone przez życie. Myśląca maszyna, wolna od emocji, będzie myśleć nie w sposób względny, lecz absolutny. Siłę jej poznania życia nie będą przeszkadzały ani radości, ani cierpienia...”

Później Rat wyrzekł się tej koncepcji. Zaczęła go prześladować inna myśl, którą sformułował jeszcze w dzieciństwie. Zapragnął przedłużyć własne „ja”, uczynić siebie nieśmiertelnym, wprowadzić swą osobowość do stworzonej przez niego mądrej maszyny.

Podróżnik był pryncypialnym przeciwnikiem tej metafizycznej idei.

Pewnego razu podczas dyskusji zorganizowanej w klubie młodych naukowców wystąpił ostro przeciw Ratowi.

— Pomysł Rata jest z gruntu nihilistyczny — powiedział.

— Za pozwoleniem — zawołał Rat — jaki nihilizm może tkwić w chęci stworzenia czegoś złożonego, prawie tak złożonego jak żywa osobowość?

— A jednak w tym pragnieniu kryje się nihilizm, negacja.

— Negacja czego? — zapytał Rat.

— Negacja całej niezwyklej złożoności i bogactwa żywego, myślącego i czującego mózgu. Zubożenie, uproszczenie pod pozorami rzekomej głębi.

Spór trwał długo. A kiedy się skończył i uczestnicy dyskusji zaczęli się rozchodzić, Rat podszedł do Podróżnika i powiedział zjadliwym, ochrypłym głosem: „nie”.

— A ja jednak postawię na swoim. Przypomnisz sobie o tym kiedyś.

Podróżnik przymknął znużone oczy, Odpowiedź Rata pokonała spory kawał czasu i jeszcze większą przestrzeń, jak gdyby przyleciała tutaj z odległej przeszłości. Teraz o tej na wpół zapomnianej rozmowie przypomniawszy mu zepsuty mechanizm.

Tak, teraz nie będzie już miał się z kim kłócić i nie zgadzać, ożywiony mechaniczny adwersarz nie był w stanie wypowiedzieć nawet najprostszego ze słów.

Umiał władać słowami. Każda myśl wywoływała w jego sztucznym mózgu przeciwdziałanie. Przeczenie... Po to został stworzony. A czy jego twórca, fizjolog i cybernetyk Rat, nie był wcieleniem negacji? Przecież właściwie żył po to, by uprościć, poniżyć, wyjałowić,

wykastrować najbardziej skomplikowane i najcudowniejsze z tego, co istnieje we Wszechświecie — mózg. Swym sztucznym mózgiem usiłował zastąpić najbardziej naturalne ze wszystkich naturalnych zjawisk — myśl... Myśl jest humanistyczna w swej istocie, nie można jej oderwać od uczucia, od całego piękna istnienia, które odsłania się przed świadomością człowieka. Maszyna, choćby nie wiem jak mądra, zawsze będzie nieskończenie uboższa i prymitywniejsza od człowieka...

Podróżnik żałował bardzo, że robot się zepsuł. Mimo wszystko pomagał mu znosić udękę samotności — źle, gniewnie, dokuczliwie, lecz jednak pomagał. Bez niego dom zagubiony gdzieś we Wszechświecie oddalił się jeszcze bardziej.

Czasami Podróżnik myślał tak: a co by się stało, gdyby los zostawił ich tu we dwójkę z fizjologiem Ratem, jego jedynym wrogiem? Choć właściwie prawie tak właśnie było. Rozmówca był dokładną kopią Rata, ale nie był człowiekiem, tylko maszyną, i nie można było się na niego gniewać... Teraz leżał bezużytecznie. Zamilkł zbyt nieoczekiwanie beznadziejnym, absolutnym milczeniem rzeczy i Podróżnik nie dowiedział się tego, czego pragnął się dowiedzieć. Pozostały dla niego tajemnicą zasady konstrukcji mechanizmu robota, zdolność Rozmówcy do tak lekkiego, swobodnego myślenia... W instrukcji załączonej do automatu nie było o tym ani słowa. A sam Podróżnik nie potrafił tego wyjaśnić. Nie był technikiem, lecz fizjologiem...

Ile nie rozwiązanych zagadek i tajemnic pozostanie w świecie, kiedy oczy Podróżnika zamkną się na zawsze! Ta myśl doprowadzała go niemal do rozpacz. Nie miał się nigdy dowiedzieć, ile jest we Wszechświecie planet zamieszkałych przez istoty myślące lub co się stanie z tutejszymi pierwotnymi ludźmi, czy potrafią znieść okropności zbliżającego się nowego okresu lodowcowego, czy też zginą, nie stworzywszy cywilizacji.

Na jego ojczystej planecie nie było zlodowacenia, łagodny, umiarkowany klimat zapanaował od dawna. Uczeni uważali, że zbyt sprzyjające warunki zahamowały tempo rozwoju ich społeczności... Tutejsza, jeszcze nie całkowicie ukształtowana społeczność ludzka będzie miała do czynienia w stosunkowo bliskim czasie z nowym zlodowaceniem... Czy wytrzymają sześćdziesięciostopniowe mrozy tysiącletnich zim, nie dysponując ani fotosyntezą, ani energią atomową, ani tajemnicami sił grawitacyjnych? Czy wytrzymają to ci przygarbieni, niezgrabni mężczyźni i kobiety o niskich czołach z ich nędznymi narzędziami z kamienia? O, jak bardzo chcieliby im pomóc, póki jeszcze zdolny jest do tego.

Przypomniał sobie ową dziewczynę. Nazywała się I-e. Ona również miała niskie czoło, grube wargi i chodziła zginając kolana, a kiedy chciała zobaczyć, co się dzieje za nią, musiała odwrócić cały tułów, bo jej zbyt krótka szyja nie poruszała się. A mimo to była piękna. W jej zielonych oczach już zaczęła przeświecać myśl. Na ustach zjawiał się niekiedy uśmiech. Miał w sobie dużo energii i żywości. I nawet mechaniczny Rozmówca, sobowtór bezdusznego, złego fizjologa Rata, czuł do niej coś w rodzaju sympatii. Ta sympatia uczyniła go na chwilę bardziej podobnym do człowieka, o wiele bardziej, niż na to pozwalała koncepcja jego nie-ludzkiego twórcy, co prawda tylko na krótką chwilę. Lecz ta chwila mówiła o sile człowieczeństwa, która mogła przetrwać nawet mechanizm.

I-e uciekła z jaskini do swej hordy. Gdyby pomieszkała tu dłużej i oswoiła się, mogłaby się stać pośrednikiem między Podróżnikiem i hordą. Lecz ona nie chciała mieszkać wśród zjawisk, które wyprzedziły jej pierwotny, na wpół zwierzęcy świat o kilkaset tysięcy lat. Ich widok na przemian zdumiewał ją, przerażał lub śmieszył. Wszystko, co widziała, wydawało się jej zbyt długim snem. Powróciła do swojej jaskini. I-e, roześmiana istota, samowolna i kapryśna. Kiedy znikła, uprzykrzony Rozmówca powiedział:

— Jesteś sam. Sam jeden w całym systemie słonecznym. Absolutnie sam, jeśli nie brać mnie pod uwagę.

— A horda w jaskiniach? I-e? Jej współplemieńcy? Zapomniałeś o nich?

I wówczas Rozmówca odpowiedział zgryźliwym, nieco zachrypniętym głosem fizjolo-

ga Rata:

— Na razie prawda nie jest im potrzebna. Potrzebna im będzie za pięćdziesiąt albo za sto tysięcy lat. Dopiero niedawno nauczyli się posługiwać ogniem. Czuwają przy ognisku już od wielu pokoleń. Ich życie upływa w czadzie i ciemnościach.

— Nie masz facji — prawda jest im potrzebna. Postaram się im pomóc. A jeżeli mi się to nie uda, zapieczętuję moją wiedzę. Utrwalę mój czas. I kiedyś dalecy potomkowie tych pierwotnych istot znajdą i odpieczętują go.